Na planie serialu „1670” • Gra w Mentzena • Despoci się łączą
Ukraińcy bez pracy? • Polski zabójca rekordzista • Najazd chińskich aut

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

Co może prezydent

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 37 (3531), 10.09–16.09.2025

© STUDIO POLITYKI/AI

ISSN 0032-3500
Wydanie w sprzedaży do 16.09.2025

eprasa.pl 2a630d192f

GREAT SEPTEMBER
SHOWCASE FESTIVAL & CONFERENCE

mBank | mastercard

ŁÓDŹ, 11-13.09.2025

WIELKA MUZYKA ZACZYNA SIĘ OD MAŁYCH SCEN

Great September to wielkie święto branży muzycznej. Koncerty największych polskich gwiazd i najciekawiej zapowiadających się debiutantów. Panele dyskusyjne, warsztaty i nieformalne spotkania, podczas których artyści i słuchacze, menedżerowie i wydawcy rozmawiają o muzyce i wszystkim, co się z nią wiąże. Na festiwal zapraszają Artur Rojek oraz Miasto Łódź.

BOKKA
COALS
EWA BEM
KAŚKA SOCHACKA
KAYAH
LECH JANERKA
LOR
MIKROMUSIC
SW@DA x NICZOS
WALUŚKRAKSAKRYZYS
I WIELU INNYCH, KTÓRYCH DOPIERO POZNASZ

MECENAS

mBank mastercard

PARTNERZY

ŁÓDZKIE CENTRUM WYDARZEŃ PURO eBilet OPG OFF PIOTRKOWSKA CENTER

PARTNERZY MEDIALNI

Trójka POLSKIE RADIO GLAMOUR newonce MINT

eprasa.pl 2a630d192f

© ROBERT PAŁKA/NETFLIX

12, 16
Klątwa liberum veto

Tematy tygodnia

12 Aneta Kyzioł **„1670", sezon drugi: dożynki narodowe**
16 Prof. **Mirosław Wyrzykowski**, prawnik, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego, o tym, co może prezydent

Polityka

19 Michał Piedziuk, Wojciech Szacki **Rozgrywka Mentzena**
22 ROZMOWA POLITYKI Prof. **Michał Lubina**, znawca stosunków rosyjsko-chińskich, o wspólnym froncie przeciw Ameryce

Społeczeństwo

26 Katarzyna Kaczorowska **Zmora najmu krótkoterminowego**
30 Zbigniew Borek **Kostrzyn nad Odrą: szajka z ośrodka pomocy społecznej**
33 Filip Zagończyk **Wstrzymana ustawa o pomocy psychologicznej dla nastolatków**
36 **Wojciech Zaremba**, współzałożyciel OpenAI i współtwórca ChatGPT, i **Maria Mach**, dyrektorka Funduszu Zdolni.pl, o tym, jak się tworzy wynalazców i wynalazki
39 O największym polskim seryjnym zabójcy opowiada **Maciej Kuciel**, autor książki „Morderca w gumiakach"

Rynek

42 Joanna Solska **Paraliż polskich firm bez ukraińskich pracowników**
45 Adam Grzeszak **Najazd chińskich aut**

Świat

48 Mariusz Zawadzki USA **O przeszłości i przyszłości Gwardii Narodowej**
51 Jacek Poprzeczko ROSJA **Nowa syberiada**
54 Marcin Polak WIELKA BRYTANIA **Antyimigrancki plan Nigela Farage'a**
56 Agnieszka Zagner PODRÓŻE Z POLITYKĄ **Syndrom jerozolimski**

Nauka/projektpulsar.pl

60 Agnieszka Krzemińska **Z notatnika neandertalczyka**
64 Rozmowa z prof. **Tomaszem Bulikiem**, dyrektorem Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego

Historia

68 Mateusz M. Kłagisz **Polscy uchodźcy w Iranie**
71 Krzysztof Potaczała **Bezlitosne polowanie na wilki sprzed 70 lat**

Kultura

78 Rozmowa z aktorem **Tomaszem Schuchardtem**, który zagrał główną rolę w kryminalnym serialu „Breslau"
82 Bartek Chaciński **Fenomen Davida Byrne'a, weterana sceny rockowej**
85 Rozmowa z noblistą **Jonem Fossem**, który właśnie wydał książkę „Nowe imię", zamykającą cykl „Septologia"
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Król Giorgio**
• **Algorytmy lubią awantury**
• **Straż moralna**
• **La Línea: okno z widokiem**
• **Wegańskie knedle**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **89** Passent • **90** Hartman
• **91** Lis • **92** Mizerski
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

eprasa.pl 2a630d192f

Było miło

Jerzy Baczyński

Wizyta Karola Nawrockiego w Białym Domu była miła. Bez wpadek i kontrowersji. Donald Trump słusznie uważa się za ideowego patrona i współtwórcę sukcesu wyborczego Karola Nawrockiego (nie przypadkiem w prezencie dał mu plakat z ich wspólnym kampanijnym zdjęciem). Były więc przyjazne gesty, komplementy, a najważniejszą polityczną deklarację – o tym, że amerykańscy żołnierze pozostaną w Polsce – Donald Trump złożył jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnych rozmów. Spotkanie za zamkniętymi drzwiami zapewne już niewiele więcej wniosło, bo Donald Trump raczej nie daje się wciągać w konkrety. Padło zaproszenie dla Karola Nawrockiego na przyszłoroczny szczyt G20, czyli 20 największych gospodarek świata (w roli gościa, choć Polska swoim PKB, ponad biliona dolarów, statystycznie już do TOP 20 należy) oraz postulat rozbudowy infrastruktury dla importu amerykańskiego gazu do krajów Europy Środkowej i Wschodniej (nazywanych w PiS „Trójmorzem"). I to chyba tyle.

> Na razie sojusz Kaczyńskiego z Nawrockim jest prosty: dobre jest to, co złe dla Tuska.

Z ociąganiem Kancelaria Prezydenta przedstawiła Ministerstwu Spraw Zagranicznych informację ze spotkania. Jeśli MSZ zachowa się jak Kancelaria, która wcześniej ujawniła (w celu obśmiania) „instrukcję negocjacyjną" rządu dla prezydenta, to sprawozdanie Kancelarii też powinno przeciec do mediów i też pewnie byłoby nad czym ironizować. Rzecz w tym, że w sumie udaną, kurtuazyjną wizytę Nawrockiego u Trumpa psuły złośliwości ze strony triumfującej prezydenckiej delegacji. Pod adresem premiera („Tusk jest w Białym Domu persona non grata" – to Adam Bielan) czy „bezczelnego" ministra Sikorskiego (to już minister Marcin Przydacz). Ale gdy odsączyć te propagandowe „wrzutki na kraj", prezydent co do joty wykonał instrukcję wyjazdową MSZ. Paradoksalnie: konstytucyjny podział kompetencji w polityce zagranicznej i obronnej między rząd i prezydenta – choć rodzi prestiżowe konflikty – może się okazać dla Polski korzystny, przynajmniej jak długo w USA rządzi Donald Trump.

Dzisiejsza geopolityka nie jest jednak tak prosta, jak się zapewne Nawrockiemu wydaje. Trump to za mało. Zresztą prezydent USA otrzymał właśnie gorzką lekcję. Imponujący rozmachem „zjazd despotów" w Szanghaju (s. 22) przekreślił złudzenia z Alaski; Putin i Xi potwierdzili swój „nierozerwalny sojusz" przeciwko Ameryce i Zachodowi. (A Rosja nawet na moment nie przestała bombardować Ukrainy). Okazuje się, że dla USA wciąż najbliższym i naturalnym sojuszem pozostaje ten stary, transatlantycki, natowski, z nielubianą Unią (która właśnie próbuje poprzez umowę z krajami Mercosur wiązać z Zachodem część tzw. globalnego Południa). Może i Trump w końcu przekona się do Europy? W tej grze polski interes wydaje się oczywisty: sojusz z USA nie może być antyunijny; nie powinniśmy antagonizować, szukać konfliktu z europejskimi partnerami Polski, zwłaszcza Niemcami, teraz kiedy i oni zaczynają inwestować w europejską obronność i odporność; nie wolno odwracać się od Ukrainy, która jest naszą prawdziwą Tarczą Wschód; niemoralne, niemądre, niebezpieczne jest szczucie na Ukraińców. Nawrocki ma się wkrótce osobiście spotkać z Sikorskim; może coś przemyśli?

Miesiąc miodowy prezydentury, gra w supermena, właśnie mija. Nawet Jarosław Kaczyński czasowo zniknął, dając się Nawrockiemu wyszumieć. Ale to on wciąż kontroluje jego zaplecze i jeśli Nawrocki za wcześnie uwierzy w swą charyzmę i sprawczość, może się sparzyć. Zwłaszcza że w PiS jest kilku zasłużonych wiceliderów, dla których pompowanie (się) Nawrockiego musi być osobiście przykre i upokarzające. Na razie sojusz Kaczyński-Nawrocki jest prosty: dobre jest to, co złe dla Tuska. Jednak wcześniej czy później Kaczyński wszystkich potencjalnych „liderów prawicy" pogrążał, i wciąż ma ku temu środki polityczne, kadrowe, medialne, teczkowe.

Nawrocki wchodzi też w nowy etap relacji z rządem. Konstytucja określa, co prezydent może, a czego nie. Karol Nawrocki będzie próbował rozszerzać swoje kompetencje, np. domagając się – pod groźbą „liberum veto" – uzgadniania z nim na etapie sejmowym projektów ustaw. Rzeczywiście, jeśli jakiś organ władzy chce wyjść poza konstytucję (polecam rozmowę z prof. Wyrzykowskim s. 16), to ona sama się nie obroni. Nie ma też żadnej realnej kary dla łamiącego umowę konstytucyjną prezydenta; odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu jest iluzoryczna. Ale jeśli wychodzi się z bezpiecznych ram konstytucji i obyczaju, nie można zakładać, że druga strona nie uczyni tego samego.

To rząd ma dziś wszelkie realne narzędzia władzy i dość łatwo może Nawrockiego „zdudyzować". Prezydenckie projekty ustaw będą zmieniane, odrzucane, zamrażane, rady gabinetowe zbywane, administracyjne i informacyjne potrzeby prezydenta lekceważone itp. To konstytucja jest bezpiecznikiem dla wszystkich stron politycznej gry. Kiedy opadnie nieco euforia po „wielkim tygodniu Nawrockiego" (w środę Donald Trump, w piątek prezydent i premier Włoch, potem papież Leon XIV), może do Kancelarii Prezydenta wedrze się trochę realizmu? Tak miło już raczej nie będzie.

eprasa.pl 2a630d192f

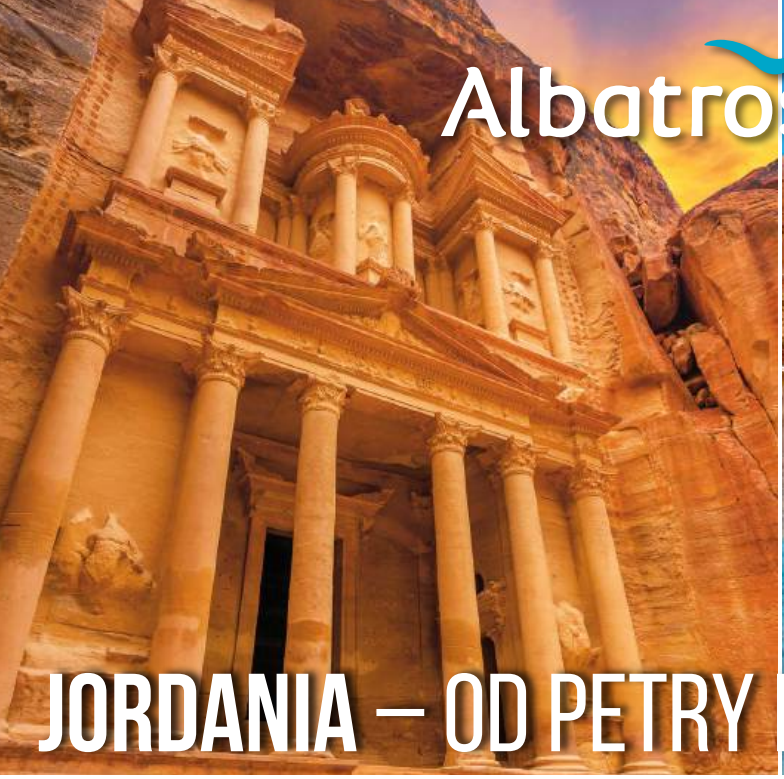

Albatros travel

JORDANIA – OD PETRY DO MORZA MARTWEGO

Odkryj to, co najlepsze w Jordanii – Petrę, jedno z największych dzieł na świecie stworzonych przez człowieka, tętniącą życiem stolicę Amman, unikalne pustynne krajobrazy oraz zrelaksuj się nad Morzem Martwym.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Ammanu w Jordanii. **Dz. 2** Rzymskie Ruiny Dżarasz i Meczet Króla Abdullaha w Ammanie. **Dz. 3** Góra Nebo i Madaba. Mozaiki Ziemi Świętej oraz Kościół Apostołów. **Dz. 4** Madaba - Wadi Rum. Safari jeepami i nocleg w campie na pustyni. **Dz. 5** Z Wadi Rum do Petry. Zwiedzanie „Małej Petry". **Dz. 6** Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Świątynia Al-Khazneh, centrum Petry i królewskie grobowce. **Dz. 7** Miejsce chrztu Jezusa w Dolinie Jordanu. Kąpiel w Morzu Martwym. **Dz. 8** Morze Martwe – Amman i powrót do domu.

2 posiłki dziennie

8 dni
Wyloty z Warszawy
31/10 2025, 09/02 2026

od **7.498,-**

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

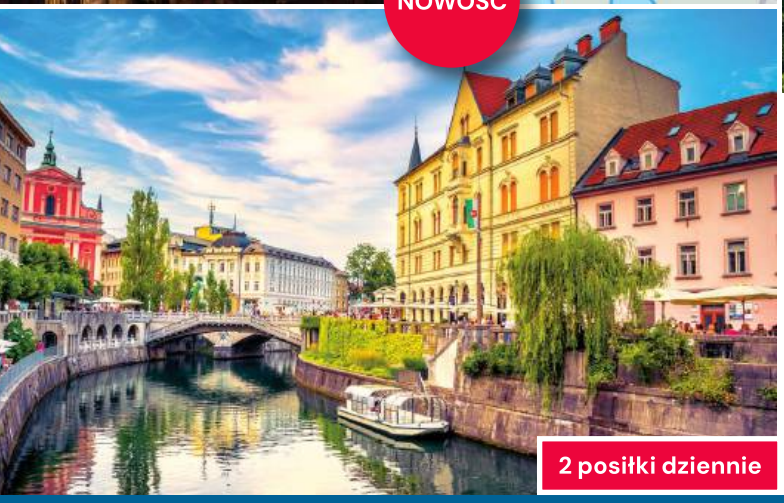

2 posiłki dziennie

SŁOWENIA – MIĘDZY ALPEJSKIMI SZCZYTAMI, A ADRIATYKIEM

Wybierz się w wyjątkową podróż pełną zapierających dech w piersiach widoków i niezapomnianych wrażeń przemierzając górzyste krajobrazy Słowenii z wypadami do sąsiedniej Austrii i Włoch, a na koniec odpocznij na plaży nad Adriatykiem.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Lublany i przyjazd do Kranjskiej Gory. Ruiny zamku w Begunje, krótki spacer i kolacja powitalna. **Dz. 2** Kranjska Gora – Bled – Kranjska Gora. Zwiedzanie Bled, rejs po jeziorze i wizyta na wyspie Bled. **Dz. 3** Kranjska Gora – Bohinj – Radovljica – Kranjska Gora Jezioro Bohinj, lokalny obiad i muzeum pierników w Radovljicy. **Dz. 4** Kranjska Gora – Klagenfurt – Kranjska Gora. Wycieczka do austriackiego Klagenfurtu ze zwiedzaniem Starówki. **Dz. 5** Kranjska Gora – Lublana – Portorož. Spacer po stolicy Słowenii i przejazd na wybrzeże. **Dz. 6** Portorož – czas wolny lub wycieczka fakultatywna do jaskiń Postojna i Triestu z wizytą u lokalnego producenta żywności. **Dz. 7** Portorož – czas wolny i kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Portorož – Lublana – powrót do kraju.

8 dni | Wyloty z Warszawy 20/05, 23/09 2026 | od **6.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL35**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 2a630d192f

ILUSTRACJA **JANEK KOZA**

Stracony przedmiot

Wyznaczony przez ministrę Barbarę Nowacką termin na wypisanie się z edukacji zdrowotnej – do 25 września – podziałał mobilizująco. Najpierw na biskupów, którzy przypomnieli swój list sprzed wakacji. „Według założeń nowego przedmiotu uczniowie mają być od najmłodszych lat poddawani erotyzacji. (…) W trosce o wychowanie i zbawienie apelujemy, abyście nie wyrażali zgody na udział Waszych dzieci w tych demoralizujących zajęciach" – apelują w sieci. Dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego w kościołach można było też usłyszeć kolejne wezwanie w tej sprawie autorstwa abp. Tadeusza Wojdy. W efekcie tam, gdzie głos Kościoła jest wciąż słuchany, z edukacji zdrowotnej rezygnują całe klasy.

Załamane nauczycielki donoszą, że pytania od rodziców dotyczą głównie tego, czy na zajęciach będą „treści LGBT"; słychać też niezgodę na poruszanie tematów związanych z orientacją psychoseksualną. Na zebraniach z rodzicami nie ma dyskusji, tylko pytania o to, skąd wziąć deklarację o rezygnacji z zajęć. Dane o frekwencji poznamy dopiero w październiku, ale wiadomo, że wpłynie na nią też proza szkolnego życia, a konkretnie – od dawna przeładowane plany. Zajęcia z edukacji zdrowotnej będą pierwsze lub ostatnie w ciągu dnia – żeby uczniowie, którzy nie biorą w nich udziału, nie mieli okienek. – *Wyszliśmy z założenia, że skoro po 25 września będziemy wiedzieć, jak liczne będzie grono zainteresowanych, to dopiero wtedy wpiszemy nowy przedmiot do planu* – mówi Judyta Rudnicka, nauczycielka ze szkoły podstawowej nr 103 w Warszawie. I dodaje: – *Przeczuwam, że rezygnacji będzie dużo. Trudno zachęcić uczniów do zajęć, które byłyby dla nich już siódmą, ósmą czy nawet dziewiątą godziną lekcyjną danego dnia.*

Stracony przedmiot – już można to właściwie ogłosić. Miał wnosić do polskiej edukacji nową jakość (nie będzie na ocenę) i treści – uczyć m.in. jak dbać o siebie, jak mądrze korzystać z internetu, jak radzić sobie ze stresem i presją rówieśniczą. Tymczasem awantura o „deprawowanie dzieci" trwa w najlepsze. Dotarła już do momentu, w którym wszystkie strony – zarówno ta kościelna i prawicująca, jak i szefostwo MEN – wzajemnie oskarżają się o „pornolobby i seksualizację dzieci". Barbara Nowacka zaordynowała przygotowanie 85 tys. papierowych ulotek na temat edukacji zdrowotnej, które mają trafić do szkół i do rodziców. Rychło w czas. (AGSZCZ)

Strateg Tuska

Prof. **Robert Kupiecki** będzie doradzać szefowi rządu w strategicznych sprawach dotyczących polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Jeszcze kilka tygodni temu słychać było o utworzeniu w KPRM nowego stanowiska i odrębnej komórki – kogoś w rodzaju doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego wraz z zapleczem analitycznym. Ostatecznie Kupiecki zostaje w MSZ jako podsekretarz stanu, a doradcą Tuska ma być niejako dodatkowo. Zbieg tej decyzji z rekonstrukcją rządu, a później z prezydenturą Karola Nawrockiego wywołał domysły, że rząd tworzy przeciwwagę wobec Dużego Pałacu – którą firmować mają wicepremier Sikorski i prof. Kupiecki.

Na pewno tandem wspierający „kierownika" ma o wiele większe kompetencje i bogatsze doświadczenie niż doradcy ds. międzynarodowych nowego prezydenta. Kupiecki jest zawodowym dyplomatą od 30 lat, naukowcem politologiem, wykładowcą akademickim i urzędnikiem, który miał wpływ na strategiczne relacje Polski. Ma za sobą „szlak bojowy" znaczący najważniejsze sukcesy, jak wejście do NATO i UE. Zawodowo zajmował się obiema instytucjami, ale Sojusz, polityka odstraszania i obrony oraz relacje wojskowe z USA są mu szczególnie bliskie. To on rozmawiał z Amerykanami o Patriotach i o stacjonowaniu ich wojsk w Polsce, zanim było to modne. Jako ambasador w Waszyngtonie na własnej skórze zaznał prezydenckiej nieprzewidywalności, gdy Barack Obama 17 września 2009 r. ogłosił, że rezygnuje z planów budowy tarczy antyrakietowej. Będąc atlantystą, nauczył się być realistą, co będzie kontrastować z fanklubem Donalda Trumpa w Pałacu Prezydenckim.

Gdy na stole wyląduje niebawem amerykańska strategia bezpieczeństwa i obrony oraz przegląd rozmieszczenia sił USA na świecie, Kupiecki będzie je analizował pod kątem całego układu sojuszniczego w Europie – podczas gdy polityczni rywale upajać się będą zapewnieniem o pozostawieniu wojsk w Polsce. Przecieki z Pentagonu, od kilku dni zwanego też departamentem wojny, wskazują, że Stany postawią na siebie („America First") i zrezygnują z konfrontacji nawet z Chinami, nie mówiąc o Rosji. Jeszcze więcej obowiązków i wyzwań stanie przed koalicją chętnych i zdeterminowanych, by Europy bronić.

Jedno, czego Kupiecki nie załatwi dla Tuska, to wizerunek. Niechętnie występuje w mediach, a w rozmowach bywa „ostry jak brzytwa". Nie tylko wobec dziennikarzy. (MŚ)

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ANATOL CHOMICZ/FORUM, PLATFORMA X

eprasa.pl 2a630d192f

Wyjaśniają, żeby zaciemnić

Indywidualni odbiorcy prądu dostają od jego sprzedawców pisma, których nie są w stanie przeczytać, a co dopiero zrozumieć. „Ważne zmiany w 2025 r." informują, że od lipca wprowadzono sprzedawcę rezerwowej energii elektrycznej, za którego usługi, jak się domyślamy, trzeba będzie zapłacić. Nie dowiadujemy się wprawdzie, co to jest ta rezerwowa energia, ale jej dostawcę już wybrał dla nas Urząd Regulacji Energii. Jeśli chcemy wiedzieć, ile nas to będzie kosztowało, nadawca odsyła do strony internetowej sprzedawcy rezerwowej energii.

W tej samej grubej kopercie znajduje się plik kartek zatytułowany „Ogólne warunki umowy sprzedaży energii elektrycznej i świadczenia usług dystrybucji dla klienta indywidualnego". Ich zmiana zwykle oznacza podwyżkę ceny, choć nadawca unika słowa „podwyżka". Lektura jest żmudna i wyraźnie zniechęcająca, trzeba przebić się przez ponad 20 definicji, np. „IRiESD – Instrukcja Ruchu

i Eksploatacji Sieci Dystrybucyjnej OSD, wprowadzona w życie zgodnie z przepisami ustawy Prawo energetyczne, określająca procedury i sposób wykonywania czynności związanych z ruchem sieciowym, eksploatacją sieci i działalnością dystrybucyjną. IRiESD dostępna jest dla klienta w siedzibie właściwego OSD". Jasne?

Idźmy dalej. Na 10 stronach OWU E. ON podaje nam parametry energii elektrycznej, warunki ich utrzymania zależą od klienta, musimy ich dotrzymać. Mamy pobierać moc „nie większą od mocy umownej, przy współczynniku tg φ nie większym niż 0,4". Przez „współczynnik odkształcenia wyższymi harmonicznymi napięcia zasilającego THD należy rozumieć współczynnik określający łącznie wyższe harmoniczne napięcia (U), obliczany według podanego wzoru, na którym trzeba wyciągnąć pierwiastek z…". Skomplikowanych wzorów, pełnych greckich liter, jest w OWU, które nas dotyczą, więcej. Jak się z tego wywiązać?

– *Sprzedawcy energii mają obowiązek informować nas o zmianach* – wyjaśnia Joanna Maćkowiak-Pandera, szefowa Forum Energii. – *Nikt jednak nie pilnuje, żeby to robili w sposób dla nas zrozumiały, więc wyjaśniają tak, żeby jak najwięcej zaciemnić. Mają w tym interes*.

Problem narasta od lat. Ostatnio o rachunki zrozumiałe dla odbiorców upomina się współautor „pakietu deregulacyjnego" Rafał Brzoska. Z jasnego rachunku powinniśmy się dowiedzieć, ile płacimy i za co, do czego państwo dopłaca. To zaś jest niebezpieczne dla świetnie zarabiających wytwórców energii, bo zaczęlibyśmy pytać „dlaczego?". Nie mając pojęcia o prawdziwych kosztach, domagamy się mrożenia cen. A państwowe spółki energetyczne porażają nas niezrozumiałą paplaniną. (SOL)

Trybunał w stanie osłupienia

„Obowiązuje kultura na tej sali, do cholery! – krzyczał wiceprzewodniczący Trybunału Stanu **Piotr Andrzejewski** i uderzał ręką w blat. A działo się to w Sądzie Najwyższym podczas posiedzenia TS. Krzyczał i uderzał ręką nie raz – można się było obawiać, że do walenia zacznie używać buta, niczym Nikita Chruszczow na posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ. A nie było komu przywołać go do porządku, bo to on przewodniczył rozprawie. Na koniec zerwał się zza stołu, złapał teczkę i ruszył do wyjścia, trącając po drodze innych sędziów. Jednemu z nich pchnął krzesło tak energicznie, że mało nie uderzył sędziego w głowę. Wychodząc, rzucił jeszcze, że tak właśnie wygląda przywracanie praworządności przez ten rząd. Wiadomo: wina Tuska.

Co tak rozwścieczyło sędziego? Złożenie wniosku przez wykluczonych przez niego dwa dni wcześniej ze sprawy o uchylenie immunitetu Małgorzacie Manowskiej, przewodniczącej TS i pierwszej prezes SN. Wniosek zmierzał do tego, by pełny skład Trybunału rozstrzygnął, czy Andrzejewski i dwóch innych sędziów prawidłowo zinterpretowali zastosowanie do wykluczenia 12 innych sędziów TS konkretnego przepisu Kodeksu postępowania karnego. Andrzejewski, mocno zdenerwowany, powiedział, że tego wniosku rozpatrywać nie zamierza i że może zrobi to kiedy indziej, co nie miało nic wspólnego z przewidzianą na tę okoliczność procedurą. A gdy współautorzy wniosku, sędziowie Jacek Dubois i Przemysław

Rosati, próbowali mu na to proceduralne uchybienie zwrócić uwagę, do końca stracił panowanie nad sobą.

Ale mniejsza nawet, o co poszło. Zachowanie wiceprzewodniczącego TS, tak czy owak, było obrazą sądu. Skoro jednak sam przewodniczył tej rozprawie, nie wiadomo, kto miałby mu za to wymierzyć karę. W dodatku sędziowie nie mają Kodeksu etyki sędziego TS, więc nie można go ukarać za jego złamanie. Co najwyżej adwokatura, do której przynależy Andrzejewski, mogłaby mu wytoczyć postępowanie o zachowanie niegodne adwokata.

Skutki są poważne, bo całe zdarzenie transmitowały media. I teraz, jeśli w ogóle dojdzie do postawienia przed Trybunałem byłego już przewodniczącego KRRiT Macieja Świrskiego (co niedawno uchwalił Sejm), to nikt już tego organu poważnie nie potraktuje, a publiczność będzie czekała nie tyle na rozpatrzenie zarzutów, ile na igrzyska. Kolejny konstytucyjny organ został ośmieszony.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 2a630d192f

TYDZIEŃ W POLITYCE

Szon Patrole i polityka

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.

Grupy nastolatków, głównie chłopców w wieku 13–15 lat, krążą po galeriach handlowych i osiedlowych uliczkach w odblaskowych kamizelkach z napisem „Szon Patrol" (skrót od bardzo obraźliwego dla kobiet określenia – więcej s. 95), pełniąc samozwańczą funkcję strażników moralności. Napotkane dziewczynki, jeśli patrol uzna ich strój lub makijaż za wyzywający, są głośno upominane, obrażane, a także fotografowane. Zdjęcia trafiają do sieci z hasztagiem „szon", a tam wylewa się fala hejtu. Gdyby podmienić napis na kamizelkach na „Sharia Police", większość Polaków zapałałaby świętym oburzeniem i zażądała od władz szybkiej reakcji. Jako że jednak robią to polscy chłopcy, to sprawa została uznana jedynie za kolejny tiktokowy trend, a część dorosłych przyklasnęła pomysłowi, uznając, że „dzieci wzięły sprawy w swoje ręce". Poseł Robert Biedroń uznał nawet to zjawisko za dobry temat do żartu z prezydentów Trumpa i Nawrockiego, za co później przeprosił, zrzucając winę na asystenta.

Sprawa jest jednak poważniejsza. Po raz kolejny obserwujemy sygnały bardzo niepokojące z perspektywy politycznej przyszłości Polski. I po raz kolejny, mam wrażenie, nie uczymy się na błędach. Ani własnych, ani cudzych. „Szon Patrole" są działaniem przemocowym i nazywanie ich „trendem" to jak przyzwolenie na nie. Agresywne zachowania wśród młodzieży nie są problemem jedynie rodziców czy szkoły. Są poważnym problemem społecznym, mającym długofalowe konsekwencje także dla krajobrazu politycznego. Badań naukowych, które to potwierdzają, jest mnóstwo, ale ja polecam zapoznanie się z dorobkiem znakomitej pedagożki Małgorzaty Michel z UJ, która od lat bada i opisuje związek między niską samooceną i samotnością chłopców a ich radykalizacją. „Gdy tradycyjne źródła więzi zawodzą, młodzi ludzie stają się szczególnie podatni na narracje radykalne, oferujące pozorne poczucie sensu i tożsamości – nierzadko usprawiedliwiające przemoc wobec innych" – pisze.

Dzisiejsze dzieciaki w żółtych kamizelkach to jutrzejszy narybek radykalnych ugrupowań politycznych, w których logikę działania wpisana jest agresja międzygrupowa. To nie jest przypuszczenie ani tym bardziej hiperbola. To realny scenariusz, który wszędzie ma podobny schemat: osoby z niską lub niestabilną samooceną i chroniczną samotnością czują się zagrożone, a radykalne grupy oferują im silne poczucie tożsamości i przynależności, w zamian oczekując pełnej lojalności, uznania hierarchii i wrogości wobec osób z zewnątrz. Przemoc jest tylko uzasadnioną strategią działania mającą na celu dominację lub odzyskanie uznania.

Jeśli natychmiast nie zareagujemy – systemowo, długofalowo, empatycznie – to pozostanie nam patrzenie, jak z wyalienowanych, zagubionych dzieciaków wyrastają zradykalizowani dorośli, gotowi zniszczyć zastany porządek społeczny. Świat gwałtownie skręca w prawo, a jednym z powodów jest to, że nie potrafimy zadbać o dobrostan naszych dzieci, dać im poczucia przynależności, bezpieczeństwa i wsparcia.

Z uwagą przeczytałam podstawę programową edukacji zdrowotnej. Świetna robota! I co z tego, skoro przedmiot jest nieobowiązkowy? Mieliśmy okazję, żeby uczyć dzieci empatii, budować ich odporność psychiczną, dawać wiedzę chroniącą przed lękiem. Wybraliśmy ideologiczną wojnę – jedni atakując bezmyślnie, drudzy ustępując tchórzliwie.

180

Tyle polskich gmin wprowadziło już jakiś rodzaj nocnej prohibicji. Wśród nich 12 z 16 miast wojewódzkich, m.in. Kraków, Bydgoszcz, Gdańsk, Szczecin, Olsztyn, Łódź. Zakaz nocnej sprzedaży alkoholu dotyczy jedynie sklepów spożywczych i stacji benzynowych. Ograniczenia nie dotykają barów, pubów czy restauracji. W 30 ze 180 gmin zakazy obejmują tylko część gminy lub miasta. Tak jest choćby w Poznaniu, we Wrocławiu, w Rzeszowie, Katowicach czy Kielcach, gdzie prohibicja obowiązuje tylko na starówce oraz w kilku sąsiednich dzielnicach, a zakaz jest rozszerzany stopniowo. W popularnych wśród turystów miejscach lokalne władze też chcą spokojniejszych nocy. W tym roku Giżycko na Mazurach wprowadziło ograniczenia, ale czasowe, bo tylko w sezonie trwającym od czerwca do końca września.

Przykład dał Kraków, który w 2023 r. wprowadził prohibicję od **północy do 5.30** na terenie całego miasta. W ciągu roku nocne interwencje policji **zmalały o 48,5 proc.**, a straży miejskiej – o **31 proc.** Jest tam też niemal o połowę mniej wykroczeń. Statystyki z innych miast również wskazują na wymierne efekty tego typu ograniczeń. We Wrocławiu liczba interwencji strażników miejskich spowodowanych alkoholem spadła o **12 proc.** Na niektórych wrocławskich osiedlach, jak Huby – nawet o połowę. W dużo mniejszym Koninie – o **70 proc.**

Doświadczenia z innych miast nie przekonują jednak warszawskich radnych. W stolicy sytuacja jest wyjątkowo ciekawa: przygotowano dwa projekty nocnej prohibicji. Jeden autorstwa Rafała Trzaskowskiego ogranicza sprzedaż alkoholu **w godz. 23–6**, drugi klubu Lewica-Miasto Jest Nasze od **godz. 22–6**. 14 dzielnic opowiedziało się przeciwko nocnemu zakazowi, a tylko 4 poparły pomysł (m.in. Śródmieście i Praga Północ). Podczas głosowań dochodziło do paradoksów: radni KO głosowali przeciwko propozycji prezydenta, a radni PiS byli za. Sam Trzaskowski, choć zgłosił projekt, też jest… przeciwny zakazowi. Jego zdaniem problemy narastające w centrum miasta przeniosłyby się na obrzeża i do sąsiadujących gmin. Radni KO zaś tłumaczą, że startowali do wyborów z innym programem niż nocny zakaz sprzedaży alkoholu oraz że zakaz jest w stolicy niepotrzebny, bo to bezpieczne miasto.

Mieszkańcy mają inne zdanie. Z przeprowadzanych w ubiegłym roku konsultacji społecznych większość z nich (bo **ponad 80 proc**.) opowiedziała się za ograniczeniem nocnej sprzedaży alkoholu w sklepach. Teraz sprawa trafi pod obrady Rady Warszawy. Głosowanie prawdopodobnie w połowie września. (AGSZCZ)

eprasa.pl 2a630d192f

RAINBOW

R.pl

Wszystkie Oblicza Egzotyki

Dominikana · Meksyk · Kolumbia · Wenezuela · Kuba

eprasa.pl 2a630d192f

Wojny i pokoje Trumpa

Norweski Komitet Noblowski ogłosi 10 października, kto w tym roku odbierze nagrodę pokojową. Apetyt ma na nią prezydent Stanów Zjednoczonych **Donald Trump**, który dowodzi, że zakończył „sześć lub siedem wojen". Biały Dom objaśnia, że chodzi o spory między Izraelem a Iranem, Rwandą i Demokratyczną Republiką Konga, Armenią i Azerbejdżanem, Tajlandią i Kambodżą, Indiami i Pakistanem, Egiptem i Etiopią oraz Serbią i Kosowem.

Eksperci zauważają, że spór egipsko-etiopski o otwieraną oficjalnie w tym miesiącu zaporę na Nilu jest bardzo daleki od spełnienia kryteriów wojny. Serbia i Kosowo to historia sprzed lat, jeśli Trump jakąś rolę odegrał, to w pierwszej kadencji. Reszta konfliktów trwa, a Trump przecenia swój wkład rozjemcy. Owszem, pewien miał w przypadku wymiany ciosów między Izraelem a Iranem. Zaczęły się latem, Izrael był górą, do ostrzału irańskich obiektów dołączyła armia amerykańska. Trump zaszantażował Teheran i równolegle wykorzystał zażyłość z izraelskim premierem, by i na nim wywrzeć presję. Wygląda jednak na to, że 12-dniowa kampania opóźni irański program jądrowy raczej o miesiące niż o lata i doprowadziła jedynie do pauzy w waśniach.

Żadnej przerwy nie ma między wspieraną przez Rwandę grupą M23 a DRK. Kigali i Kinszasa prowadziły negocjacje, uczestniczyli w nich Amerykanie i Katarczycy, w czerwcu w Waszyngtonie podpisano porozumienie pokojowe, ale walki się toczą. Obie strony mogły się dopuścić zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. We wschodniej części DRK blisko 8 mln osób musiało opuścić swoje domy, a 28 mln nie ma zapewnionego dostępu do żywności. Nie tak powinien chyba wyglądać „nowy rozdział nadziei i możliwości, harmonii, dobrobytu i pokoju", który według Trumpa już się rozpoczął. Podobnie – mimo zawieszenia broni, na które Trump naciskał, grożąc reperkusjami celnymi – trwają graniczne zadrażnienia między Tajlandią a Kambodżą.

W sierpniu porozumienie w obecności Trumpa podpisali liderzy Armenii i Azerbejdżanu. Nikol Paszynian i Ilham Alijew prześcigali się w komplementach dla gospodarza (kto ma dostać Nobla, jeśli nie on?). Jakby liczyli, że laury spłyną i na nich. Trump faktycznie przyspieszył proces, ale szereg kluczowych kwestii – w tym niezbędne zmiany w armeńskiej konstytucji – sprawiają, że do zawarcia traktatu kończącego 35-letnią wojnę jeszcze daleko. Trumpa do Nobla nominował też Pakistan („wykazał się wielką strategiczną dalekowzrocznością i wybitnym kunsztem politycznym"), choć Indie upierają się, że tygodnie ataków rakietowych zakończyły się wyłącznie w obliczu ich przewagi.

Pokojowy Nobel przyznawany jest za „największe wysiłki" na rzecz braterstwa między narodami, zniesienia lub ograniczenia stałych armii oraz organizowanie i wspieranie kongresów pokojowych. Otrzymało go czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych. Ostatni był Barack Obama, nagrodzony w 2009 r. za działania na rzecz nierozprzestrzeniania broni jądrowej.

Afganistan – wstrząsy wtórne

W trzech kolejnych silnych trzęsieniach ziemi w Afganistanie, w odległych wschodnich prowincjach Kunar i Nangarhar zginęło przynajmniej 2,2 tys. osób, a dotkniętych klęską żywiołową jest ponad 100 tys. To dane mocno zaniżone, bo do wielu zasypanych dolin Hindukuszu ratownikom nie udało się dotrzeć, nawet z pomocą nielicznych helikopterów, a sytuację pogarszają ulewne deszcze. To obszar bardzo aktywny sejsmicznie, gdzie płyta indyjska napiera na eurazjatycką. Ziemia zatrzęsła się tu w 2022 i 2023 r., obecny kataklizm jest najsilniejszy od stulecia. Pogłębia permanentny afgański kryzys humanitarny, narastający po przejęciu władzy przez talibów przed czterema laty. Zaczęły topnieć pomoc humanitarna i wsparcie międzynarodowych organizacji pozarządowych, z którego korzysta na co dzień połowa mieszkańców (64 proc. według ONZ żyje za mniej niż dolara dziennie, 14 proc. cierpi głód). Sytuację gospodarczą pogorszyły wprowadzone przez talibów dziesiątki obsesyjnych zakazów dotyczących kobiet, z zakazem pracy i wychodzenia z domu bez męskiego opiekuna włącznie. Kobiety nie mogą się odzywać w miejscu publicznym, obowiązują luźna burka, rękawiczki i gęsty woal.

Te zakazy znalazły dramatyczny finał podczas dwóch poprzednich trzęsień ziemi „za talibów", kiedy wśród ofiar było nieproporcjonalnie wiele kobiet i dziewcząt, którym nie udzielono pomocy. Według zaleceń talibów mogły jej udzielić tylko kobiety, a w opiece medycznej, i tak skromnej, zostało ich coraz mniej. Wiele reżim zmusił do siedzenia w domu i do emigracji. Przed kobietami zamknięto studia medyczne – jak zresztą wszystkie inne – a studentkom nie pozwolono obronić dyplomów. Teraz zapewne będzie jeszcze gorzej, bo z powodu braku środków, dawniej płynących m.in. z USA, zamknięto wiele terenowych punktów medycznych. To była podstawa opieki zdrowotnej, której dziś zabrakło. Z lokalnych źródeł napływają setki dramatycznych doniesień.

Według pozostałych na miejscu ekspertów Norwegian Refugee Council obecna klęska żywiołowa przydarzyła się „w najgorszym momencie". Teraz są deszcze, wcześniej była klęska suszy, a do Afganistanu wróciły 2 mln imigrantów, usuniętych siłą z Iranu i Pakistanu. Rośnie izolacja kraju (rządy talibów uznaje tylko Rosja), obowiązują sankcje i topnieje ochota na świecie, żeby tu pomagać. Od dawna afgańska codzienność składa się z samych „najgorszych momentów".

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES, AFP/EAST NEWS, LAURA LEZZA/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a630d192f

Święty z laptopem

Kościół katolicki szuka sposobów na zniwelowanie przepaści pokoleniowej. Papież Leon XIV ogłosił właśnie świętym **Carlo Acutisa**. Błyskawiczny, jak na warunki watykańskie, proces kanonizacyjny jest odpowiedzią na ludowy kult otaczający św. Karola. Żywiołowy i kształtowany przede wszystkim w internecie, stającym się coraz ważniejszym narzędziem ewangelizacji.

Nowy święty bywa prezentowany z aureolą i laptopem. Urodził się w Londynie we włoskiej zamożnej i niereligijnej rodzinie, która później wróciła do Włoch. Jego formację zapoczątkowała pochodząca z Polski niania. Sprezentowała mu obrazek z Matką Boską Częstochowską i nauczyła modlitwy „Aniele Boży". Św. Karol miał dzielić z rówieśnikami namiętność do gier komputerowych. I wyróżniać się pobożnością, uważnością na los osób nieuprzywilejowanych i przywiązaniem do obyczajowej ortodoksji. Tworzył strony internetowe poświęcone cudom eucharystycznym. Zdiagnozowano u niego ostrą białaczkę szpikową, zmarł 2006 r. w wieku 15 lat, został pochowany w Asyżu w trampkach, dżinsach i sportowej bluzie. **Zawoskowane ciało spoczywa w przezroczystej trumnie.**

W tym roku Asyż spodziewa się 2 mln pielgrzymów chcących znaleźć się bliżej Karola. Ważną cechą mieszkań wynajmowanych w mieście stał się dystans do grobu. Wzbudzeniem kultu, konsekwentnie zmierzającego ku kanonizacji, zajęła się matka chłopca. Latami dowodziła heroiczności jego cnót, starając się braki charyzmatycznych czynów zrównoważyć opowieścią o postawie nastoletniego mistyka.

Jej syn funkcjonuje jak internetowy influencer. Widzi się w nim pierwszego świętego pokolenia milenialsów, urodzonego pod koniec XX w. Albo pierwszego „wielkiego świętego" obecnego tysiąclecia. Zmodernizowanemu wizerunkowi towarzyszy tradycyjna hagiografia. Oba uznane przez Watykan cuda dokonały się w dniach, w których czterolatek z wrodzoną wadą trzustki dotknął bluzy św. Karola, a matka kobiety rannej w wypadku modliła się przy jego grobie. W 2019 r. został ekshumowany w celu pobrania fragmentów mięśnia sercowego i przeznaczenia ich na relikwie. Od pontyfikatu Karola Wojtyły trwa masowe wskazywanie świętych. O ile Leon XIII ogłosił tuzin, o tyle Jan Paweł II blisko pół tysiąca, a Franciszek 942 osoby, w tym 813 za jednym zamachem.

13 godzin w pracy

Rząd Kiriakosa Mitsotakisa zaproponował trzy rewolucje w prawie pracy: 10-godzinne zmiany przy czterech dniach pracy w tygodniu, umowy o pracę na tydzień zawierane za pośrednictwem aplikacji i przede wszystkim wydłużenie w niektórych przypadkach maksymalnego dnia pracy do 13 godzin. Jeśli ten ostatni punkt zostanie przyjęty, a prawicowy gabinet Mitsotakisa ma większość w parlamencie, szykuje się nowy rekord Europy. Dla jednych będzie to jedynie zatwierdzenie rzeczywistości, w której Grecy od lat harują za dwóch, dla innych – „legalizacja wyzysku".

Projekt ustawy „Sprawiedliwa praca dla wszystkich", która ma być przyjęta jeszcze we wrześniu, to zdaniem greckiego premiera jedyny ratunek dla gospodarki cierpiącej z powodu kryzysu demograficznego, braku wykwalifikowanych pracowników, a przede wszystkim exodusu młodych Greków – 500 tys. z nich wyjechało z tego 10-milionowego kraju po kryzysie finansowym 2009 r. Rząd nie chce słyszeć o wpuszczeniu do kraju zarobkowych imigrantów spoza Unii. Nie bez znaczenia jest również fakt, że przy stosunkowo niskim oficjalnym bezrobociu – ok. 8 proc. – to realne jest jeszcze niższe i rząd po prostu stara się, jak twierdzi, wyciągnąć pracowników z szarej strefy.

Nowe rozwiązania mają mieć zastosowanie tylko za zgodą pracownika. Związki zawodowe biją jednak na alarm i przekonują, że pracodawcy, zamiast

zatrudnić kolejnego człowieka, będą wymuszać na już zatrudnionych dłuższe godziny pracy i zmieniać je z tygodnia na tydzień. Rząd odbija piłeczkę i twierdzi, że w projekcie ustawy są rozwiązania chroniące przed zwolnieniem w takich przypadkach, zapewniające odpowiednio długi odpoczynek po 13-godzinnej zmianie, a także gwarantujące stawkę nadgodzinową o 40 proc. wyższą od podstawowej, przy czym tych nadgodzin w roku nie może być więcej niż 150. Ten ostatni punkt wywołał już furię związków, według których w Grecji w zasadzie nie istnieje skuteczna inspekcja pracy, która mogłaby to kontrolować.

Kiedy ostatnio wydłużenie czasu pracy w Niemczech zapowiedział kanclerz Friedrich Merz, jako przykłady pracowitości wskazał właśnie Greków i… Polaków, którzy w roku są w pracy odpowiednio 1172 i 1304 godziny przy 1036 w przypadku Niemców. Eksperci mają jednak wątpliwości co do greckich danych, które już wielokrotnie okazywały się wyssane z palca.

Dożynki narodowe

ANETA KYZIOŁ

Serial „1670” Netflixa stał się fenomenem kulturowym. Żeby sprawdzić, co o tym zdecydowało, zaglądamy za kulisy ruszającego właśnie drugiego sezonu. Wszystko jest tu „jeszcze bardziej”.

Na „Sobotę w Adamczysze”, zorganizowaną w ramach sierpniowego Podkarpackiego Szlaku Filmowego w skansenie w Kolbuszowej na Podkarpaciu, gdzie powstają kolejne sezony „1670”, zjechało ponad 2 tys. osób. Zwiedzali serialowe miejscówki, wzięli udział w grze wiejskiej „bieg chłopa pańszczyźnianego”, w konkursie na najgorszego jeźdźca, grali w palanta, próbowali sił w warsztatach kowalstwa, garncarstwa, pisania gęsim piórem, haftu i szycia. Był koncert zespołu Wowakin i potańcówka, a także spotkanie z twórcami serialu, zatytułowane znamiennie, w nawiązaniu do głównego elementu scenografii pierwszego sezonu i do sukcesu serii: „Jak zamienić błoto w złoto”.

Fenomen „1670” prowokuje do takich pytań. Ostatnim polskim serialem, który rozlał się tak szeroko poza ekran, było „Ranczo”, nadawane z przerwą w latach 2006–16 (TVP próbuje je właśnie

eprasa.pl 2a630d192f

Nils Croné, autor zdjęć do serialu, Bartłomiej Topa i reżyser Maciej Buchwald „kładą się Rejtanem".

© JAROSŁAW SOSIŃSKI/NETFLIX

reaktywować). Jego fani organizowali zloty „ranczersów" w mazowieckich Mrozach i Jeruzalu, które wcielały się w ekranowe Wilkowyje, a sprytni biznesmeni sprzedawali serialowe wino Mamrot. Analogicznie po premierze „1670" w grudniu 2023 r. pielgrzymują do skansenu w Kolbuszowej miłośnicy opowieści o zadowolonym z siebie właścicielu „mniejszej połowy wsi" Adamczycha (w genialnym wykonaniu Bartłomieja Topy), dumnym ze swojego kutasa sarmacie, którego życiową ambicją jest zostać najsłynniejszym Janem Pawłem w historii Polski, o jego rodzinie i jego chłopach pańszczyźnianych. Na casting dla statystów do drugiego sezonu zgłosiło się 3 tys. chętnych z całego kraju. Ostatecznie produkcja postawiła, tak jak w pierwszym sezonie, na mieszkańców Kolbuszowej i okolic.

Na internetowych forach fani serialu podrzucają pomysły na kolejne odcinki, a skrzydlate frazy Jana Pawła weszły do języka potocznego, do memów i na T-shirty. Od „hop, hop, hop", którym motywuje swoich chłopów do odrabiania pańszczyzny, po „Człowiek dochodzi do czegoś ciężką pracą własnych chłopów, to zabrać mu, taka mentalność" (o podatkach) czy „Mnie też nikt nic nie dał za darmo. Wszystko musiałem sam odziedziczyć". Do serialu w swoich wystąpieniach nawiązywali politycy, a teraz scena z pierwszego odcinka, w której Jan Paweł daje popis szlacheckiej demokracji, blokując okrzykiem „liberum veto" projekt podniesienia podatków, okazała się prorocza w stosunku do praktyki hurtowego wetowania ustaw rządu przez prezydenta Nawrockiego. „Jedna osoba była przeciw. Koniec tematu. Mamy demokrację" – ucina narzekania szlacheckiej braci bohater „1670".

Na ten sukces zareagowali także historycy. Właśnie wyszła książka „My, sarmaci. Mity i rzeczywistość szlachty Rzeczypospolitej", w której dr Joanna Orzeł na ponad 300 stronach, z cytatami, ilustracjami i przypisami, konfrontuje serialowy świat z faktami. A Muzeum Historii Polski we współpracy z Netflixem zaprasza na czasową wystawę „Wszyscy jesteśmy z Adamczychy" (17–21 września), gdzie rekwizytom z planu towarzyszyć będzie komentarz prof. Michała Kopczyńskiego.

Najsłynniejszy Jan Paweł

Z czego wynika fenomen „1670"? Jakub Rużyłło, scenarzysta serii, skromnie stawia na momentum. „Była w narodzie potrzeba pośmiania się trochę z nas samych, ale przede wszystkim ze szlachty, która przez tyle lat była synonimem czegoś dla nas ważnego, ludzie się do tego odwoływali, szukali korzeni szlacheckich, aż po dekadach przyszła refleksja, że to jest bardziej materiał do śmiechu niż do podziwu i myśmy to wyeksploatowali" – mówił po premierze pierwszego sezonu w radiowej Czwórce. Ale sarmaci to też rezonujące dziś mocno połączenie konserwatyzmu z neoliberalizmem: turboindywidualizm, stawianie własnego interesu ponad społeczny, wspólnotowy czy państwowy. Jedni śmieją się z Jana Pawła, drudzy głosują na Sławomira Mentzena, można by dopowiedzieć.

Jan Kwieciński z Akson Studio, producent serialu, wymieniał na łamach „Business Insidera" kontrowersyjne elementy scenariusza Rużyłły: od nazwania głównego bohatera Janem Pawłem, przez postać pazernego i zawistnego księdza, odcinki z Jezusem, antysemityzm, martwe dzieci. A jednak oburzonych było niewielu, a grany przez Michała Sikorskiego ksiądz Jakub stał się wręcz ulubieńcem widzów. „Paradoksalnie jesteśmy krajem, który lubi przeglądać się w lustrze popkultury, co pokazał choćby sukces filmu »Kler«. Inna sprawa, że sam humor w serialu jest bardzo zróżnicowany: zarówno populistyczny, jak i inteligencki. Mam wrażenie, że dzięki temu bardzo różne środowiska i grupy wiekowe są w stanie znaleźć w tej produkcji coś dla siebie. Mam też tezę, że tuż po wyborach, w klimacie politycznych tarć, widzowie potrzebowali oddechu i my im go daliśmy" – analizował Kwieciński.

Maciej Buchwald, wspólnie z Kordianem Kądzielą reżyserujący serial, klucz do sukcesu także widzi w różnorodności: humoru i wątków. – *Ktoś woli slapstick, ktoś komentarz społeczny, inni lubią, jak są wrzucone jakieś współczesne elementy, typu barokowy drewniany smartfon albo jakiś wątek ekologiczny, dla kogoś wreszcie najfajniejsze są żarty z historii. Staramy się w miarę równomiernie te elementy rozkładać, bo ten serial ma przede wszystkim łączyć, a nie dzielić, i nie czujemy, że coś jest najważniejsze, że to jest serial przede wszystkim mówiący o współczesności albo w śmieszny sposób nawiązujący do historii. Dla mnie każdy z tych aspektów może działać na równych prawach: wzruszenie, trochę bardziej poważna refleksja, a zaraz obok żart o pierdzeniu. Tak jak w życiu: możesz* ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ *pomyśleć mądrą rzecz i piardnąć w tym samym czasie* – kończy filozoficznie.

Szczęka i ząb

Z Maciejem Buchwaldem spotykamy się na planie drugiego sezonu w sierpniu ub.r. Zabudowany przez pion scenograficzny fragment skansenu w Kolbuszowej kolejny raz staje się na kilka miesięcy Adamczychą. W letniej odsłonie wygląda pięknie, ale utrzymująca się od dłuższego czasu temperatura powyżej 30 stopni daje się ekipie mocno we znaki. Aktorzy w ciężkich sukniach i kontuszach, czekając na kolejne ujęcia, chłodzą się wiatraczkami, ekipa zdradza filmowe tricki na upał, jak cienkie chłodzące kamizelki zakładane pod kostiumy. Strażacy polewają wodą strzechy chałup, żeby nie zapaliły się od ostrego słońca ani od lamp używanych do jego kontrowania.

Główny scenograf serialu Mirosław „Mietek" Koncewicz oprowadzanie po swoim królestwie zaczyna od kącika, w którym Natalia, znana na planie „1670" pod ksywą Ząb Czasu – choć sama woli wersję żeńską: Szczęka Czasu – postarza i patynuje serialowe rekwizyty. Jej popisowym „daniem" są mchy. Choć „1670" nie ma ambicji bycia serialem historycznym – to raczej zabawa historią, mieszanie dawnego ze współczesnym, żeby zaskoczyć i rozbawić widza – dbają tu o to, by dworki, chaty i rekwizyty powstawały z użyciem materiałów dostępnych w XVII w.

– *Pracują dla nas snycerze, kowale* – wymienia Koncewicz, który pochodzi z Podkarpacia i wciąż ma w okolicy znajomych rzemieślników. – *Najpierw projektujemy rzeczy, robimy makiety, mamy wszystko rozrysowane. Na przykład kuźnię z zeszłego sezonu mieliśmy zaprojektowaną co do milimetra. To jest bardzo ważne dla rzemieślników, którym te projekty wysyłamy do realizacji.*

Ale nie brakuje też rekwizytów absurdalnych, które wymyślają i robią sami w ramach – jak mówi Mietek Koncewicz – „walki z nudą w przestrzeni". Tak powstały takie wynalazki, jak „smartfon" Stanisława, czyli kawałek zamalowanego płótna przesuwanego na drewnianych rolkach, słomiane koło ratunkowe Bogdana, wiewiórka do kąpieli czy walizkowy zestaw egzorcystyczny księdza Jakuba. Furorę zrobił też żywy kogut w klatce na dachu konnego ambulansu: – *Zastanawialiśmy się, jak przebić ząb z powozu dr. Schultza z „Django" Tarantino* – śmieje się scenograf. Na pytanie o najbardziej absurdalny rekwizyt, który zrobili, odpowiada: – *Nie wiem, myślę, że jest jeszcze przede mną.*

Jednocześnie z przygotowywaniem się do premiery drugiego sezonu kręcą trzeci.

Złote, a skromne

Na planie znajdziemy też, zbudowane i w pełni funkcjonalne, a użyte tylko w jednej scenie albo wcale: chatę rybaka, stoisko wikliniarza i system drewnianych wodociągów zaprojektowanych przez serialową Anielę (Martyna Byczkowska). Działa też wyposażenie kuźni: palenisko i miechy. Ekipa obsiała pola – zboże podczas zdjęć do drugiego sezonu sukcesywnie dojrzewało, zmieniając kolor i dodatkowo podbijając realizm. Między ujęciami i po godzinach wędzą ryby, robią sery. A gdy w finale pierwszego sezonu, w scenie w lesie Henryk Lubopolski (Bartosz Gelner) nonszalancko kopniakiem niszczy kwiatek, łatwo przeoczyć, że to baśniowy kwiat paproci... Takie szczegóły, znajdujące się często na drugim i trzecim planie, budują gęstość świata „1670" i powodują, że do tej opowieści chce się wracać po raz kolejny i kolejny.

Obok stanowiska Natalii – Szczęki Czasu pracuje pralka Frania, pion kostiumograficzny odbarwia w niej płócienne kostiumy chłopów – szaroburość przednówka z pierwszego sezonu zmienia się w pastele lata w drugim. Szlacheckie kontusze i suknie powstawały na zamówienie u rzemieślników, głównie w Polsce. – *Około 80 proc. tkanin jest dla nas tkana według mojego projektu przez fabrykę pod Lublinem* – opowiada kostiumografka Katarzyna Lewińska. – *Nie do końca według historycznej prawdy. Takich tkanin wtedy nie było. Były inne techniki tkania. Żeby wyglądały prawdopodobnie, nasze są tkane grubym splotem, aby chociaż miały ciężar i charakter epoki. Wzory też mieszam. Czasami historyczne łączę ze współczesnymi projektami. Kiedy mogę sobie pozwolić na żart sytuacyjny poprzez kostium, wtedy to robimy. Natomiast ponad połowa wzorów jest mocno osadzona w epoce* – dodaje twórczyni kostiumów. – *Staram się zachować balans pomiędzy sensem fabularnym i wizualnym; i żeby to wszystko nie było zbyt wymyśloną, a zarazem jednak było wymyśloną rzeczywistością.* Inspirację znalazła m.in. w XVII-wiecznym malarstwie gdańszczanina Daniela Schultza jr., ale też w bardziej znanych dziełach, np. flamandzkich artystów portretujących polskich magnatów i szlachtę. W drugim sezonie wzbogaceni Adamczewscy swój nowy status podkreślają ubiorem. Konserwatyści: Zofia i ksiądz Jakub noszą się w czerniach, ale wzorem kleru w stylu „złote, a skromne". – *Są to stroje, owszem, czarne i ciężkie, jednak od Dolce & Gabbany. Jan Paweł zainwestował z kolei w futro z pantery i autorskie tkaniny, np. z motywem kur, bo akurat wydaje mu się, że kury przybliżają go do chłopów* – tłumaczy Lewińska. Stroje szlachty konstruował i szył jeden z teatrów w Warszawie, a Tomasz Ossoliński w swoim Atelier przygotował kostiumy Jana Pawła i Zofii, ręcznie haftując je koralikami. Jedna z sukni Zofii (Katarzyna Herman) ważyła 20 kg, aktorka nosi ją na gorsecie będącym kopią gorsetów z 1670 r.

Fan numer jeden

Jakub Rużyłło wydaje się nieustannie zadziwiony rozmachem tej produkcji. Kiedy pisał na kartce imiona bohaterów, a potem scenariusz pierwszego – i na kilka lat jedynego – odcinka, miał

eprasa.pl 2a630d192f

Zdjęcia z planu. Od lewej: **Dobromir Dymecki walczy z upałem. Aktorzy Kirył Pietruczuk, Martyna Byczkowska i Jędrzej Hycnar robią sobie selfie.**

© JAROSŁAW SOSIŃSKI/NETFLIX, ROBERT PAŁKA/NETFLIX

już pewne doświadczenie telewizyjne i podpowiadało mu ono, że szanse na realizację projektu są odwrotnie proporcjonalne do jego kosztu. Swoje „1670" wymyślił więc jako folwarczną wersję „The Office", komnatowy mockument o inscenizacyjnej lakoniczności „Korony królów", w którym nuda codzienności jest płótnem dla krindżowych, a zatem żenujących sytuacji i żartów. Długo szukał spokojnego roku w niespokojnym XVII w., bez dziejowych wydarzeń, padło na 1670.

Aż pewnego majowego wieczora pandemicznego 2020 r. odezwał się do niego z pytaniem, czy nie ma czegoś w szufladzie, Ivo Krankowski, producent, który kilka lat wcześniej ściągnął go do ekipy tworzącej program satyryczny typu night talk-show. Program ostatecznie nie został kupiony, ale pracował przy nim także Jan Kwieciński i po latach ta trójka stworzy „1670". Ivo Krankowski swoją rolę producenta kreatywnego widzi tak: – *To jest osoba, która ma wizję i upewnia się, że inne wizje, które dołączają do projektu, czyli reżyserska, scenarzysty, producencka, szefów pionów i nadawcy spotkają się w jednym miejscu.* A mniej formalnie: – *Jestem takim fanem numer jeden, który ma wpływ na kształt uwielbianego dzieła.* Jest obecny na każdym etapie pracy, od scenariusza, przez zdjęcia, po postprodukcję i montaż. – *To jest podróż od samego początku do samego końca. Poprzedzona dwuletnią niepewnością, czy to w ogóle powstanie, i wiarą, że po prostu musi powstać.*

– *Ten serial wziął się z ryzyka i nie chcieliśmy w drugim sezonie zaprzeczać jego istocie i iść w bezpieczną powtórkę tego, co już się udało i zebrało aplauz. Chcieliśmy stawiać sobie kolejne wyzwania* – zapowiada nowe osiem odcinków Maciej Buchwald. Z uwag, jakie dawali scenarzyście przed tym sezonem, najważniejsza była ta, żeby każdy z bohaterów się rozwinął, skończył w innym miejscu, niż zaczął. – *I teraz fabuła jest bardziej demokratycznie rozłożona pomiędzy bohaterów, każdy z nich przeżywa swoją przygodę* – tłumaczy reżyser. Szczególnym przypadkiem jest Bogdan, szlachcic w szóstym pokoleniu, chwilowo bez ziemi, który dzięki temu, że widzowie tak pokochali kreację Dobromira Dymeckiego, zyskał więcej miejsca, niż to było pierwotnie planowane.

– *W ogóle nie miałem problemów z wymyślaniem kontynuacji* – mówi Rużyłło. – *Mam wrażenie, że ten świat w pierwszym sezonie dopiero liznęliśmy, zarysowaliśmy, w drugim bardzo go rozszerzamy. Dzieje się więcej, jesteśmy w wielu miejscach, poznajemy nowych bohaterów, a ci, których już znamy, otrzymują własne historie. Pisanie tego było przyjemnością, a trud był związany z tym, żeby to wszystko upchnąć w czasie, który mamy.*

Trochę mroku

W nowym sezonie nie zawodzą fabuła i poczucie humoru. Rużyłło znów pokazuje, w jak nieoczekiwanych kontekstach można użyć znane hasła, tym razem to m.in. „Moje ciało, mój wybór". Jest też niepokojąca uwaga, że „kat" to od tyłu „tak" i skrzydlate zdania w stylu „Polska scena nietolerancji dopiero raczkuje". Do zaczętej w poprzednim sezonie zabawy formatami telewizyjnymi dołącza wariacja na temat „Rolnika szukającego żony" – tu: „Szlachcic szuka białogłowy". A okrzyk księdza Jakuba: „Szczęść Boże, my na hazard" mógłby widnieć na herbie Polski. Podobnie wieloznaczny jest dziś tytuł finałowego odcinka: „Dożynki".

Mimo mocnej komediowej formy nie brakuje też momentów dramatycznych. – *W pierwszym sezonie, który był bardziej sitcomowy, działania bohaterów nie miały jakichś wielkich następstw, a teraz chcieliśmy pokazać, że to, co robią i jakie decyzje podejmują, ma bezpośrednie konsekwencje. W związku z tym wszystko może staje się trochę bardziej dramatyczne, momentami mroczne, ale to wciąż komedia* – zapowiada Jakub Rużyłło. I dodaje: – *To też jest nadal XVII-wieczna Polska, ciężka pańszczyzna i trudno mi sobie wyobrazić, żebyśmy mogli opowiadać o tym świecie w sposób czysto humorystyczny i sympatyczny, to by było jakoś nieuczciwe.*

Jak sobie radzą z presją przed premierą drugiego sezonu? – *Ja w miesiące poprzedzające zdjęcia uważałem, że w ogóle nie czuję tej presji, moja terapeutka uważała, że jednak czuję. Kiedy termin startu zaczął się zbliżać, przyznałem jej rację* – żartuje Maciej Buchwald. I tłumaczy: – *Prawda jest taka, że mimo wszystko mocniej na nas działa motywująco to, że tylu ludziom spodobał się nasz świat, nasi bohaterowie i nasz pomysł na serial.*

Kontynuację zapowiada jako „jeszcze bardziej".

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 2a630d192f

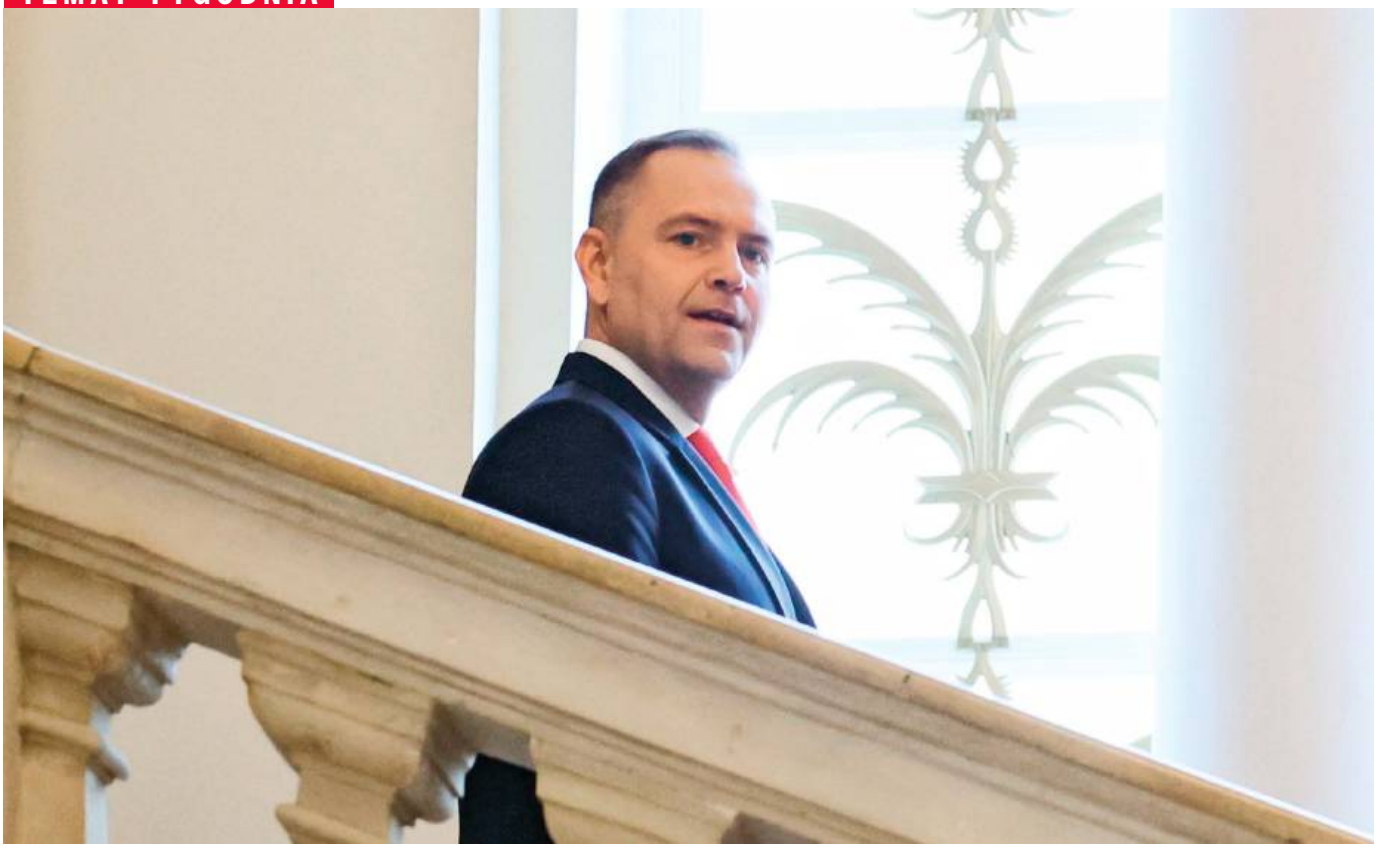

Co może prezydent

Prof. Mirosław Wyrzykowski, prawnik, były sędzia TK, o tym, jakie naprawdę kompetencje daje prezydentowi RP konstytucja i za jakie działania groziłby mu Trybunał Stanu.

EWA SIEDLECKA: **– Czy konstytucja wystarczająco jasno opisuje kompetencje prezydenta i rządu, tak by zapobiegać konfliktom?**

PROF. MIROSŁAW WYRZYKOWSKI: – Konstytucja tworzy ramy dla relacji między różnymi organami państwa. Zakłada, że organy konstytucyjne znają konstytucję, rozumieją ją, przestrzegają i działają w dobrej wierze. Jeżeli te przesłanki nie są spełnione, jeśli jeden, drugi czy trzeci organ uważa, że konstytucja jest zła, nie respektuje jej albo nie rozumie, jeśli nadużywa swoich kompetencji, oskarżając przepisy konstytucji o nieprecyzyjność, to nawet najbardziej jasne i szczegółowe regulacje nie zapobiegną konfliktom.

Kiedy prezydentem był Lech Wałęsa, mieliśmy zjawisko rozpychania się prezydenta w swoich kompetencjach. Jego prawnik prof. Lech Falandysz dokonywał cudów interpretacji konstytucji, żeby poszerzyć władzę prezydencką. Czy z konstytucją z 1997 r. też nam to grozi?

Konstytucja, która obowiązywała za prezydentury Lecha Wałęsy, dawała prezydentowi dużo więcej władzy. Doświadczenia lat 1992–95 spowodowały, że w pracach Komisji Konstytucyjnej dążono do maksymalnego ograniczenia kompetencji prezydenta. Ale gdy prezydent Wałęsa przegrał wybory w 1995 r. na rzecz Aleksandra Kwaśniewskiego, to Komisja Konstytucyjna, której przedtem przewodniczył Kwaśniewski, uczyniła wiele, żeby dodać władzy nowemu prezydentowi. Powstał zatem system hybrydowy, w którym mamy dwa istotne organy władzy wykonawczej: prezydenta i rząd. To nieuchronnie powoduje napięcia. Dlatego ważny jest poziom kultury konstytucyjnej obu stron. To ona sprawia, że choć dochodzi do napięć, to jednak nie do konfliktów, które musiałyby być rozwiązane przez Trybunał Konstytucyjny jako spory kompetencyjne.

Tylko że już nie mamy Trybunału Konstytucyjnego, żeby spór rozsądził... Co to znaczy, że „prezydent jest najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej”? Czy można to rozumieć jako swego rodzaju zwierzchnictwo prezydenta nad rządem?

Jest „najwyższym przedstawicielem” w stosunkach zewnętrznych. To nie oznacza w żadnym wypadku, że prezydent jest najwyższym organem władzy RP. A w stosunkach zewnętrznych nie oznacza najwyższej reprezentacji. W wyroku TK z 2007 r., na tle tzw. sporu o krzesła, czyli o miejsce przy stole posiedzeń Rady Europejskiej (spierali się prezydent Kaczyński z premierem Tuskiem – przyp. red.) Trybunał stwierdził, że konstytucja nie powierza prezydentowi funkcji prowadzenia polityki zagranicznej. Politykę zagraniczną prowadzi rząd, a prezydent w tym zakresie współpracuje z rządem.

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 2a630d192f

Ta współpraca oznacza m.in., że powinien być informowany przez rząd o podstawowych problemach dotyczących spraw międzynarodowych i o tym, jaka jest polityka rządu w tym zakresie. Więc prezydent, wykonując swoje konstytucyjne zadania jako „najwyższy przedstawicielem RP", czyni to w ramach mandatu, jakiego udziela mu rząd.

Czyli jeżeli teraz prezydent zarezerwował dla siebie politykę w relacjach z USA, to łamie konstytucję? Czy może, skoro rząd się z tym nieformalnie godzi, to jest dobry przykład współdziałania pomiędzy tymi dwoma ośrodkami władzy?

Jeżeli oba ośrodki władzy dochodzą do wniosku, że pewne sprawy z zakresu prowadzonej przez rząd polityki zagranicznej będą skuteczniej realizowane przez prezydenta, to dobrze, że dochodzi do porozumienia. Zarazem oznacza to, że prezydent może przedstawiać prezydentowi Stanów Zjednoczonych tylko te koncepcje i elementy polityki zagranicznej, które przedstawi mu rząd. Nie ma dwóch ośrodków władzy w polityce zagranicznej. Gdyby jednak prezydent prowadził własną politykę zagraniczną, to taki sposób realizacji jego zadań nie wynikałby z konstytucji. Byłaby to uzurpacja. Rząd odpowiada za swoją politykę zagraniczną przed parlamentem. Prezydent nie odpowiada przed nikim, zatem mielibyśmy sytuację braku odpowiedzialności za politykę zagraniczną. Czyli wyłączenia kontroli nad nią.

A jeśli prezydent nie będzie się trzymał polityki rządu, to co?

Oznaczałoby to, że narusza konstytucję, i wtedy w grę wchodzi odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu.

Dość iluzoryczna, zważywszy na większość, która jest potrzebna do postawienia przed nim.

Jest jeszcze odpowiedzialność polityczna – przed wyborcami, którzy widzą i oceniają sposób sprawowania urzędu przez prezydenta.

„Prezydent ratyfikuje i wypowiada umowy międzynarodowe, o czym zawiadamia Sejm i Senat". Czy może sobie tak dowolnie wypowiedzieć umowę międzynarodową, np. przynależność Polski do Unii?

Wypowiedzenie umowy międzynarodowej, która wymagała uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie przygotowanej przez rząd i uchwalonej przez parlament, wymaga tej samej drogi: uchwalenia ustawy o wypowiedzeniu. W art. 89 mamy wyliczenie takich umów. Dotyczą pokoju, sojuszy, układów politycznych lub wojskowych, wolności, praw lub obowiązków obywatelskich określonych w konstytucji, członkostwa w organizacji międzynarodowej, znacznego obciążenia państwa pod względem finansowym i spraw uregulowanych w ustawie lub w których konstytucja wymaga ustawy.

„Prezydent jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych i w czasie pokoju sprawuje nad nimi zwierzchnictwo za pośrednictwem ministra obrony narodowej". Czy to znaczy, że może sobie zażyczyć, aby ministerstwo kupiło konkretne uzbrojenie? Np. ustalić w rozmowach z prezydentem Trumpem, że kupujemy bardzo dużo drogiego sprzętu z USA?

Zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi ma charakter polityczny, a kompetencje związane z obronnością i bezpieczeństwem realizuje rząd i minister obrony narodowej. Prezydent nie ma też kompetencji zawierania umów handlowych. Jeżeli prowadziłby jakieś rozmowy w sprawie uzbrojenia, to tylko w zakresie, w jakim uzyska zgodę rządu, i byłby związany jego wytycznymi. Nie wyobrażam sobie, by rząd zrezygnował z konstytucyjnych kompetencji na rzecz prezydenta. A w świetle konstytucji (art. 134 ustęp drugi) wykluczona jest sytuacja, w której prezydent wykonuje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi bezpośrednio, to znaczy z pominięciem właściwego ministra, czyli ministra obrony narodowej.

Prezydent Nawrocki tworzy w swojej Kancelarii rząd alternatywny i mówi, że chce być na bieżąco z działaniami rządu, więc będzie często zwoływał Radę Gabinetową. Może ją zwołać „w sprawach szczególnej wagi". A jeśli będzie robił to np. co miesiąc? Kto ocenia, czy dana sprawa ma „szczególną wagę"?

Jeśli prezydent chciałby poddać rząd regularnej kontroli prezydenckiej, to byłoby to zupełne niezrozumienie konstytucji. Jeżeli coś jest „szczególnej wagi", to oznacza, że odbiega od rutynowego prowadzenia polityki i załatwiania spraw przez rząd. Właściwe pojmowanie konstytucji oznacza, że Rada Gabinetowa będzie zwoływana wyjątkowo, w sprawach, które prezydent uznaje za szczególnie ważne. A kto będzie definiował tę szczególną wagę? Najpierw prezydent, potem w odpowiedni sposób poprzez odpowiedź – rząd. A trzecim oceniającym jest opinia publiczna.

Czy premier i ministrowie mogą nie przyjść na taką Radę, uznając, że temat nie ma tej szczególnej wagi?

Kultura konstytucyjna została już tak strasznie sponiewierana, że nie powinniśmy być świadkami jej dalszego poniewierania. Dlatego uważam, że rząd powinien przyjąć zaproszenie prezydenta. A w jaki sposób premier i ministrowie będą na Radzie prezentowali problemy uznane przez prezydenta za sprawy szczególnej wagi, to już od nich zależy.

Czyli lepiej, żeby rząd przychodził na te „dywaniki" i narażał się na kpiny PiS i prezydenta, ale pokazywał, że szanuje konstytucję i kulturę konstytucyjną?

Tak, jestem tego zdania. Również dlatego, że rząd ma wiele możliwości informowania opinii publicznej i prezydenta o tym, jaką prowadzi politykę w tych sprawach „szczególnej wagi". Społeczeństwo oceni, czy są podstawy do zwoływania Rady Gabinetowej.

Konstytucja daje premierowi władzę odmawiania kontrasygnaty na tych aktach wydawanych przez prezydenta, które nie są konstytucyjnymi prerogatywami prezydenta.

Apeluję o to, żeby nie używać pojęcia „prerogatywy prezydenckie". Konstytucja nie zna takiego pojęcia. To są po prostu akty urzędowe określone w art. 144 ustęp drugi, które dla ważności nie wymagają podpisu premiera. I za które prezydent ponosi odpowiedzialność konstytucyjną przed Trybunałem Stanu. Za wszelkie inne akty urzędowe prezydenta odpowiada premier poprzez swój podpis. W ostatnich latach używano pojęcia „prerogatywy prezydenta", gdy prezydent czegoś odmawiał, np. mianowania sędziego wskazanego przez prawidłowo powołaną Krajową Radę Sądownictwa czy nadania tytułu profesorskiego na wniosek Rady Doskonałości Naukowej. Mówił: to jest moja prerogatywa, więc nie powołam, nie mianuję. Otóż odmowa mianowania sędziego czy odmowa nadania tytułu profesorskiego jest naruszeniem art. 7 konstytucji, który mówi, że władza działa na podstawie i w granicach prawa. Prezydent, powołując się na rzekomą prerogatywę, chce opinii publicznej przedstawić siebie jako tego, który bez podstawy prawnej, bez jakiegokolwiek trybu i w absolutnie dowolny sposób będzie rozstrzygał ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ o sprawach wymienionych w konstytucji i ustawach jako niewymagających kontrasygnaty premiera.

Jeśli chodzi o mianowanie sędziów, to już lata temu Komisja Wenecka powiedziała, że jeżeli prezydent odmawia mianowania sędziego, powinien to uzasadnić. Prezydent Nawrocki zapowiedział dokładne lustrowanie orzecznictwa sędziów przedstawianych mu do mianowania.

Komisja Wenecka nie może przyznać prezydentowi kompetencji, których nie ma on w konstytucji. W swoim stanowisku powiedziała jedynie, że jeżeli uznać, że taka kompetencja przysługiwałaby prezydentowi, to wtedy musiałby taką decyzję uzasadnić.

Wracając do kontrasygnaty premiera: w jakich sprawach może jej odmawiać, powściągając prezydenta? Odwołania prokuratora krajowego? Zmian regulaminu Sądu Najwyższego? Mianowania prezesów izb w SN? – czyli tych uprawnień, które PiS nadał mu ustawowo?

Takich spraw wymagających kontrasygnaty jest mnóstwo – wszystkie poza 30 wymienionymi w art. 144. Choćby przewidziana ustawą możliwość potwierdzenia lub niewygaśnięcia kadencji KRRiT, gdy Sejm i Senat odrzucą jej roczne sprawozdanie.

Wyobrażam sobie, jak intensywna musi być korespondencja między Kancelarią Prezydenta i Kancelarią Premiera w podobnych sprawach. Weźmy np. tzw. ustawę kompetencyjną z 2023 r., gdzie prezydentowi – wówczas był nim Andrzej Duda – poszerzono uprawnienia w stosunkach z Unią Europejską. Poszerzono w ten sposób, że kandydat na stanowisko sędziego unijnego Trybunału Sprawiedliwości wymaga akceptacji prezydenta. Akceptacja, w postaci postanowienia, wymaga kontrasygnaty premiera.

A co, jeśli jej nie dostanie?

Jeżeli odmowne postanowienie prezydenta nie otrzyma kontrasygnaty premiera, to oznacza, że postanowienie to nie wywiera skutków prawnych i kandydatura wysyłana jest do odpowiednich organów w Brukseli. Uprawnienie do wysłania kandydatury będzie miało miejsce także wówczas, gdy prezydent w ciągu 30 dni nie wyda postanowienia. To jest termin określony w Kodeksie postępowania administracyjnego, a prezydent jest tu organem administracyjnym w znaczeniu funkcjonalnym (czyli na potrzeby takich postępowań – przyp. red.).

Prezydent może sparaliżować działalność legislacyjną rządu, czyli de facto rządzenie, wetując rządowe ustawy lub posyłając je do Trybunału Konstytucyjnego. Czy nadużywanie uprawnienia do odmawiania podpisu to delikt konstytucyjny?

Reguł przyzwoitości się nie kodyfikuje. Warunkiem dobrego funkcjonowania państwa jest dobra wola i poczucie odpowiedzialności w realizowaniu swoich zadań przez jego konstytucyjne organy. Oczywiście możemy sobie wyobrazić takie działania, które będą państwo paraliżowały. To nawet nie jest kwestia wyobraźni, bo przecież faktem była odmowa podpisu pod ustawami przywracającymi porządek konstytucyjny w państwie, które otrzymał prezydent Duda. Teraz inne ważne ustawy wetuje, bez poważnych konstytucyjnych zastrzeżeń, prezydent Nawrocki.

Czyli w grę wchodzi odpowiedzialność polityczna, nie konstytucyjna?

Polityczna i moralna. I odpowiedzialność prezydenta jako obywatela Rzeczpospolitej Polskiej.

A jeśli prezydent nie wręczy aktu powołania jakiemuś ministrowi, bo mu się on nie spodoba? Albo odmówi zaprzysiężenia sędziów do TK, jak prezydent Duda? Prezydent Nawrocki może stanąć przed sytuacją zaprzysiężenia aż dziewięciu nowych sędziów TK, bo tyle miejsc się zwolni do końca tej kadencji Sejmu.

Jeśli odmówi, mielibyśmy do czynienia z uzurpacją kompetencji przez prezydenta. A to oznacza, że prezydent naruszyłby art. 7 konstytucji.

Czyli znowu iluzoryczna odpowiedzialność konstytucyjna...

Jednym z założeń regulacji konstytucyjnej jest to, że wszyscy, których ona dotyczy, działają w dobrej wierze. Każda uzurpacja kompetencji, a takich sytuacji w latach 2015–25 było bardzo wiele, oznacza sprawowanie przez prezydenta urzędu nie tylko w złej wierze, ale także z naruszeniem konstytucji.

Spodziewamy się, że prezydent Nawrocki będzie chciał ułaskawić różne osoby z dawnego rządu PiS, jeśli doszłoby do ich skazania. Czy istnieje coś takiego jak nadużycie władzy ułaskawienia? Konstytucja mówi, że prezydent stosuje prawo łaski – i tyle.

Z faktu, że akt łaski prezydenta nie podlega kontroli sądowej, nie można wyprowadzać wniosku, że prezydent w sposób dowolny może realizować swoją kompetencję konstytucyjną. Każdorazowo mamy do czynienia z uzasadnieniem aktu łaski, i ono jest przedmiotem oceny opinii publicznej.

Czyli znowu: odpowiedzialność polityczna i odpowiedzialność „przed Bogiem i historią".

Rozumiem, że dla tych, którzy przysięgę kończą formułą: „tak mi dopomóż Bóg", odpowiedzialność przed Bogiem jest nie mniej ważna niż przed Trybunałem Stanu.

Czy jeśli prezydent sparaliżuje działalność legislacyjną rządu, to rząd może sobie radzić aktami niższego rzędu?

Oczywiście trzeba rozważyć, czy istnieją możliwości uregulowania pewnych spraw rozporządzeniami, ale trzeba pamiętać, że można to robić tylko, jeśli jest do tego upoważnienie w ustawie, i tylko w granicach tego upoważnienia.

Może niepotrzebnie w konstytucji przewidzieliśmy zasadę, że wszystko musi regulować ustawa? Może należało to zarezerwować do najważniejszych kategorii spraw? Czy inne kraje demokratyczne też ze wszystkim odsyłają do ustaw?

Rząd ma legitymizację demokratyczną do kształtowania porządku prawnego w państwie, ale robi to, co do zasady, za pośrednictwem parlamentu, bo to posłowie i senatorzy zostali wybrani przez naród w wyborach. Pośrednictwo parlamentu jest zatem formą sprawowania przez obywateli kontroli nad rządem. Tak jest w państwach demokratycznych. Inaczej powrócilibyśmy do peerelowskiego „lex-teleks", czyli rozmaitych niekontrolowanych aktów o różnej nazwie, którymi rząd wedle swojego upodobania i potrzeb kształtował życie obywateli.

Z naszej rozmowy wynika, że konstytucja nie uratuje nas przed konfliktem i rywalizacją na szczycie władzy.

Nie ma takiego zamka, którego nie można byłoby wyłamać. Konstytucja tworzy granice działania władzy publicznej, i jeżeli jakakolwiek władza publiczna chce siłowo wyjść poza nie – to to zrobi. Tego doświadczyliśmy, z dramatycznymi skutkami ustrojowymi, w latach 2015–23. A wyborcy ocenili.

ROZMAWIAŁA EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 2a630d192f

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Chcem siły

Sławomir Mentzen prowadzi polityczną grę z Jarosławem Kaczyńskim, który chce osłabić Konfederację i odebrać jej wyborców, zanim będzie musiał wejść z nią w koalicję. Co się dzieje w partii Mentzena i czy ma szansę w starciu z PiS?

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

Ciepły wieczór w czwartek 28 sierpnia w Warszawie. Przed klubem Kultura Wysoka stoi scena z telebimem, jest grill, setki młodych ludzi pijących piwo. Z głośników lecą kawałki z czasów, gdy zdecydowanej większości obecnych nie było jeszcze na świecie – Guns N' Roses („Welcome to the Jungle") i Europe („Final Countdown"). Atmosfera pikniku na koniec wakacji. Jest to jednak piknik polityczny – warszawski przystanek na trasie lidera Konfederacji „Piwo z Mentzenem". Można kupić koszulki z jego podobizną za 70 zł, a za 20 zł – piwo z browaru Mentzen. Trwa werbunek do partii, ale zdecydowanie dłuższe kolejki są do piwa i szaszłyków niż do namiotu Nowej Nadziei, czyli mentzenowej części Konfederacji.

Gościem specjalnym jest były premier Mateusz Morawiecki z PiS, za którym konfederaci skądinąd nie przepadają. Morawieckiego witają dwa wydrukowane memy z nim w roli głównej; obok stoi wycięty z tektury Donald Tusk w kaftanie bezpieczeństwa. ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ Kurka siwa, chcem piwa*

– Dziś zamiast podnosić podatki, podniesie kufel piwa – zapowiada Morawieckiego Mentzen. Lider Konfederacji pyta byłego premiera, dlaczego już nie jest u władzy; Morawiecki replikuje, że Mentzen powinien zacząć od przeprosin dla Jarosława Kaczyńskiego, którego nazwał niedawno „politycznym gangsterem"; piwne spotkania z konfederatą odwołali z tego powodu inni politycy PiS: Przemysław Czarnek i szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki.

– Jarosław Kaczyński jest sigmą polskiej polityki – mówi Morawiecki. Do zgromadzonych, lecz i do publiki internetowej (spotkanie jest transmitowane na kanale Mentzena); były premier świetnie wie, że ma w partii przeciwników, którzy odnotowaliby, że nie wziął w obronę prezesa.

Dyskusja trwa mniej więcej godzinę i dotyczy przede wszystkim gospodarki, budżetu i podatków. Morawiecki to starcie wygrywa, Mentzen jest bardziej jednowymiarowy i dogmatyczny. Ekspremier w pewnym momencie – gdy Mentzen po raz enty przekonuje do obniżania podatków – mówi: – I to jest właśnie największa różnica – my jesteśmy za solidarnością społeczną, nie za darwinizmem; krytykuje też Mentzena za to, że ten sprzeciwia się opodatkowaniu banków. Mentzen przeciwstawia temu opowieść, że każdy powinien mieć możliwość zadbania o swój los i że państwo powinno przede wszystkim nie przeszkadzać.

Mentzen chce się wybić na niezależność. Kaczyński może tolerować istnienie 10–15 proc. partii prawicowej, ale tylko pod warunkiem że będzie uznawała jego hegemonię.

Lidera Konfederacji przegrana z Morawieckim raczej nie martwi. Może ją wliczyć w koszty. Zysków i tak jest więcej. Nie idzie tylko o zasięgi w internecie. Każde takie spotkanie Mentzena legitymizuje, dodaje mu powagi, ujmuje radykalizmu. Wcześniej gawędził w Krakowie z wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, później z byłym szefem gabinetu prezydenta Marcinem Mastalerkiem, spotkał się z prezydentem elektem Karolem Nawrockim.

W kampanii przed drugą turą stawiał warunki Nawrockiemu (a ten się na wszystko zgadzał) i poszedł na piwo z Rafałem Trzaskowskim i Radosławem Sikorskim.

Krok po kroku pozbywa się wizerunku polityka skrajnie prawicowego, a jego partia staje się po prostu coraz bardziej pożądanym partnerem koalicyjnym w kolejnym rozdaniu, o czym głośno mówią politycy PiS i PSL, a trochę ciszej niektórzy platformersi. Długą drogę przeszedł Mentzen w ciągu ostatnich 12 miesięcy.

Idę swoją sforą

Cofnijmy się o rok. Gdy Mentzen inaugurował kampanię prezydencką, w warszawskim Centrum Koneser zebrali się głównie członkowie Nowej Nadziei. Krzysztof Bosak z Ruchu Narodowego miał inne obowiązki, a Grzegorza Brauna z jego Koroną Polską nikt nie zaprosił. Wczesne ogłoszenie startu w prezydenckim wyścigu Mentzenowi wypadło nie najlepiej: mała sala, niezbyt żwawa publiczność i osamotnienie kandydata. Ekonomista z Torunia musiał najpierw przekonać do siebie nawet część sceptycznych wyborców Konfederacji. Decyzję o starcie poprzedził jedynie konsultacjami z Bosakiem, a w partii nie brakowało głosów, że lepiej zorganizować prawybory, by dać wykazać się strukturom oraz wykreować wokół Konfederacji szum medialny. Nawet na warszawskiej konwencji Mentzen nie porywał: wyszedł na scenę w krawacie, obwieszczając, że do wyborów piwa z wyborcami pić nie będzie, bo musi być bardziej prezydencki. Jego wystąpienie było jednak pełne niejasności, czuć było brak chemii z publicznością.

Od września ruszył w trasę, przez kilka miesięcy pozostając jedynym kandydatem ogłoszonym przez liczące się partie. Każdego miesiąca prekampanii odwiedzał po kilkadziesiąt miast. Aktywnością w terenie szybko udało mu się uciszyć głosy krytyków w Konfederacji i rozwiać wątpliwości większości jej wyborców. Mentzen okazał się dobrym koniem na te wybory i skończył je z wynikiem historycznym dla narodowo-wolnościowej koalicji. Niemal 15 proc. poparcia i prawie 3 mln głosów to kapitał, z którym prezes Nowej Nadziei i współprzewodniczący Konfederacji otwiera kolejny rozdział. Najbliższe dwa lata do wyborów parlamentarnych to bowiem okres próby dla konfederatów, lecz i samego Mentzena. Rok temu ufało mu niespełna 20 proc. obywateli, dziś jest już o punkt procentowy od przekroczenia progu 30 proc. zaufania (comiesięczne sondaże IBRiS dla Onetu). Z kolei w lipcowym badaniu zaufania do polityków CBOS lider Nowej Nadziei był trzeci – z wynikiem ponad 40 proc.

Sama Konfederacja na dobre zacumowała w okolicach 15 proc. poparcia.

Dla Mentzena to właśnie projekt Konfederacji okazał się tym, który może go wynieść do któregoś z najważniejszych urzędów. Dziś to partia federacyjna, koalicja libertariańskiej Nowej Nadziei i suwerenistycznego Ruchu Narodowego, a od pół roku już bez monarchistycznej Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Rozstanie Konfederatów ze skandalizującym reżyserem było kwestią czasu, odkąd pod koniec 2022 r. partia KORWiN stała się Nową Nadzieją pod przewodnictwem Mentzena. Do Brauna nigdy się nie przekonał. Wręcz przeciwnie, z czasem konflikt narastał. Braun z roku na rok czuł się coraz bardziej marginalizowany, a oddalając się od konfederatów, popadał w happeningowy obłęd. Wściekłość Mentzena rosła, szczególnie że z liderem Korony nie umiał rozmawiać, a w kuluarach oskarżał go o działanie na szkodę koalicji. Po nieudanych wyborach parlamentarnych w 2023 r. to na Brauna obok Janusza Korwin-Mikkego spadło najwięcej gromów: że powrzucał na listy wyborcze „płaskoziemców" i „szurów", że na tacy podał liberalnym mediom historię o katotalibańskiej Konfederacji i że ogólnie jego obecność w partii raczej odpycha, niż fascynuje nowych wyborców.

eprasa.pl 2a630d192f

Lider Korony ostatecznie sam wypisał się z Konfederacji, przeciwstawiając się prezesowi Nowej Nadziei w wyborach prezydenckich, czym akurat go ucieszył. Środowisko Mentzena twierdzi, że taki sposób rozstania się z Braunem był dla nich wyjątkowo wygodny; kpią, że choć raz w życiu przysłużył się Konfederacji.

Dziś w Nowej Nadziei na Brauna patrzą dwojako: z jednej strony ludzie Mentzena podważają jego kompetencje zarządzania partią, wskazują, że zapełnienie i zarejestrowanie list w 41 okręgach może być dla niego wyzwaniem, któremu za dwa lata nie podoła. Z drugiej jednak dostrzegają w nim rywala i polityka, który zmusza ich do pilnowania swoich najbardziej radykalnych wyborców oraz tych, którzy nie oczekują od polityków powagi i pilnowania konwenansów.

Po sojuszu z Braunem nie ma już śladu, teraz Mentzen współprzewodniczy koalicji tylko z Bosakiem – równie silnym liderem narodowców. Choć na porównywalnej wadze politycznej ich podobieństwa się kończą. Obaj liderzy w zasadzie ze sobą nie rozmawiają, ale mimo to każdy z nich jest przekonany o potrzebie utrzymania wolnościowo-narodowego sojuszu przynajmniej do kolejnych wyborów. W tym małżeństwie z rozsądku Mentzen to choleryk podejmujący impulsywne decyzje, dumny mąż i ojciec, który słowo „przepraszam" uznaje za oznakę słabości.

Bosak z kolei niczym powściągliwy i pragmatyczny stoik odznacza się ważną umiejętnością przebaczania, a może bardziej przymykania oka na momentami nieodpowiedzialne zachowania partnera. Sondażowe wzrosty popularności ich mariażu i kolejne sukcesy każą twierdzić, że w jakiś dziwny sposób ten związek uzupełnia się zadziwiająco skutecznie. Mimo niewypowiedzianej wprost rywalizacji obu ambitnych polityków, jak dotąd udaje im się utrzymać ją w formie nieodpychającej, a nawet zrozumiałej dla konfederackiego wyborcy. Podział Konfederacji osłabiłby ich obu.

Za mną ludzi gromada

Prezydencka kampania była dla Mentzena pierwszą poważną okazją do wypromowania nawet nie tyle własnego nazwiska, ile partii, którą od trzech lat zarządza. Ze swoją Nową Nadzieją przez prawie dziewięć miesięcy przemierzył cały kraj, agitując głównie w małych i średnich miastach, tzw. Polsce powiatowej, w której – jak przyznają działacze partii – mógł liczyć na najlepszą frekwencję niezależnie od pory dnia czy pogody. Mentzen na wiece dopraszał lokalnych działaczy Ruchu Narodowego, ale imprezy nakierowane były przede wszystkim na promocję wolnościowej frakcji Konfederacji. W Nowej Nadziei postarali się też ludzie od internetu: w kampanii stworzyli stronę, która pomogła rejestrować wszystkich zainteresowanych pomocą w wyborczej batalii i ułatwiała zgłoszenie akcesu do partii. Dziś z otoczenia Mentzena słyszymy, że regionalni liderzy cały czas weryfikują kampanijne deklaracje członkostwa i zapoznają nowych członków w strukturach. Tych bowiem przybył ogrom: Nowa Nadzieja, podobnie jak partia Razem, stoi teraz przed wyzwaniem odsiania „sezonowych" zgłoszeń i utrzymania przy sobie jak największej liczby osób gotowych do zaangażowania się w terenie.

Jak to zwykle bywa, czas kampanijny przyniósł również w szeregach wolnościowców dymisje i awanse. W trasie po Polsce najbardziej zasłużyli się gwardziści Mentzena: Bartosz Bocheńczak, Krzysztof Rzońca i Wojciech Machulski. Warto te nazwiska zapamiętać: dziś to najbliżsi Mentzenowi politycy, mimo że ich łączny staż parlamentarny wciąż jest zerowy.

Najstarszy z nich Bocheńczak (rocznik 1984) świetnie spełnił się w funkcji szefa sztabu. Pochodzący z Krakowa przedsiębiorca, związany z Konfederacją od jej początków w 2019 r., w ostatnich latach zyskiwał w oczach Mentzena. Rok temu pierwszy raz pokierował zakończoną sukcesem kampanią Konfederacji w eurowyborach (ponad 12 proc. i trzecie miejsce). Teraz za rekordowy wynik w kampanii prezydenckiej prezes Nowej Nadziei dał mu funkcję sekretarza generalnego partii. Na stanowisku zastąpił dużo młodszego Rzońcę (rocznik 1999), który po wyborach awansował na wiceprezesa. Rzońca swoją pozycję zaczął budować jeszcze w wolnościowej młodzieżówce: w wieku 22 lat został jej prezesem, a raptem rok później wszedł do zarządu krajowego dorosłej drużyny Mentzena. Rzońca odpowiada za przekaz Nowej Nadziei, jest młodym, ale bardzo cenionym przez Mentzena spin doktorem, który zaczyna wychodzić z cienia i częściej pokazywać się w mediach.

Szybko rozwija się również kariera Machulskiego (rocznik 2003), który jest rzecznikiem prasowym Nowej Nadziei. W Konfederacji słyszymy, że to on wpadł na pomysł, aby Mentzen w niedawną rocznicę wybuchu powstania warszawskiego wraz z kolegami z partii odpalili race w centrum Berlina. Nie dość, że inicjatywa spodobała się szefowi, to jeszcze przyniosła mu ogromne zasięgi w mediach społecznościowych w zazwyczaj mało politycznym sezonie wakacyjnym.

A teraz krótko o przegranych. Kampanii nie przetrwała relacja Mentzena z jego mentorem Przemysławem Wiplerem. – *Sławek odstawił Przemka na boczny tor i raczej tak już zostanie* – słyszymy od ważnego konfederaty. Poszło głównie o końcówkę kampanii, gdy Mentzen zaczął atakować Karola Nawrockiego, próbując wykorzystać kolejne afery ujawniane przez media i odbić mu część wyborców. Wipler się temu sprzeciwił, a dodatkowo po pierwszej turze publicznie wsparł kandydata PiS, gdy Mentzen toczył z Kaczyńskim własną grę i jak ognia unikał deklaracji poparcia Nawrockiego.

Krok po kroku Mentzen pozbywa się wizerunku polityka skrajnie prawicowego, a jego partia staje się coraz bardziej pożądanym partnerem koalicyjnym w kolejnym rozdaniu.

Pogorszyły się też relacje lidera z popularną europosłanką Ewą Zajączkowską-Hernik. – *Ewka i Sławek to indywidualiści i dwa mocne charaktery; żadne z nich nie lubi mieć kogoś nad sobą, i to wyszło w tej kampanii* – kontynuuje nasz rozmówca.

Ostatnie miesiące liderowi wolnościowców pomogły więc zbudować bardzo wąskie grono ludzi, z którymi konsultuje swoje działania bez konieczności odbywania wielu spotkań i debat. Wypracował też system, w którym jego kontakt z dziennikarzami ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ ograniczony został do minimum. Nie od dziś bowiem wiadomo, że torunianin ma awersję do przedstawicieli mediów, regularnie o tym przypominając. W kampanii stwierdził nawet, że „wolałby mieć córkę prostytutkę niż syna dziennikarza", zarzucając mediom kłamstwa i kalumnie na swój temat. Przez najbliższe miesiące ze swoimi wyborcami Mentzen zamierza więc kontaktować się prawie wyłącznie przez kanał na YouTube, na którym zebrał już ponad milion stałych widzów.

Tylko silnych los obdarza hojnie

Wróćmy jeszcze na chwilę na warszawską Pragę, na piwo z Mentzenem. Po wyjściu Morawieckiego lider Konfederacji zostaje sam ze swoimi wyborcami. Opowiada o swojej kampanii prezydenckiej, pokazuje zdjęcia i filmiki zza kulis, recenzuje kontrkandydatów, chwali ekipę, której sprawność umożliwiła mu robienie kilku wieców dziennie. Wspomina, że gdy okazało się, że w wielu miastach nie było możliwości wynajęcia sali, wpadł na pomysł robienia wieców na dworze i nie zrezygnował z nich, nawet gdy przyszła zima.

Z tej dłuższej opowieści – trzeba to powiedzieć: nie do końca pozbawionej elementów narcystycznych – warto wyłowić parę kluczowych fragmentów. – Może dziś rodzą się ludzie, którzy za 30 lat będą mieli dosyć polaryzacji Konfederacja – Razem? – mówi Mentzen, gdy wspomina o Adrianie Zandbergu.

Wyświetla sławne zdjęcie z Sejmu, na którym są młodsi o ponad trzy dekady Tusk i Kaczyński; przekaz jest jasny: ich czas się kończy.

I wreszcie chyba najważniejszy fragment – krytyka Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat za to, że przed drugą turą tak łatwo i tak szybko poparli Trzaskowskiego. Dla Mentzena to niewybaczalny błąd, ciężkie frajerstwo i lekcja przed wyborami 2027 r.: trzeba negocjować twardo, żądać wiele (teki premiera?) i nie wolno z góry przesądzać, że koalicję można zawrzeć tylko z jedną stroną.

To istota myślenia Mentzena i zarazem główny powód napięć z PiS. Prezes Nowej Nadziei jest świadomy, że spór idzie przede wszystkim o podmiotowość. Od 2005 r. podmiotowi na scenie politycznej są Tusk i Kaczyński, cała reszta postaci ma albo za niskie poparcie (jak Zandberg), albo zadowala się rolami satelitów.

Mentzen chce się – chyba w większym stopniu niż Bosak – wybić na niezależność. Kaczyński być może pogodził się z tym, że musi tolerować istnienie 10–15 proc. partii prawicowej, ale tylko pod warunkiem że będzie uznawała jego hegemonię. Ta sprzeczność musi skutkować potyczkami obu ugrupowań. I to już się dzieje, obie strony się atakują, Kaczyński często wyraża się o Mentzenie – w swoim mniemaniu niepochlebnie – nazywając go np. „małym Balcerowiczem", ale lider Nowej Nadziei nie pozostaje mu dłużny.

Wiele się może wydarzyć przed kolejną kampanią parlamentarną, za wcześnie na kreślenie scenariuszy, poparcie dla poszczególnych ugrupowań jeszcze nie raz i nie dwa zafaluje. Gdyby jednak Konfederacja utrzymała te swoje 15 proc. z pierwszej tury wyborów prezydenckich, to nagle superważna może się okazać konstrukcja jej list wyborczych i to, ilu posłów wprowadzi do Sejmu Nowa Nadzieja Mentzena, a ilu Ruch Narodowy Bosaka. Z marzeń o podmiotowości Mentzena niewiele bowiem zostanie, jeśli nie będzie miał za sobą siły, od której cokolwiek zależy.

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

* Śródtytuły tekstu pochodzą z piosenki Kazika „Chcem piwa", która jest nieoficjalnym hymnem cyklu spotkań „Piwo z Mentzenem".

Prof. Michał Lubina, znawca stosunków rosyjsko-chińskich, o wspólnym froncie przeciw Ameryce. I o pekińskiej wielkiej paradzie wojskowej.

Michał Lubina
(rocznik 1984) – profesor w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się współczesną Birmą (Mjanmą) oraz stosunkami rosyjsko-chińskimi. Autor 10 książek, w tym bestsellera „Niedźwiedź w objęciach smoka. Jak Rosja została młodszym bratem Chin". Obecnie przebywa na stażu badawczym w Osace.

eprasa.pl 2a630d192f

Szczyt serdeczności: Xi Jinping z Władimirem Putinem, 1 września

Dwugłowy smok

ŁUKASZ WÓJCIK: **– Wygląda na to, że straciliśmy Indie i Rosję na rzecz Chin – powiedział Donald Trump na zakończenie ubiegłego tygodnia, w którym liderzy tych azjatyckich potęg spotkali się w Chinach, a potem Xi Jinping odebrał wielką defiladę w Pekinie.**

MICHAŁ LUBINA: – Rosję Waszyngton stracił już dawno, gdzieś na przełomie 2011 i 2012 r. Wtedy rosyjskie elity zdecydowały o tym, aby zakończyć reset ze Stanami Zjednoczonymi i mocno zbliżyć się do Chin. Wydaje się, że Trump próbował Rosję przyciągnąć z powrotem, ale bez rezultatu.

A Indie?

Tu jest inaczej. Myślę, że mimo obecnych napięć związanych m.in. z amerykańskimi cłami Indie są nadal bliżej Waszyngtonu niż Pekinu. Narendra Modi w zeszłym tygodniu pojechał do Chin, aby demonstracyjnie naprawiać dwustronne relacje, ale to są zagrywki taktyczne – strategicznie Indie i Chiny pozostaną rywalami. I, oczywiście, mogą przechodzić okresy odprężenia, czego jesteśmy świadkami. Natomiast długofalowo dzieli je zbyt wiele. Tym bardziej że kryzys w relacjach z Amerykanami może się okazać przejściowy, w sprawie ceł nadal toczą się rozmowy.

Czy ten ostatni tydzień był zatem przełomowy z punktu widzenia globalnych ambicji Chin?

Oba jego wydarzenia – szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Tiencinie, a potem parada wojskowa w Pekinie – to były bardzo sprawne chińskie zagrywki piarowe, Chińczycy „potrafią grać w szczyty". Rozumieją rolę takiej celebry, wiedzą, jak pompować balonik. I wykorzystali te dwie okazje, co było w sumie do przewidzenia.

Zatrzymajmy się przy Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SZOW). Chińczycy potrafią też wykorzystywać formaty, które przez lata były uśpione, do celów bieżących. SZOW pierwotnie miała służyć do czegoś innego, a stała się ▶

© WYWIADOWCY.PL, ALEXANDER KAZAKOV/IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 2a630d192f

▶ forum dla wielkiej polityki, tyle że pozbawionym treści – to przecież były igrzyska banałów.

Ale Chińczycy są również dobrzy w banały. Ich przemówienia celowo są pełne mądrości o tym, że świat to jedna wielka rodzina. To kolejny chwyt piarowy, kolejna sprawność wizerunkowa. I ewidentnie są w tym coraz lepsi, wyrobili się międzynarodowo. A co do SZOW: rzeczywiście mamy do czynienia z ożywieniem. Powstała w 2001 r. i miała się zająć współpracą regionalną oraz demarkacją granic. Potem była wspólna walka z terroryzmem, czyli również z demokratyczną opozycją i separatyzmami, co też się w zasadzie powiodło. Chiny uznały w końcu, że SZOW powinna być kołem napędowym integracji ekonomicznej w regionie, oczywiście pod przewodnictwem Chin.

O jakim regionie mówimy?

To Azja Centralna, która w sensie politologicznym obejmuje byłe radzieckie republiki, czyli tzw. stany. Do tego dochodzi Rosja i Chiny, które miały być ekonomiczną siłą napędową tej organizacji. I gdy wydawało się, że wszyscy na tym skorzystają, cały projekt zablokowała Rosja, choć oczywiście nie wprost. Chciała zrobić z SZOW narzędzie walki z Zachodem, takie anty-NATO. Chinom to się nie do końca podobało i cała organizacja straciła na dynamice. Pekin przerzucił się najpierw na bilateralne relacje w regionie, a potem na Nowy Jedwabny Szlak.

Ale SZOW nadal działała.

Tak, to jest bardzo chińska metoda: zmniejszają aktywność jakiegoś formatu, ale utrzymują go, bo pewnego dnia może się znowu przydać. Szczególnie że nadal odbywały się szczyty SZOW, a to zawsze pożyteczne – przy słabej instytucjonalizacji współpracy w regionie szczyty pomagają załatwić wiele spraw. Przez ok. 10 lat tak to funkcjonowało. Rosja chciała włączać nowe państwa, Indie, Iran, ale wszystko blokowali Chińczycy, którzy obawiali się rozmycia organizacji. Zmiana nastąpiła w 2017 r., gdy do organizacji przyjęto Indie i Pakistan. SZOW zrobił się nagle bardzo pojemny. Przypomnę, że tzw. partnerami dialogu (czyli obserwatorami) stały się Sri Lanka i Birma. Nawet towarzysz Aleksandr Łukaszenka też się załapał. To wówczas Chiny przejęły rosyjski pomysł zrobienia z SZOW organizacji geopolitycznej, antyzachodniego sojuszu, odbierając jednocześnie Moskwie rolę przewodnią.

Jaki dziś jest cel SZOW?

Nadal również wizerunkowy. Po pierwsze, chodzi o zwarcie szeregu, demonstrację siły. Patrzcie, ilu nas jest, jesteśmy potężni i tak dalej. To jest przekaz do własnych szeregów. Ale informacja idzie też na zewnątrz – do przeciwników, czyli do Zachodu: że to druga największa organizacja na świecie, po ONZ. Że reprezentuje niemal połowę ludzkości. Chodzi też o sygnał do państw wahających się: do Wietnamu, do Indonezji. Do krajów, które w sumie nie chciałyby się opowiadać po żadnej ze stron. Mimo że uwiera je Trump ze swoimi cłami, wciąż nie chcą wpaść w objęcia Xi.

Czy te państwa boją się Pekinu?

Wiele z nich ma schizofreniczny stosunek do Chin, bo jednocześnie chcą współpracować i obawiają się chińskich wpływów. W tym kontekście ostatni szczyt SZOW to była chińska marchewka. Każdy z tych schizofrenicznych przywódców był tam witany na czerwonym dywanie, co zapewne później pokazywał w swoim kraju jako dowód na własne globalne znaczenie.

Pamiętajmy też, że Chinom można się opierać, posiadając silnych sojuszników. A Trump jest nieprzewidywalny, Ameryka pod jego rządami stała się bardzo egoistyczna. W efekcie te schizofreniczne państwa zaczynają kombinować, że lęki, nie lęki, może trzeba jednak dogadać się z Chińczykami.

Dam przykład Birmy. W logice systemów autorytarnych szczyty to podstawowy mechanizm dogadywania się. Ci przywódcy nie mają regularnych spotkań w ramach ponadnarodowych instytucji, a szczyty im to umożliwiają i pozwalają załatwić wiele spraw bilateralnych. Birmański dyktator gen. Min Aung Hlaing pojechał na rozmowy z Xi w sprawie wsparcia przeciwko partyzantom. Gdyby zrobił to bez pretekstu w postaci szczytu SZOW, byłby z tego światowy news, zapewne dla wielu niewygodny. A tak szczyt przykrywa wszystko.

Ma to jednak swoje słabe strony. Międzynarodowe instytucje zapewniają stabilność, wypełniają treścią działalność własnych organizacji. A tu jest wszystko ad hoc. Jesteśmy przeciwko Zachodowi, przeciw amerykańskiemu porządkowi. Ale za czym jesteśmy? Nie wystarczy już hasło o bardziej sprawiedliwym układzie globalnym, o którym wciąż mówi Xi.

Ale to jest system ad hoc, który funkcjonuje już od lat – taka stabilna prowizorka. To również wpisuje się w logikę systemów autorytarnych. Jeśli spojrzeć na inne grupy tego typu, choćby na BRICS, można dostrzec kilka cech charakterystycznych. Jedną z nich jest oparcie się na personaliach, na liderach. I gdy oni umierają albo tracą władzę, robi się problem. Inna cecha to brak transparentności – tak naprawdę nie wiadomo, co się dzieje na tych szczytach, nie wiadomo, co oni tam ustalają.

Wciąż brak jednak treści, pozytywnego przekazu.

Spróbujmy go więc odcedzić. Świat podlega właśnie zmianom niewidzianym od 100 lat, kończy się era zachodniej dominacji, która była – z chińskiego punktu widzenia – historyczną anomalią. I Xi mówi, że chce zreformować międzynarodowy porządek ukształtowany po 1945 r., bo nie odzwierciedla on zmian, które zaszły na świecie, emancypacji państw tzw. Trzeciego Świata, dekolonizacji itd. To jest właśnie ta pozytywna narracja, która trafia do wielu niezachodnich państw.

Wyobrażam sobie, że wielu państwom z Azji Południowo-Wschodniej zapala się czerwona lampka, gdy słyszą o tym nowym porządku, bo to może oznaczać podział świata na strefy wpływów i oni akurat byliby wiadomo czyją strefą wpływów.

Niektórym się oczywiście lampka zapala. Natomiast pamiętajmy, że po pierwsze – te państwa mają Chiny za miedzą od setek lat i już nauczyły się z nimi żyć. Po drugie –wiele z nich ma fatalne i dużo świeższe wspomnienia związane ze Stanami Zjednoczonymi. One bardziej się cieszą z tego, że Zachód przegrywa, niż z tego, że Chiny wygrywają. Pasuje im, że teraz mocarstw może być więcej i przez to będą słabsze – zrobi się więcej miejsca dla średniaków. Choćby taka Indonezja – dotychczas była uzależniona od Amerykanów, ale teraz może już rozgrywać Waszyngton i Pekin dla swoich korzyści. Podobnie Indie – marzy im się nowy koncert mocarstw, przy czym to one będą jednym z tych mocarstw. Podobne podejście mają Rosjanie. Oni nawet ukuli taką frazę, która mnie zawsze rozczula, o „demokratyzacji stosunków międzynarodowych" (teraz są „niedemokratyczne", bo rządzą Amerykanie).

To teraz przenieśmy się ze szczytu SZOW na defiladę w Pekinie. Tutaj oferujemy wam wielobiegunową współpracę, na której wszyscy skorzystają, a jakbyście jednak nie chcieli współpracować, to zobaczcie, co tam toczy się z wielkimi armatami po pekińskich prospektach. Marchewka i kij?

eprasa.pl 2a630d192f

Defilada w Pekinie 3 września była demonstracją siły – skierowaną do Tajwanu, Stanów Zjednoczonych, no i do samych Chińczyków

Demonstracja siły na pekińskiej paradzie nie była skierowana do państw trzecioświatowych, tylko do Tajwanu, Stanów Zjednoczonych, no i do samych Chińczyków, żeby poczuli się silni – to ważna emocja w Azji. A sama parada była analitycznie zabawna na co najmniej dwóch poziomach. Po pierwsze dlatego, że Chińczycy w zasadzie podkradli Rosjanom pomysł Pobiedy 9 maja. I po drugie, nie wiadomo w zasadzie, jakie oni zwycięstwo tam świętowali. Czy wie pan, kiedy Chińczycy ostatnio wygrali coś dużego? W połowie XVIII w.

W drugiej wojnie światowej to ich zwycięstwo też jest mocno naciągane.

Mamy wojnę japońsko-chińską w latach 1937–45. W tej wojnie Japończycy wygrywają, ale nie umieją wygrać ostatecznie – zajęli najważniejsze miasta w Chinach, a Czang Kaj-szek wycofał się za górną Jangcy i tam się broni. Po czym Amerykanie zrzucają na Japończyków dwie bomby atomowe, a Rosjanie wchodzą do Mandżurii i ich rozgramiają. Japończycy poddają się Amerykanom. Przy okazji zostają też zmuszeni do tego, żeby się poddać Chińczykom. Z formalnego punktu widzenia Chiny wygrały więc wojnę z Japonią, ale to jest dokładnie tak samo jak z tym, że Polska wygrała drugą wojnę światową z III Rzeszą. Nie było to więc chińskie zwycięstwo. I to jest pierwszy poziom absurdu tego zeszłotygodniowego świętowania w Pekinie.

Drugi poziom polega na tym, że jeśli już ktoś wygrał z tą Japonią (czy też nie przegrał z nią), to był to Kuomintang, czyli narodowcy chińscy pod wodzą Chang Kaj-szeka, a nie komuniści chińscy, którzy w tej wojnie odegrali marginalną rolę.

Zaraz, a parada?

Tak się właśnie robi politykę historyczną w państwie, które ma ku temu środki, możliwości i żadnych zahamowań. Na tej paradzie chińscy komuniści wygrali nie tylko z Japończykami, ale też z całym faszyzmem, ramię w ramię ze Związkiem Radzieckim.

W Pekinie ramię w ramię z Xi wszędzie chodził Władimir Putin. Czy ta bliskość fizyczna dwóch liderów świadczy też o ich bliskości politycznej?

Ten osobisty element jest oczywiście bardzo ważny, ale są też inne, trwalsze, funkcjonujące już od lat 90. – Chiny i Rosja są dla siebie strategicznymi tyłami. Oba państwa wiedzą, że mają ze sobą dobre relacje i dlatego mogą się skupić na innych, ważniejszych sprawach. Oba mają też wspólnego przeciwnika – USA – i zdają sobie sprawę z tego, że razem są w stanie z tym przeciwnikiem więcej ugrać. W końcu gospodarczo to jest kompatybilny układ, bo jedni sprzedają surowce, a drudzy je kupują. Więcej na tym korzystają Chiny, ale i Rosja nie jest zanadto stratna.

I jest jeszcze wspólnota idei.

Tak, wspólny element autorytarny. Mamy dwa reżimy, dla których najważniejsze jest przetrwanie – dlatego się wzajemnie wspierają. Oczywiście, Chińczycy w tym układzie są silniejsi, więc Putin musiał przyjechać na paradę, która jest kopią jego parady. Ale pogodził się z tą rolą – drugiego po Bogu Xi – już 10 lat temu, a na pewno po pełnoskalowej inwazji w Ukrainie.

To na poziomie strategicznym. Natomiast na poziomie taktycznym trzeba pamiętać, że Rosjanin niedawno był na Alasce i tam widział się z Trumpem. To mogło wywołać pewien niepokój w Pekinie. Dlatego wspólny udział w paradzie był okazją dla Putina, aby zapewnić Xi o swojej wierności.

To niedobrze dla Polski. Nie ma szans, że się pokłócą?

Sojusz rosyjsko-chiński to koszmar z punktu widzenia interesów Rzeczpospolitej. Drugie mocarstwo świata, które chce być pierwsze, wspiera naszego wroga. Czy się pokłócą? Nie zanosi się na to. Używając porównania Mao Zedonga, sprzeczności między Chinami i Rosją są nieantagonistyczne. Choćby sprawa Arktyki: Rosjanie mają tam niemal pełną kontrolę i nie chcą dopuścić Chińczyków, a ci by chcieli. Kwestia technologii kosmicznej: Rosjanie niechętnie się dzielą know-how kosmicznym, a Chińczycy bardzo by chcieli. Broń? Chińczycy mają jej już dużo, ale np. z radością przyjęliby najnowocześniejsze technologie z rosyjskich atomowych okrętów podwodnych, na co się nie zanosi. W Azji Środkowej de facto mamy teraz dwuwładzę rosyjsko-chińską, a to tradycyjnie była rosyjska strefa wpływów. Wszystkie te sprzeczności są jednak drugorzędne wobec wspólnego celu: razem przeciwko Ameryce.

Co musiałyby zrobić Stany Zjednoczone, aby wyrwać Rosję z objęć Chin?

Cena byłaby ekstremalnie wysoka. Rosja powiedziała wyraźnie, czego chce przed inwazją na Ukrainę, i mówi to nadal: trzeba usunąć podstawowe przyczyny tej wojny, czytaj rozszerzenie NATO na wschód. Miejmy nadzieję, że Amerykanie nie są na to gotowi.

ROZMAWIAŁ ŁUKASZ WÓJCIK

© SHENG JIAPENG/CHINA NEWS SERVICE/VCG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2a630d192f

Zajazd „Pod sąsiadem”

eprasa.pl 2a630d192f

© DAVID RAMIREZ/SHUTTERSTOCK

Europa postanowiła ukrócić najem krótkoterminowy. W Polsce nowe przepisy wejdą w maju 2026 r. Problem dotyczy atrakcyjnych turystycznie miast i ich mieszkańców, którzy sąsiadują z lokalami traktowanymi jak pokoje hotelowe. W zwykłych blokach.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Pani Agnieszka, radca prawna, pytana, do czego może się posunąć zdesperowany sąsiedztwem lokator, odpowiada krótko: – *Nie tyle posunąć, ile obsunąć. Z bezsilności na ziemię. Nie może liczyć na wsparcie ze strony państwa. Zarządca zwykle umywa ręce. Sąsiedzi boją się narażać. A inspektorat budowlany, jak dostanie opłatę legalizacyjną, umywa ręce.*

Najem krótkoterminowy to sąsiedztwo, które przyprawia o rozstrój nerwowy, bóle głowy, bezsenność. Reklamowany jako doskonały sposób na dochód pasywny – ot, wystarczy odpowiednią ilość gotówki zainwestować w mieszkanie. Może być nowe, może być w wyremontowanej kamienicy, np. w Łodzi, niedaleko Piotrkowskiej. Meble z IKEA, w łazience pralka, w kuchni lodówka i płyta indukcyjna. A potem jeszcze tylko ogłoszenia na holenderskiej platformie booking.com czy Airbnb, dobre zdjęcia, mapka z dojazdem, lista z atrakcjami w okolicy. I cena za dobę najmu. Od 220 do 400 zł w zależności od miasta i bliskości atrakcji.

– *Atrakcje? Pytanie tylko dla kogo* – pani Agnieszka kilka lat temu kupiła mieszkanie w nowym apartamentowcu we Wrocławiu. Niedaleko parku, w okolicy świetnie skomunikowanej z centrum. W dodatku wybrała takie, że hałasu z ulicy nie słychać. Tak się złożyło, że sufit jej mieszkania to taras sąsiada z góry. I ten taras stał się nie tyle kością niezgody, ile utrapieniem. Bo sąsiad, który kupił 50-metrowe mieszkanie, taras zaadaptował. Oficjalnie na ogród zimowy, z zadaszoną pergolą tarasową, zwaną tarasolą.

– *Ale w gruncie rzeczy na dodatkowy pokój* – mówi kobieta, dodając, że początkowo w ogóle nie wiedziała o powstaniu tzw. tarasoli. Tyle tylko, że nad jej głową z zadziwiającą częstotliwością rozbrzmiewały głośne śmiechy, śpiewy, tańce; słowem hałas, który nie dawał żyć.

– *Najpierw chodziłam i prosiłam o spokój. Tak zorientowałam się, że w tym mieszkaniu odbywają się wieczory panieńskie, kawalerskie, imprezy integracyjne. Raz jakieś Ukrainki wynajęły to mieszkanie w środku tygodnia i balowały jak szalone. Zadzwoniłam do drzwi i poprosiłam o ciszę. „Przecież tak się nie da żyć" – powiedziałam do dziewczyny, która mi otworzyła. Nawet mnie rozbawiła, bo powiedziała, że szczerze mi współczuje, bo też nie chciałaby mieć takiego sąsiedztwa* – opowiada pani Agnieszka, ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ która, jak przystało na prawniczkę, do rozwiązania problemu zabrała się metodycznie.

Najpierw zawiadomiła zarządcę. Ten uznał, że to konflikt sąsiedzki, bo tylko ona się skarży, i niech się po prostu dogada z właścicielem mieszkania nad nią. Tak się przecież składa, że mieszka z żoną w tej samej klatce, tylko na innym piętrze. Uznała więc, że może opinie biegłych ekspertów dotyczące natężenia hałasu i spełnienia warunków bezpieczeństwa będą odpowiednim argumentem. Też nie były. A zarządca powiedział jej, że tylko ona się skarży.

W końcu sprawą zainteresowała Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego, wynajęła detektywa, który zebrał dowody na to, że ogród zimowy ogrodem nie jest, tylko normalnym pokojem.

Bez skutku. Radca prawna zdecydowała się więc pójść z sąsiadem do sądu.

RPO, ministrowie i przepisy

Rzecznik Praw Obywatelskich w czerwcu 2022 r. skierował do ówczesnego ministra rozwoju i technologii Waldemara Budy z Prawa i Sprawiedliwości pismo z pytaniem o możliwość wprowadzenia w życie przepisów, które chroniłyby lokatorów przed skutkami turystycznego krótkoterminowego najmu prowadzonego w budynkach mieszkalnych. Prof. Marcin Wiącek nie był odosobniony w domaganiu się uregulowania tej kwestii. Konieczność działań podnosiły władze m.in. Sopotu czy Krakowa. Minister odpowiedział w ciągu miesiąca. Zgodził się co do zasady. I jednocześnie poinformował, że nie da się problemu rozwiązać z uwagi na obowiązywanie ustawy o własności lokali z 1994 r. Przyznał też, że sprawa wymaga rozwiązań systemowych, czyli regulacji m.in. najmu krótkoterminowego, zwłaszcza na podstawie ustawy z 1997 r. o usługach hotelarskich oraz usługach pilotów wycieczek i przewodników turystycznych. A to już jest obszar odpowiedzialności Ministerstwa Sportu i Turystyki. W tym resorcie od pół roku trwały prace nad założeniami do projektu ustawy o usługach hotelarskich oraz usługach pilotów wycieczek i przewodników turystycznych dotyczących krótkotrwałego najmu lokali. Dotyczyły one jednak ochrony konsumenta, czyli turysty, oraz wyeliminowania nieuczciwych praktyk rynkowych. Lokatorzy, którzy z turystami muszą żyć na co dzień, nie byli brani pod uwagę.

W październiku 2024 r. ministra funduszy przyznała, że najem krótkoterminowy wymaga prawnych regulacji. Innymi słowy – trzeba go ukrócić.

„Polska jest w Europie liderem wysokich cen wynajmu mieszkań. Młodych ludzi nie stać na wyprowadzkę z domu, a jednym z powodów jest to, że coraz częściej mieszkania zamieniane są w hotele. Tylko w Warszawie na 100 nowych mieszkań przypada 20 nowych ofert Airbnb. Mieszkania, które mogłyby służyć do normalnego życia, są wyciągane z rynku na usługi parahotelowe. Jaki jest efekt? Ceny wynajmu długoterminowego rosną. Zmieńmy to". Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz w rozmowie z RMF FM nie kryła, że problem jest, ale też różne grupy patrzą na niego inaczej. Jedni chcą tanio wynająć mieszkanie na wakacje czy wyjazd służbowy. I niekoniecznie rozumieją tych, dla których takie „hotele" na klatce schodowej to najczęściej uciążliwość dotkliwie utrudniająca codzienne życie.

Jest jeszcze jeden problem: wzrost liczby mieszkań oferowanych w krótkoterminowym najmie nie tylko winduje ceny, ale też zmniejsza dostępność mieszkań pod wynajem długoterminowy. Tak dzieje się przede wszystkim w większych miastach, takich jak Kraków, Poznań, Gdańsk, Warszawa czy Wrocław.

Żyła złota?

Pełczyńska-Nałęcz zapowiadała rok temu wprowadzenie rejestru lokali, które są wykorzystywane na Airbnb jako sposób na zlikwidowanie szarej strefy. I zmiany w systemie podatkowym, bo ten aktualny wręcz zachęca do najmu krótkoterminowego. Zgodnie z nowymi przepisami od 2023 r. przychody z najmu prywatnego rozlicza się wyłącznie ryczałtem od przychodów. Stawka wynosi 8,5 proc. dla przychodów do kwoty 100 000 zł rocznie oraz 12,5 proc. dla nadwyżki ponad ten próg.

Radca prawny Krzysztof Granat: – *Część z tych mieszkań właściciele wynajmują, nie mając zarejestrowanej działalności gospodarczej. Zawiadomienie Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego nie działa, PINB zwykle odpowiada, że to nie jego działka. Zostaje policja. A ta stwierdza, że nie zajmuje się kontrolą działalności gospodarczej. No to może urząd skarbowy? Też nie. To może gmina, która zajmuje się rejestracją obiektów o charakterze turystycznym? A co robi w tym momencie gmina? Przesyła pismo do PINB, wskazując, że to nie oni badają zgodność lokalu z warunkami technicznymi. Czyli kółko się zamyka.*

Radca prawny przyznaje, że jedno mieszkanie wynajmowane w najmie krótkoterminowym może przysporzyć właścicielowi nawet kilkaset tysięcy dochodu rocznie.

– *Problem nie jest marginalny, a w dużych miastach wręcz eskaluje. Centra w zasadzie nie mają już „starych" mieszkańców. Mieszkania w większości zostały wykupione i przeznaczone na najem krótkoterminowy. W skrajnym przypadku, który znam, w kamienicy przy wrocławskim Rynku na 21 mieszkań tylko dwa mają stałych mieszkańców. I to jest prawdziwa skala tego zjawiska* – podsumowuje Granat.

Czas na regulacje

Podobną drogę jak w Polsce przechodziły rynki nieruchomości w krajach Europy Zachodniej, szczególnie tych turystycznie atrakcyjnych – we Francji, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech. Skutki było tam szybciej widać i szybciej także zaczęto podejmować działania, by zaradzić rodzącym się problemom. Choć część tych działań wymuszali sami mieszkańcy, protestujący przeciwko turystom „przejmującym" centra ich miast.

– *Najem krótkoterminowy, szczególnie ten turystyczny, to nie tylko hałas. Lokal jest inaczej użytkowany. Codziennie lub co kilka dni ktoś się do niego wprowadza i wyprowadza. Często małe mieszkania są przeznaczone dla dużych grup, wystarczy, że w każdym pokoju i obowiązkowo w salonie znajdą się łóżka, rozkładane kanapy itd.* – wylicza Krzysztof Granat.

Z problemem radzą sobie na własną rękę kolejne kraje Unii. Ale też sama UE wprowadziła regulacje, które mają uporządkować rynek – w Polsce będą one obowiązywać od maja 2026 r. W Barcelonie rada miejska zdecydowała o zlikwidowaniu najmu krótkoterminowego od 2028 r. Szacuje się, że w ten sposób zniknie ok. 10 tys. apartamentów, którym wygaśnie licencja z pozwoleniem na działalność. We Włoszech najpierw we Florencji, a teraz w całym kraju przyjęto rozwiązanie, które zamyka drogę do zdalnego najmu, gdzie klucz do mieszkania odbiera się w niewielkiej skrzynce, otwieranej kodem przysyłanym najemcy przez wynajmującego. Teraz klucz trzeba będzie odebrać osobiście.

eprasa.pl 2a630d192f

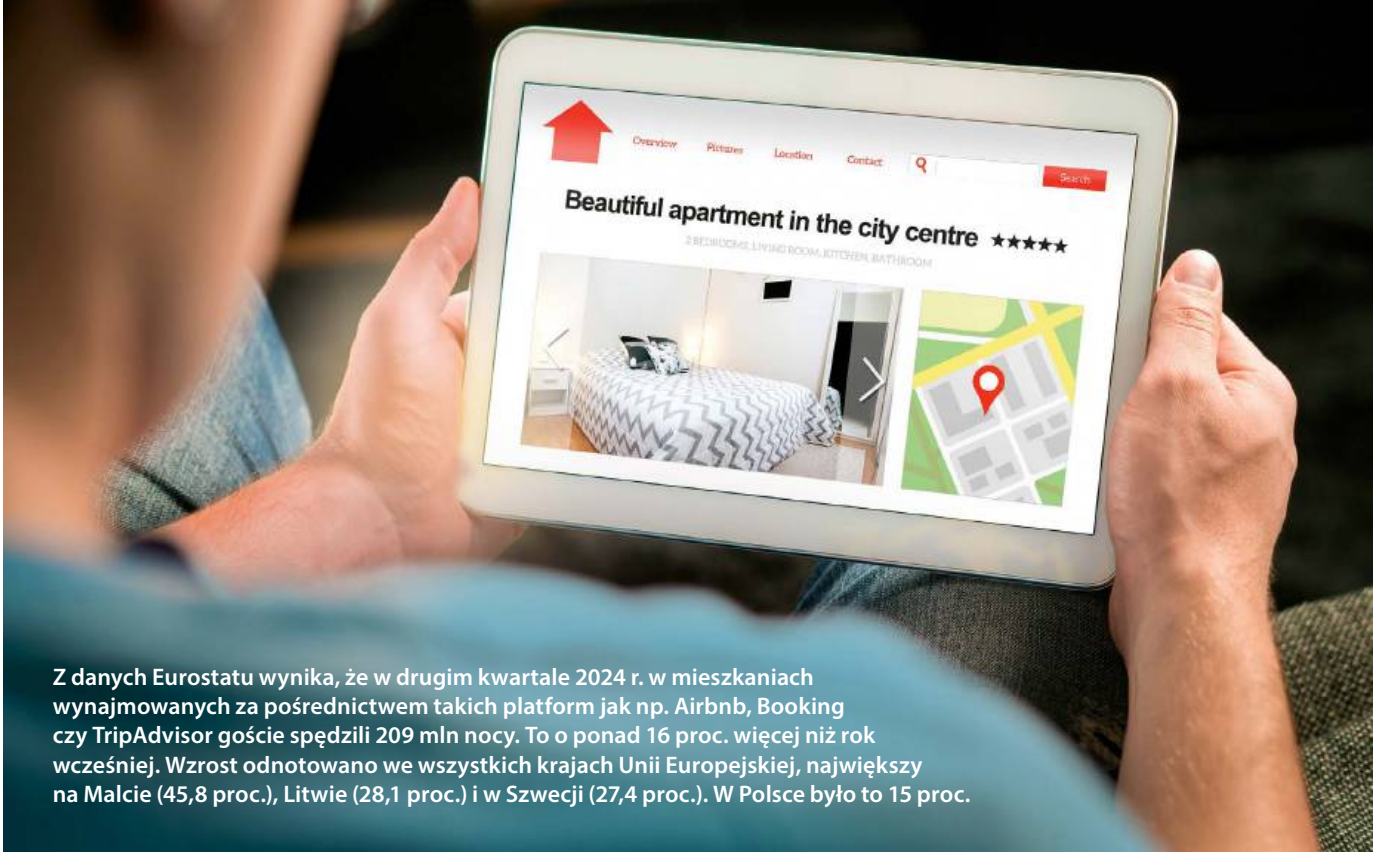

Z danych Eurostatu wynika, że w drugim kwartale 2024 r. w mieszkaniach wynajmowanych za pośrednictwem takich platform jak np. Airbnb, Booking czy TripAdvisor goście spędzili 209 mln nocy. To o ponad 16 proc. więcej niż rok wcześniej. Wzrost odnotowano we wszystkich krajach Unii Europejskiej, największy na Malcie (45,8 proc.), Litwie (28,1 proc.) i w Szwecji (27,4 proc.). W Polsce było to 15 proc.

Unijne przepisy na właścicieli mieszkań wynajmowanych turystom nakładają obowiązek rejestracji. Będą musieli podać m.in. dokładny adres wynajmowanej nieruchomości, w tym numer księgi wieczystej; poinformować, czy wynajmują całe mieszkanie, czy tylko np. pokój, podać maksymalną liczbę osób, które mogą tam nocować. Ministra Pełczyńska-Nałęcz rok temu przekonywała, że dobrym rozwiązaniem byłoby przekazanie praw samorządom, spółdzielniom i wspólnotom mieszkaniowym, by to one decydowały, w jakim zakresie, w jakich dzielnicach i w jakim sezonie udostępniać lokale pod najem krótkoterminowy.

– *W Paryżu już obowiązują ograniczenia tego rodzaju najmu do 2–3 miesięcy. W Polsce mówimy o regulacjach, które przyjęła Unia, odwołując się do negatywnych doświadczeń innych krajów, ale musimy mieć świadomość, że przecież nie są to obiekty typu hotelowego, tylko zwykłe mieszkania, które stają się de facto lokalami użytkowymi bez jakiegokolwiek przekwalifikowania, że o wymogach technicznych, jakie obowiązują hotele czy hostele, nawet nie wspomnę* – mówi radca Granat i przypomina, że takich mieszkań nie kontroluje np. straż pożarna w zakresie przepisów dotyczących warunków bezpieczeństwa pożarowego.

– *Od problemu uciekają też inspektoraty nadzoru budowlanego. Organy administracyjne po prostu umywają ręce, najczęściej sprowadzając problem do konfliktu sąsiedzkiego: ktoś wynajmuje mieszkanie turystom, a ktoś inny nie chce żyć jak w hotelu, bo przecież kupił swój lokal w normalnym budynku* – mówi Krzysztof Granat, dodając, że wbrew logice urzędników wcale nie chodzi o pozbywanie się uciążliwego sąsiada, tylko o doprowadzenie do korzystania z lokalu zgodnie z jego przeznaczeniem.

Człowiek kontra urząd

I o to przeznaczenie POLITYKA próbowała zapytać zarówno zarządcę budynku, w którym mieszka pani Agnieszka, jak i Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego we Wrocławiu (PINB).

Zarządca po konsultacjach z prawnikiem odpowiedział, że nie monitoruje wynajmu mieszkań w systemie booking.com i Airbnb pod kątem uciążliwości dla pozostałych użytkowników, zakłócania ciszy nocnej i miru domowego. Nie zna też liczby takich wynajmów, bo wykracza to poza zakres kompetencji zarządcy wynikający z ustawy o własności lokali. Sprawę tarasoli badał PINB, a więc urząd kompetentny w tej kwestii. I po wpłaceniu opłaty legalizacyjnej w wysokości 5 tys. zł przez właściciela mieszkania zalegalizował dotychczasową samowolę. Zarządca może zaskarżyć decyzję PINB, ma na to 14 dni, ale stosowną uchwałę pozwalającą mu na podjęcie działań w tym kierunku musi podjąć wspólnota mieszkaniowa. A jeszcze trzeba przygotować tę uchwałę i dokumentację.

– *Zbieranie głosów trwa zwykle co najmniej kilka miesięcy. Natomiast decyzja PINB była wysłana do właścicieli lokali, mogli oni zapoznać się z jej treścią i ewentualnie odnieść się do niej* – wyjaśnia Agnieszka Rodziewicz, zarządca nieruchomości, w której mieszka lokatorka zmagająca się z najmem krótkoterminowym.

Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego co prawda tarasolę zalegalizował, ale jednocześnie, po odwołaniu pani Agnieszki, przekazał sprawę do rozpatrzenia wyższej instancji, wojewódzkiej. Reporterka POLITYKI w odpowiedzi na prośbę o rozmowę w sprawie tarasoli i najmu krótkoterminowego usłyszała od urzędnika, który się nie przedstawił, że w urzędzie nie ma zwyczaju spotykania się i rozmawiania. Trzeba wysłać pytania i w trybie dostępu do informacji publicznej poczekać na odpowiedź 14 dni.

– *I jak ma sobie z tym wszystkim radzić zwykły mieszkaniec?* – pyta retorycznie lokatorka mieszkania pod tarasem, dodając, że sąsiad zrezygnował z najmu krótkoterminowego. Przeszedł na najem długoterminowy, bo ostatnio widziała w tarasoli jakieś biurka z laptopami. Zachowała jednak screeny ogłoszeń, w których reklamuje mieszkanie nad jej głową jako idealne na wieczory panieńskie i kawalerskie.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© TERO VESALAINEN/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a630d192f

Oto opowieść o tym, jak szajka pań z opieki społecznej wyłudziła 7 mln zł z zasiłków niczego nieświadomych 1395 podopiecznych. Jest już akt oskarżenia.

Zaopiekowały się sobą

ZBIGNIEW BOREK

Sprawa wyszła na jaw przez mrugnięcie okiem. Był 13 września 2021 r. Dyrektorka Ośrodka Pomocy Społecznej w Kostrzynie nad Odrą Bogumiła R. (wtedy jeszcze nosiła całe nazwisko) omawiała służbowe sprawy z wicedyrektorką. Do gabinetu weszła archiwistka z pytaniem o zaległą dokumentację, w tym kwestionariusze wywiadów środowiskowych. Bogumiła R. odprawiła ją „na potem", puszczając przy tym oko. Wicedyrektorce wydało się to dziwne, bo dyrektor nie zajmuje się wywiadami – no i jeszcze to mrugnięcie. Postanowiła przyjrzeć się sprawie. Gdy się przyjrzała, złapała się za głowę (choć widziała dopiero wierzchołek góry lodowej), po czym powiadomiła policję. Tak rozpoczęło się największe śledztwo w dziejach gminnej pomocy społecznej w całym kraju.

Jest opisane w 125 tomach (24 937 stron). Sam akt oskarżenia, który wpłynął do sądu w lipcu 2025 r., liczy 25 tomów. Proceder trwał aż 15 lat, nielegalnie wykorzystano dane 8 proc. mieszkańców 17-tysięcznego Kostrzyna (dla Warszawy byłoby to więc 145 tys. osób).

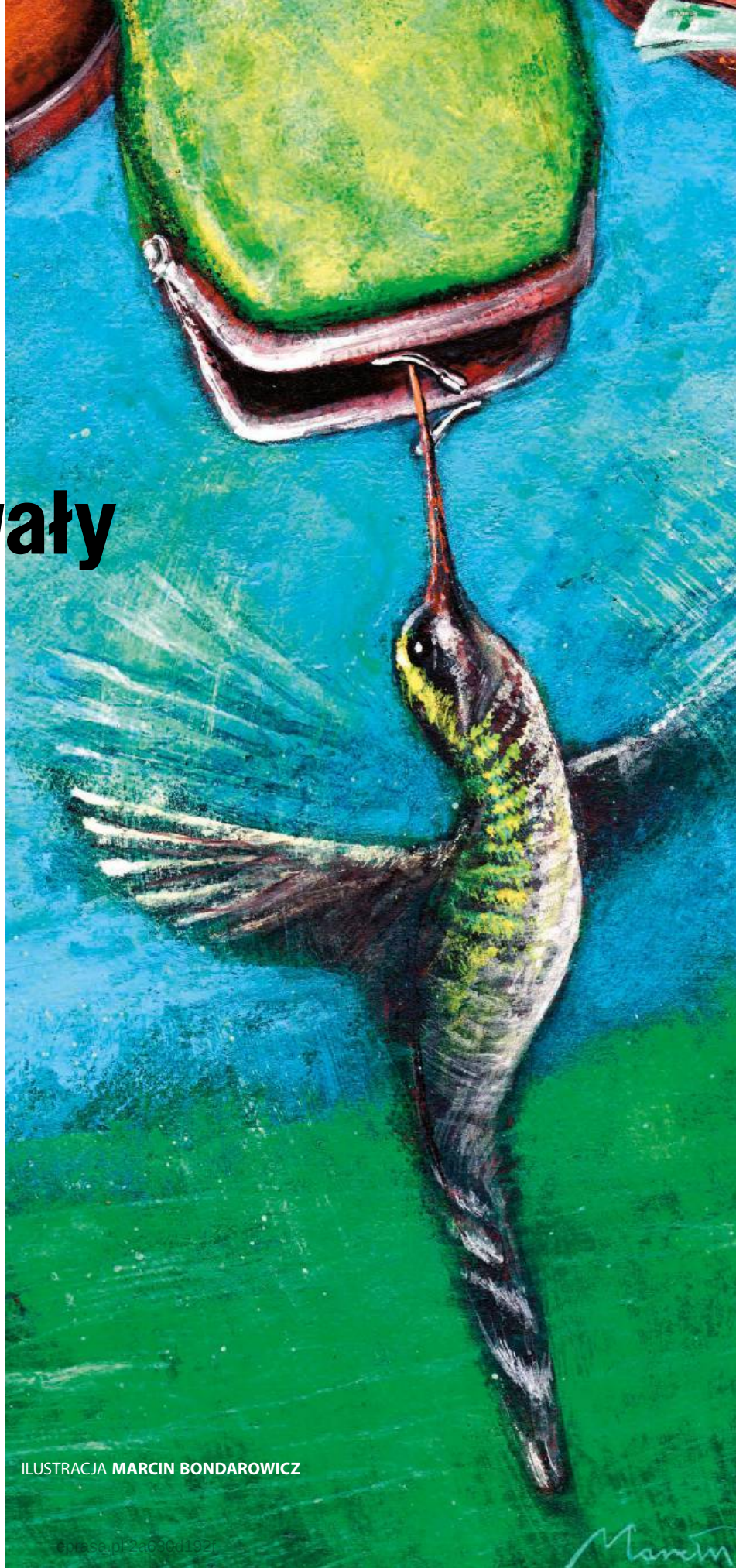

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

eprasa.pl 2a630d192f

– Szczególnie haniebne jest to, że według prokuratury najsłabszych mieszkańców okradały osoby, które miały obowiązek im pomagać – mówi burmistrz Kostrzyna Andrzej Kunt.

Jak do tego doszło?

Idealna zmowa

Przekręt narodził się ze szlachetnych pobudek – tak przynajmniej wyjaśniała w śledztwie Bogumiła R. Jako szefowa OPS borykała się z brakiem pieniędzy na jego wyposażenie i drobne remonty. Postanowiła więc pieniądze „zorganizować", wypłacając na ten cel fikcyjne zasiłki. Poszło gładko, dyrektorce zaświtała więc myśl, że wiecznie niedoinwestowany jest nie tylko ośrodek, ale też ona sama. Aby manewr z wypłatami lewych zasiłków powtarzać bez przeszkód, potrzebne były wspólniczki: główna księgowa Barbara S., księgowa i kasjerka Joanna S. oraz pracownica obsługi administracyjnej Lidia K. Z podziałem na role preparowały dokumentację niezbędną do wydania decyzji o przyznaniu zasiłków (m.in. wywiady środowiskowe), zatwierdzały ją i podrabiały podpisy beneficjentów. Potem wypłacały gotówkę, którą przeznaczały już nie na potrzeby placówki, lecz własne.

Na pomysł wyłudzania pieniędzy z zasiłków nie wpadły jako pierwsze. W Łoniowie (świętokrzyskie) pracownica OPS wyłudziła świadczenia (m.in. 500 plus) na 1,3 mln zł (wyrok: 4,5 roku pozbawienia wolności). W Starym Brusie (lubelskie) trzy urzędniczki miały przywłaszczyć przeznaczone na zasiłki co najmniej 2,5 mln zł (sprawa karna w toku). Urzędnik ośrodka w Krzywdzie (lubelskie) był bezdzietnym kawalerem, ale wypłacił sobie becikowe i zasiłki rodzinne na łączną kwotę ponad 350 tys. zł. Schematy nadużyć się powtarzają: fałszowanie decyzji i list wypłat, zawyżanie rozliczeń, pobieranie świadczeń na podstawione osoby, przywłaszczenie gotówki. Z ustaleń śledztwa prokurator Agnieszki Hornickiej-Mielcarek z Prokuratury Okręgowej w Gorzowie Wielkopolskim wynika jednak, że panie z Kostrzyna wspięły się na wyższy poziom organizacyjny: w warunkach idealnej zmowy stworzyły prosty i skuteczny układ zamknięty. I nikogo więcej do tego nie potrzebowały.

Ani całego procesu przyznawania fikcyjnych zasiłków, ani jego poszczególnych etapów nikt z pracowników ośrodka nie weryfikował, bo każdy, kto powinien to robić, był częścią szajki. Podrabiano tak ogromną ilość dokumentów, że fikcja mieszała się z rzeczywistością: ktoś ubiegał się o pomoc, dostawał pozytywną decyzję, a wtedy okazywało się, że już pobiera zasiłek na ten sam cel – tyle że na papierze (szajka załatwiała to poleceniem wypłaty zdublowanego zasiłku). Brakowało też czasu na weryfikację rzetelnych wniosków o pomoc. Lidia K., przez której biurko przepływały wszystkie dokumenty, przychodziła do ośrodka przed godzinami otwarcia, ciągle była „zarobiona" (z oczywistych względów nie chciała pomocy), ale i tak powstawały zatory.

Gdy pracownicy socjalni upominali się o wnioski swoich podopiecznych, Lidia K. „krzyczała, wręcz się darła", jak zeznał w śledztwie jeden z nich. Gdy miewali wątpliwości, słyszeli, że mają „robić swoje i nie wnikać". Zorientowaliby się, że mają do czynienia z przestępstwem, gdyby mieli dostęp do informatycznej bazy danych o podopiecznych ośrodka i udzielanej im pomocy. Domniemane oszustki odcięły jednak postronnych pracowników od tych danych. W razie potrzeby otrzymywali informację ustną albo odręczną notatkę, czego nie praktykowano w innych ośrodkach.

Złość i oburzenie

Śledztwo wykazało, że dyrektorka pilnowała, żeby nie przyznawali wysokich zasiłków, „bo nie ma na to pieniędzy", a jednocześnie na potrzeby fikcyjnych wypłat limitów nie uznawała. Różnice sięgały 700–800 zł: człowiek w potrzebie dostawał 200–300 zł, a wypłaty na nieświadome słupy przekraczały nawet 1 tys. zł. Chora na raka Tatiana dostała jednorazową zapomogę (500 zł), a potem pieniędzy już „nie było", choć w ocenie pracownicy socjalnej „Tatiana potrzebowała gotówki na zakup leków, na życie, na dojazdy do szpitala".

Można wysnuć wniosek, że dyrektorka oszczędzała na biednych ludziach, żeby było więcej pieniędzy na wypłaty dla przestępczej spółdzielni (w trakcie przesłuchania kategorycznie zaprzeczyła). Gdy w toku śledztwa dowiadywali się o tym uczciwi pracownicy, byli zdruzgotani. „Najpierw zdziwienie, później niedowierzanie, złość ogromna i obrzydzenie oraz pogarda wobec osób, które dopuściły się tej kradzieży" – tak o swoich odczuciach mówiła na przesłuchaniu asystentka ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ społeczna. Inna: „Płakałam, byłam wściekła. Wymiotowałam w pracy".

Atmosfera w ośrodku zrobiła się gęsta, tym bardziej że Bogumiła R. na początku śledztwa wciąż urzędowała na stanowisku dyrektorki. Do podwładnych miała pretensje, że współpracują z organami ścigania (na polecenie policjantów znieśli teczki podopiecznych do sali konferencyjnej i całymi dniami szukali fałszywek). Dopiero gdy 11 pracowników poskarżyło się burmistrzowi (niektórzy z płaczem) i ten wysłał ją na urlop, odeszła z pracy.

Literka N

Dotknięci przestępstwem do żywego byli ci, do których pomoc rzekomo trafiała. W aktach sprawy znajdują się zeznania i oświadczenia: nie mieli o tym pojęcia. Jedni nigdy nie starali się o zasiłki, inni zabiegali o jednorazową dotację (np. na obiady dla dziecka) i do ręki nie dostawali ani grosza, tymczasem z dokumentacji wynikało, że miesiąc w miesiąc pobierali setki złotych. Ich nazwiska ułożone alfabetycznie (przy każdej z oskarżonych z osobna) czyta się jak książkę telefoniczną: na literę A – 14 nazwisk, na literę B – 70, na literę C – 63. Są wśród nich całe rodziny i przedstawiciele innych nacji żyjących w Kostrzynie (najwięcej Ukraińców). Dane jednych osób wykorzystywano kilka razy, dane „rekordzistki" Wioletty W. aż przez 14 lat. Na jej nazwisko wyłudzono 136 zasiłków okresowych (od 86 zł do 770 zł) i celowych, głównie na zakup spożywki (od 225 zł do 1080 zł).

– *Bardzo mi przez to wszystko przykro* – mówi Wioletta W. Odnajdujemy ją w dawnym koszarowcu przerobionym na mieszkania: elewacja zadbana, korytarz zdewastowany, u Wioletty W. ciasnota. Jest matką pięciorga dzieci. Gdy jej dane wykorzystywano do wyłudzeń, zabiegała o zasiłki: – *Były za niskie albo nie dostawałam wcale. Straciłam wtedy pracę, rodzinę musiał utrzymywać mąż. Nie miałam co włożyć do gara, wpadliśmy w długi i spłacamy je do dziś, a oszustki przez cały ten czas pobierały pieniądze na moje nazwisko.*

Dowiedziała się o tym, gdy ją i kilka innych osób wezwano do odbioru zasiłku w kasie ośrodka. Tych pieniędzy nie odważyła się już pobrać żadna z pań z szajki, bo trwało śledztwo, ale przestępcza machina była rozpędzona i do wypłaty były kolejne lewe zasiłki. Śledztwo dowiodło, że sprawczynie na tym nie poprzestawały. Kupowały na rachunek OPS artykuły spożywcze i higieniczne, ubrania, AGD i meble, po czym przywłaszczały (udokumentowano wydatki na 151 334 zł). Jedna wypłaciła sobie na boku 14 tys. zł w gotówce, dyrektorka wykorzystała służbowe auto z kierowcą do zawiezienia cateringu na wesele córki w Niemczech (obie zaprzeczyły).

Do wyłudzeń zasiłków przyznały się: dyrektorka, główna księgowa i kasjerka. Pracownica obsługi administracyjnej – nie. Dyrektorka przekonywała w śledztwie, że pomysł „od początku był wspólny", księgowa i kasjerka wyjaśniały, że niepostrzeżenie dały się wciągnąć do przestępstwa dyrektorce. Najpierw otrzymywały pieniądze jako premię za „dobrą pracę". Podejrzewały, że coś jest nie tak, ale nie reagowały, a wkrótce były już częścią zmowy. „Nigdzie tego nie zgłosiłam. Przyjmowałam te pieniądze. Zależało mi na pracy" – mówiła Joanna S. Otrzymywała listy fikcyjnych wypłat oznaczone ołówkiem literką N. „Ja już wiedziałam, że to nie są pieniądze do wypłacenia podopiecznym, tylko do rąk pani dyrektor" – tłumaczyła. Przekazywała je w kosmetyczce lub kopercie, którą otrzymywała z powrotem już z dolą dla siebie. Na początku dostawała co miesiąc 5 tys. zł, potem 10 tys. zł.

> Jeśli sąd uzna pracownice za winne, mogą trafić do więzienia na okres od półtora roku do 15 lat (wyrok może być bliższy górnej granicy, bo proceder nie był incydentalny).

(Bez)wstyd

Odium spadło na uczciwych pracowników Ośrodka Pomocy Społecznej. „Z tymi kradzieżami są teraz utożsamiani pracownicy socjalni, a nie osoby, które to robiły. To my chodzimy na wywiady [środowiskowe] i słuchamy, co o nas mówią ludzie" – zeznawał jeden z nich. Inny mówi reporterowi łamiącym się głosem: – *Nadal bywamy wyzywani od złodziei.*

Kartony z fikcyjną dokumentacją wytworzoną na potrzeby procederu analizowano przez trzy lata. Gdy policjanci zjawiali się w domach sprawczyń z nakazem przeszukania, same wydawały zgromadzoną gotówkę: od 40 tys. do 200 tys. zł. Jak wyliczono w śledztwie, wyrządziły szkodę w wysokości 7 121 273 zł (formalnie poszkodowanym jest Urząd Miejski w Kostrzynie). Na poczet obowiązku jej naprawienia oraz przyszłych kar śledczym zabezpieczono ponad 1,6 mln zł. Ustanowiono poręczenia majątkowe (od 12 do 25 tys. zł) i przymusową hipotekę (do wartości od 20 tys. zł do 700 tys. zł) na mieszkaniach, domach, działkach zabudowanych i nieruchomościach rolnych należących do pań z opieki. – *Biedne nigdy nie były, bo oprócz stanowiska w opiece w rodzinie jest bogaty mąż albo własna firma. Nie rozumiem, skąd się wzięła niepohamowana chciwość* – mówi ich znajoma.

Skruchy nie okazały, z wyjątkiem Joanny S.: „Jest mi wstyd i źle się z tym czuję" – stwierdziła na przesłuchaniu. Lidia K. wstydziła się tego, że musi się stawiać w kostrzyńskim komisariacie, a „ma tam wielu znajomych", jak w jej imieniu wyjaśniał adwokat (chciała zmiany miejsca dozoru policyjnego, prokuratura odmówiła). Dyrektorka przepisała swój majątek na córkę (rzekomo bez związku ze śledztwem). Żadna z czterech kobiet nie pracuje już w pomocy społecznej. Bogumiła R. i Lidia K. są na emeryturze, Barbara S. i Joanna S. dostały zakaz wykonywania zawodu księgowej i kasjerki. Nie były wcześniej karane. Jeśli sąd uzna ich winę, mogą trafić do więzienia na okres od półtora roku do 15 lat (wyrok może być bliższy górnej granicy, bo proceder nie był incydentalny, lecz stanowił stałe źródło dochodu).

Proces ma się rozpocząć jesienią. Bez względu na to, jak się zakończy, już doszło do kompromitacji państwowego systemu nadzoru. W latach 2010–21 kostrzyński ośrodek 15 razy kontrolowały instytucje rządu i samorządu, począwszy od ZUS, inspekcji pracy i wojewody, aż po komisje burmistrza i rady miasta. Wystawiały jego dyrektorce laurki. Nie stwierdzały żadnych nieprawidłowości, a jeśli już, to drobne uchybienia proceduralne i administracyjne, bo badały wąskie wycinki działalności ośrodka, gdy pod ich nosem kwitł przestępczy proceder na masową skalę.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 2a630d192f

Rodzic wie lepiej

W ostatnim dniu urzędowania Andrzej Duda odesłał do Trybunału ustawę o pomocy psychologicznej. Dawała ona szansę nastolatkom na kontakt ze specjalistą bez zgody rodziców. Co tracą młodzi?

FILIP ZAGOŃCZYK

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Weronika Snoch jest studentką pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej. Działa w organizacji Nastoletni Azyl, która wspiera nastolatków doświadczających kryzysu psychicznego. Azyl powstał w 2018 r. z inicjatywy Angeliki Friedlich, która pamiętając własne doświadczenia, chciała stworzyć w internecie bezpieczną przestrzeń dla młodych osób. Bardzo szybko się okazało, że nastolatki masowo szukają pomocy i kogoś, kto będzie chciał ich wysłuchać. Kontakt z Weroniką i Angeliką nawiązała w 2021 r. obecna rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak. Wtedy wspólnie zaczęły pracować nad projektem ustawy, która umożliwiałaby dzieciom od 13. roku życia zgłoszenie się po pomoc psychologiczną w ramach publicznej ochrony zdrowia bez konieczności uzyskiwania zgody opiekuna prawnego.

– *Z opowieści nastolatków, którzy się do nas zgłaszali, wynikało jasno, że uzyskanie zgody rodzica na kontakt z psychologiem stanowi dla nich ogromny kłopot. Bali się mówić rodzicom o tym, co czują, myśląc, że dołożą im w ten sposób problemów, że będą dla nich dodatkowym obciążeniem. Często słyszeli unieważniające komentarze, np. jakie ty możesz mieć problemy w tym wieku lub po co psycholog, przecież ja mogę ci pomóc* – tłumaczy Weronika Snoch. – *Wciąż zdarza się, że rodzice mają trudności w przyznaniu, że kontakt z psychologiem nie jest niczym wstydliwym* – dodaje Weronika.

Małgorzata Sz. ma 18 lat. Jest tancerką i trenerką. Wybiera się na Akademię ▶

eprasa.pl 2a630d192f

Lawinowo rośnie liczba wizyt młodych Polaków u psychiatrów. W 2020 r. było to 1,8 mln świadczeń psychiatrycznych, podczas gdy dwa lata później już 3,8 mln.

▶ Muzyczną w Łodzi. Długo cierpiała na depresję i zaburzenia odżywiania. Już jako ośmiolatka, stając przed lustrem, mówiła sobie, że ma za grube nogi i brzuch. Nie akceptowała tego, jaka jest. Problemy zaczęły narastać, nie mówiła o nich bliskim. Przestała jeść. Zaczęła się okaleczać. Któregoś dnia po szczególnie głębokim cięciu poprosiła o pomoc koleżankę. Gdy następnego dnia o jej problemach dowiedziała się pedagożka szkolna, wezwała pogotowie i Małgorzata trafiła do szpitala. Pobytu tam nie wspomina dobrze. Podczas pięciu tygodni psychiatrę widziała dwa razy. Raz w tygodniu miała spotkanie z psycholożką, ale nie czuła, żeby to jej pomagało.

Kiedy wyszła ze szpitala, rozpoczęła terapię indywidualną, która trwa do dzisiaj. Po czterech latach mówi, że czuje się znacznie lepiej. Nie przyjmuje już leków. Prowadzi taneczne zajęcia dla dzieci. Jej zdaniem dostęp młodych ludzi do pomocy ze strony psychologa to sprawa kluczowa.

– *Dziś już wiem, że kiedy kryzys się zaczyna, trzeba reagować natychmiast. Nie wolno zwlekać. Wielu moich rówieśników ma bardzo niską samoocenę. Wahają się, czy z kimś rozmawiać. Uważają, że nie zasługują na pomoc.*

W tworzenie projektu ustawy o pomocy psychologicznej zaangażowało się ponad 40 organizacji młodzieżowych. Po przeszło czterech latach prac, konsultacji społecznych, rozmów z ekspertami i posłami ustawa została uchwalona przez Sejm i Senat. Wielu konserwatywnych polityków odebrało ją jednak jako zamach na władzę rodzicielską, a prezydent Andrzej Duda w ostatnim dniu urzędowania odesłał ją do Trybunału Konstytucyjnego. „Nie negując motywów wprowadzanych zmian, które mają na celu wsparcie dzieci i młodzieży znajdujących się w kryzysie psychicznym, zwracam uwagę na fakt, że ustawa wprowadza nowe regulacje będące de facto wyłomem w polskim systemie prawa rodzinnego i funkcjonującym w nim modelu władzy rodzicielskiej" – napisał prezydent w uzasadnieniu wniosku. A w telewizji Republika skwitował lakonicznie: „Chodzi o bezpieczeństwo dzieci". Tak samo uzasadniana jest akcja prowadzona przez polityków prawicy i Kościół, aby młodzież nie zapisywała się na lekcje nowego przedmiotu „edukacja zdrowotna".

Brzmi to ponuro w czasach, gdy statystyki dotyczące prób samobójczych, samookaleczeń i innych kryzysów psychicznych wśród młodocianych są alarmujące. Zgodnie z obowiązującym prawem dopiero po ukończeniu 18. roku życia młode osoby mogą samodzielnie decydować, czy sięgnąć po pomoc specjalisty. Według projektu mogłyby to zrobić po ukończeniu 13 lat. Ale w żaden sposób nie ogranicza to władzy rodzicielskiej, bo jeśli specjalista uzna, że małoletni wymaga dalszego leczenia czy terapii, musi w ciągu siedmiu dni poinformować o tym rodziców lub opiekunów, chyba że zagrażałoby to dobru małoletniego (podejrzenia o przemoc czy molestowanie); wówczas powiadamia sąd opiekuńczy.

Nie ma także obaw, że bez wiedzy rodziców podejmie psychoterapię, która skomplikuje sytuację rodzinną. Fakt: na rynku nie brakuje szemranych specjalistów, a ustawa o zawodzie psychoterapeuty rodzi się w bólach od ponad 20 lat i końca nie widać. Nie o tym był ten projekt. W języku ustawy brzmi to tak: „Pacjent małoletni, który ukończył 13 lat, ma prawo do uzyskania, bez zgody przedstawiciela ustawowego, świadczeń zdrowotnych w zakresie opieki psychiatrycznej, realizowanej w warunkach ambulatoryjnych". Przy czym pomoc taka miała być dostępna jedynie w ramach publicznej ochrony zdrowia, czyli gabinetach współpracujących z NFZ. To miał być rodzaj bezpiecznika, który można włączyć w sytuacjach kryzysowych. Zgoda nie dotyczyłaby wizyt prywatnych u psychologów czy psychoterapeutów. Tam nadal konieczna byłaby obecność opiekuna prawnego dziecka. Odesłanie ustawy przez Andrzeja Dudę do upolitycznionego przez PiS Trybunału Konstytucyjnego w praktyce oznacza jej zamrożenie.

– *Czuję smutek z powodu tej decyzji* – mówi Weronika. – *Ustawa nie była żadnym zamachem na władzę rodzicielską. Nikt nie chciał ich wykluczać. Ustawa miała być furtką dla nastolatków, którzy w kryzysowym momencie chcieliby skorzystać ze specjalistycznego wsparcia. Wprowadziłaby dodatkowe rozwiązanie, dzięki któremu młode osoby mogłyby w bezpieczny sposób pierwszy raz zwrócić się po pomoc, tak jak robią to podczas kontaktu z telefonem zaufania. Problemów, z którymi mierzą się nastolatkowie, jest bardzo dużo. Zaburzenia lękowe, samotność, niska samoocena, narażenie na hejt w internecie – to tylko niektóre z nich* – tłumaczy Snoch.

Kryzysy psychiczne młodych ludzi to poważny problem społeczny. Z raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że lawinowo rośnie liczba wizyt młodych Polaków u psychiatrów. W 2020 r. było to 1,8 mln świadczeń psychiatrycznych, podczas gdy dwa lata później już 3,8 mln. Problem ze zdrowiem psychicznym dzieci i młodzieży dostrzega również Rzecznik Praw Dziecka. Ze zleconych przez niego badań wynika, że ponad połowa młodych osób nie akceptuje siebie, a wiele z nich doświadcza osamotnienia, przytłoczenia codziennością czy braku chęci do aktywności.

Każdego dnia co najmniej sześcioro nastolatków podejmuje próbę samobójczą.

Alarmujące są dane publikowane co roku przez Komendę Główną Policji. Wynika z nich, że każdego dnia co najmniej sześcioro nastolatków podejmuje próbę samobójczą. Jak przeciwdziałać temu zjawisku? Justyna Żukowska-Gołębiewska jest psycholożką, współtwórczynią i koordynatorką bezpłatnego programu profilaktycznego „Godzina dla MŁODYCH GŁÓW". Skorzystało z niego już cztery tysiące szkół w Polsce.

eprasa.pl 2a630d192f

Tłumaczy, że najskuteczniejszym sposobem na uniknięcie kryzysów psychicznych jest szybka interwencja. Badania przeprowadzone przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) pokazują, że w krajach, w których dzieci mają szybki dostęp do pomocy specjalisty, ryzyko samobójstwa spada nawet o 40 proc.

Decyzja prezydenta to dramatyczny przykład tego, jak polityka przedkładana jest nad dobro dzieci. W efekcie młodzi zostają sami w kryzysie, bez prawa do podstawowej pomocy. Jeszcze gorsze jest jednak malowanie trawy na zielono: sama zmiana prawa nie wystarczy, jeśli nie pójdzie za nią realne zwiększenie dostępności psychologów.

– *Chcąc zapobiec zachowaniom autoagresywnym, w programie profilaktycznym „Godzina dla MŁODYCH GŁÓW" w pierwszym półroczu wspieramy uczenie dzieci, jak rozpoznawać i nazywać emocje, potrzeby i granice. W jaki sposób zwracać się o pomoc. W drugim nabywają one umiejętności radzenia sobie z zagrożeniami w sieci, higieny cyfrowej, krytycznego myślenia oraz dbania o swój dobrostan psychiczny i fizyczny* – tłumaczy Justyna Żukowska-Gołębiewska.

Zauważa także, że wśród rodziców nadal pokutuje przekonanie, że skorzystanie z pomocy psychologa to coś kontrowersyjnego. – *Najlepiej działa tu zasada trzech P: popatrz, posłuchaj, połącz. Oznacza to tyle, że trzeba dostrzec problem, wysłuchać, co się dzieje, i w razie potrzeby skierować dziecko do specjalisty. Wszystko to będzie łatwiejsze, jeśli poważnie potraktujemy sprawę psychoedukacji* – dodaje.

Aleksandra Piotrowska jest doktorem psychologii z wieloletnim doświadczeniem w pracy z pacjentami. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. W codziennej praktyce obserwuje z bliska narastające problemy dzieci i młodzieży. Podkreśla, że w ostatnich latach poczucie bezpieczeństwa młodych ludzi zostało zniszczone przez wybuch pandemii i wojnę w Ukrainie.

Ustawa umożliwiająca im skorzystanie z pomocy psychologa mogłaby być dla nich ratunkiem. Zwłaszcza że nadal w wielu szkołach w Polsce brakuje specjalistów. Często dyrektor czeka, aż któraś z nauczycielek ukończy potrzebne studia i formalnie stanie się psychologiem. Zatrudnia się także osoby kończące studia psychologiczne, a nawet studentów ostatnich lat. Zdaniem doktor Piotrowskiej takim osobom często brakuje niezbędnego doświadczenia w pracy z młodzieżą, a kryzysów psychicznych naprawdę nie można lekceważyć.

– *W 25-osobowej klasie mamy przynajmniej jedną, często dwie osoby, które mają myśli samobójcze lub nawet podjęły taką próbę* – tłumaczy. – *Jak w takiej sytuacji można blokować młodym ludziom dostęp do specjalisty i odsyłać niezwykle potrzebną ustawę do Trybunału* – mówi z irytacją. – *Robi się to w imię źle pojmowanej ochrony władzy rodzicielskiej. Z praktyki i badań wynika, że całkiem liczna grupa rodziców właściwie nie spędza na co dzień czasu ze swoimi dziećmi. Zdawkowe rozmowy koncentrujące się na sprawach szkolnych czy na temat nieporządku w pokoju naprawdę nie prowadzą do bliskiej, głębokiej relacji, do wzajemnego zaufania. Władza rodzicielska nie polega na tym, żeby mieć przy sobie grzeczne, potulne i nieabsorbujące dziecko, tylko żeby dać drugiemu człowiekowi szansę na rozwój w bezpiecznych warunkach* – dodaje.

Połowa młodych osób nie akceptuje siebie, a wiele z nich doświadcza osamotnienia, przytłoczenia codziennością czy braku chęci do aktywności.

Lucyna Kicińska, ekspertka Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym, przez 11 lat koordynowała także działanie telefonu zaufania dla dzieci i młodzieży.

– *Postawa młodych ludzi napawa mnie wielką nadzieją, ponieważ są bardzo świadomi, że o dobrostan psychiczny trzeba dbać. Tymczasem ich rodzice nadal obawiają się, że psycholog w gabinecie będzie ich krytykował, wytykał błędy, zawiązywał nieformalne sojusze z dzieckiem przeciwko nim. Zupełnie nie taka jest rola specjalisty. Chcemy pomóc rodzicom w zrozumieniu sytuacji ich dziecka. Bardzo często już po konsultacji słyszę: wie pani, ja nie wiedziałem, że ten problem można tak rozwiązać* – tłumaczy.

Zwraca również uwagę, że XXI w. jest bardzo trudny dla młodych umysłów. – *Jak nigdy w historii są bombardowane ogromną ilością informacji. Nastolatkowie nie mają jeszcze rozwiniętych umiejętności syntezy i analizy. Trudno się więc dziwić, że odczuwają zagubienie w obliczu wszechobecnego chaosu i braku czasu rodziców. Ustawa była ważną, uchyloną furtką; wstępem do psychoterapii dla tych, którzy jej potrzebują. Prezydent tę furtkę na jakiś czas zatrzasnął* – dodaje.

Podkreśla jednocześnie, że kryzysy są podstawą rozwoju. Nie jest możliwe przejście przez życie bez porażki. – *Niektórzy rodzice błędnie pojmują sprawę ochrony i dobrostanu dziecka. Widać to np., kiedy zabierają dziecko ze szkoły stacjonarnej na edukację domową, żeby przypadkiem się nie okazało, że kolega jest w czymś lepszy. Rozmowa w gabinecie trochę otwiera ludziom oczy i zaczynają rozumieć, że ich rolą nie jest przeżywanie życia za własne dzieci.*

Prezydent Duda, odsyłając ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, zachował się jak ten rodzic, który wszystko wie lepiej i nie dopuszcza myśli, że jego dziecko może mieć poważny problem.

FILIP ZAGOŃCZYK

Każde dziecko czy nastolatek, który potrzebuje porozmawiać o swoich problemach, może skorzystać z telefonu zaufania 116111.

KUP TERAZ

Zainteresowanych tematem pomocy terapeutycznej zachęcamy do lektury Poradnika Psychologicznego JA MY ONI **„PSYCHOTERAPIA. DLA KOGO. U KOGO"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 2a630d192f

Dr **Wojciech Zaremba** – matematyk i informatyk urodzony w Kluczborku, laureat Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej w 2007 r. W 2015 r. w wieku 26 lat stał się jednym z założycieli OpenAI. Autor licznych cytowanych publikacji naukowych i filantrop – wsparł 500 tys. zł kluczborski Zespół Szkół Ogólnokształcących, w którym uczył się jako dziecko.

Otwarty umysł

Rozmowa z dr. Wojciechem Zarembą, współzałożycielem OpenAI i współtwórcą ChatGPT, oraz z Marią Mach, dyrektorką Funduszu Zdolni.pl, o tym, co jest potrzebne, żeby tworzyć wynalazki, i co będzie potrzebne w przyszłości.

JOANNA CIEŚLA: **– Czujesz się bardziej dumny czy bardziej winny?**

WOJCIECH ZAREMBA: – Czuję się współodpowiedzialny za rozwój sztucznej inteligencji i za to, jakie będą jego skutki. Jest jasne, że stajemy wobec zmiany cywilizacyjnej porównywalnej z rewolucją agrarną, że zmieni się każdy aspekt życia. To wielka szansa – na wzrost dobrobytu, na zrozumienie świata i wszechświata. Ale to też może być trudne.

To może być demolka.

WZ: – Zmniejszamy jej ryzyko, jeśli uczymy się i uczestniczymy. Między innymi dlatego spotykam się z młodymi ludźmi w Polsce, żeby zachęcić ich do udziału w pracach nad nowymi technologiami i do korzystania z nich. Żeby zwiększyć prawdopodobieństwo, że ten pozytywny wpływ AI przeważy, bo ludzie będą te systemy rozumieć i przystosowywać do swoich potrzeb. A jeszcze

Maria Mach – wieloletnia dyrektorka stowarzyszenia wspierającego zdolnych uczniów Fundusz Zdolni.pl (www.fundusz.org; dawniej: Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci), filozofka.

eprasa.pl 2a630d192f

co do mnie: nie czuję się dumny. Jak się nad tym zastanawiam, to czuję raczej zdziwienie, a przede wszystkim wdzięczność za to, że mogę współtworzyć tę zmianę. Dlatego zaprosiłem do naszej rozmowy Marię Mach, dyrektorkę Funduszu Zdolni.pl, który wspiera dzieci pasjonujące się różnymi dziedzinami: matematyką, chemią, fizyką, sztuką. Ta organizacja miała na mnie wielki pozytywny wpływ, a Maria świetnie rozumie, jak to wszystko się stało.

Podobno zaczęło się od konstrukcji bomb?

MARIA MACH: – Wojtek zgłosił się do nas do Funduszu jako uczeń zainteresowany chemią. I rzeczywiście chwilami załamywaliśmy ręce, widząc, jak to zainteresowanie się wyraża. Ale było jasne, że do różnych wyczynów napędza go szalona ciekawość. A my staramy się takie motywy wspierać.

Brzmi dość wywrotowo.

MM: – Oczywiście nie pochwalam stwarzania zagrożeń. Ale jeśli eliminujemy z życia dzieci sytuacje jakkolwiek niebezpieczne, to nie możemy oczekiwać, że te dzieci będą miały jak i kiedy rozwijać w sobie odwagę, potrzebną także do różnych poszukiwań. Staliśmy się w ostatnich dekadach tak bardzo skoncentrowani na kwestii bezpieczeństwa, że zapomnieliśmy, że odwaga także jest człowiekowi potrzebna. Oraz okazja, żeby samodzielnie sobie zagospodarować czas. W naszym środowisku mamy nawet takie określenie: namawiamy rodziców, żeby „zdrowo zaniedbali" swoje dziecko.

WZ: – Moi rodzice nie do końca zdawali sobie sprawę z moich pomysłów. Nauczyciel chemii w mojej szkole w Kluczborku trochę się martwił, ale też nie wiedział wszystkiego. I dobrze, bo pamiętam taki obrazek: jadę za miasto na rowerze, po dziurawej drodze. A w plecaku mam laskę dynamitu, ponad kilogram.

I jak z tego roweru przechodzi się do pisania rewolucyjnych kodów źródłowych?

MM: – To jest dość zagadkowe, ale z naszych obserwacji bardzo częste – że to ogólne zainteresowanie, ciekawość czegoś, co jest „fajne", bo wybucha albo zmienia kolor, przechodzi w stawianie pytań. Kłopot polega na tym, że właściwego zadawania tych pytań w większości szkół się nie kształci, a to jedna z najważniejszych umiejętności, także wobec rozwoju AI.

Ciekawość ma szansę przetrwać w ludziach, kiedy ChatGPT, współtworzony przez Wojciecha, da odpowiedź na każde pytanie, często w mniej niż sekundę?

WZ: – To, że odpowie, nie znaczy, że zaspokoi ciekawość. Potrzeba zrozumienia świata to jest coś dużo głębszego. Niedawno oglądałem w internecie filmiki nastolatka, który w domu zaczął budować tzw. *fab* do produkcji chipów. Te jego chipy są w znacząco większej skali: 5 tys. nanometrów, gdy chipy stosowane w przemyśle mają kilka nanometrów. Ale zbudowanie czegoś takiego, opanowanie całego systemu litografii chemicznej, etapów przetwarzania krzemu, to jest zadanie nietrywialne, choć o każdym z tych procesów można wiele przeczytać. Tak samo jest z napisaniem skomplikowanego oprogramowania, rozwiązaniem jakiegoś problemu medycznego, rozmnażaniem bakterii czy hodowlą kolonii mrówek. Doświadczenie tego, jak jakiś proces się udaje albo nie, co się w recepturze nie zgadza, pokazuje niuanse, które nie są oczywiste, gdy się o tym czyta.

Ale czy to zrozumienie będzie potrzebne komukolwiek poza tym eksperymentującym człowiekiem? Sam Altman mówił niedawno, że ChatGPT już potrafi postawić lepszą diagnozę niż większość lekarzy na świecie. Perspektywy wielu zawodów prawniczych są jeszcze bardziej mizerne. A część inteligentnych młodych ludzi, z którymi spotkasz się dziś w Krakowie czy Kluczborku, pewnie wciąż widzi swoją przyszłość w modelu kariery prawnika, lekarza albo innej, która zaraz zniknie. Może ludzki rozwój i wysiłek już nie mają sensu?

WZ: – Ludzie i tak będą ten wysiłek podejmować, bo to jest w naszej naturze. Wystarczy spojrzeć na małe dzieci i ich niewiarygodną ciekawość, ciągłe pytania: dlaczego? Pytanie, co robić, żeby tego popędu nie zabić i nie zmarnować.

Co robić?

MM: – Odpowiem, czego nie robić. Nie zachęcać do wybierania zawodu w szkole średniej, a tym bardziej podstawowej. Ale zachęcać do studiowania dziedziny, która człowieka pociąga, i do sprawdzania, co w jej ramach jest do zrobienia, co jeszcze można odkryć.

Jesteśmy przyzwyczajeni planować swoje wykształcenie, przyszłość i drogę, która ma nas do tego doprowadzić.

MM: – To są przyzwyczajenia ze starego świata. Mieliśmy niedawno w Funduszu spotkanie z naszym absolwentem, który zrobił doktorat z fizyki, a profesorem został jako biolog. Dziś prowadzi wspaniałe badania w Instytucie Nenckiego. Ktoś ze stypendystów zapytał: czego się pan najbardziej bał, jak pan zaczynał karierę? A profesor na to: niczego. Nie bał się właśnie dlatego, że nie miał działań rozplanowanych po sznureczku. Widzę, że młodzi ludzie dziś bardzo się boją, co będzie, jeśli nie dostaną się do wybranej szkoły albo na studia, jeśli coś im nie pójdzie. Dziś takie lęki mają mniejszy sens niż kiedykolwiek.

A jakie mają większy? W Polsce o rozwoju sztucznej inteligencji mówi się głównie w kategoriach zagrożeń. Oprócz tego, że zabierze pracę, może pogłębić chaos na świecie, zrujnuje resztki międzyludzkiego zaufania, unieważni relacje. Narracja Geoffreya Hintona trafia u nas na podatny grunt.

WZ: – To ma podstawy. Na pewno ludzie będą w różny sposób wykorzystywać sztuczną inteligencję. Tak jak wynalazek druku, który okazał się przydatny i w rozwoju demokracji, i systemów totalitarnych. W tym strachu jest też ewolucyjne uzasadnienie, bo człowiek przez większość swojej historii traktował coś, czego nie zna, jako zagrożenie, i często dobrze na tym wychodził. Ale akurat obaw o całkowite przejęcie pracy przez systemy AI nie podzielam. Wiadomo, że sztuczna inteligencja już dziś ją zmienia, ale tworzy zapotrzebowanie na nowe zawody, tak jak to było przy innych przełomach technologicznych.

Wróćmy do nieprzewidywalności życia. Marzyłeś, że założysz firmę, która postawi na głowie świat?

WZ: – Nie. Nie brałem pod uwagę, że będę przedsiębiorcą. Po prostu zajmowałem się problemami, które były dla mnie ciekawe. U mnie też nie było jakiegoś planowania. Na początku podstawówki miałem wspaniałą nauczycielkę. Gdy rozwiązałem zadanie z matematyki, podchodziłem do niej, a ona dawała mi więcej zadań, choć mogła powiedzieć: „siadaj, dziecko, poczekaj na innych" – i zabić we mnie pasję. Jestem jej bardzo wdzięczny. Kilka lat później inna nauczycielka matematyki powiedziała mi przy tablicy, że jestem głupi. Zniechęciłem się i zająłem się chemią. Ale gdy zrobiłem już wszystko, co chciałem zrobić, wróciłem ▶

© PAP/KRZYSZTOF ŚWIDERSKI, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 2a630d192f

▶ do matematyki. Po pierwszej klasie liceum sam się przeniosłem do wrocławskiego LO, znanego z tego, że bardzo dobrze jej uczy. Powiedziałem o tym mamie, gdy już wszystko załatwiłem.

I co wynikło z tych przenosin?

WZ: – Od drugiej klasy zacząłem się przygotowywać do olimpiady matematycznej. Ja wtedy ciągle myślałem o matematyce. Jeśli miałem nierozwiązane zadanie, nie mogłem spać. Wieczorem drukowałem sobie zadania na rano – tak, żeby przypadkiem nie zobaczyć ich treści. Chciałem zdawać egzamin na prawo jazdy, ale było mi trudno jeździć, bo ciągle myślałem o matematyce. A jak już zdobyłem tytuł laureata na olimpiadzie i miałem zapewniony indeks, w ogóle przestałem chodzić do szkoły.

A co na to Fundusz?

MM: – Osobiście popieram niechodzenie do szkoły od czasu do czasu, bo to pozwala trochę rozszczelnić spojrzenie na świat, zyskać przestrzeń do zagospodarowania własnymi pomysłami, może się trochę ponudzić.

WZ: – Ja się nie nudziłem. Nadal rozwiązywałem zadania z olimpiad międzynarodowych, dzień za dniem. Niekiedy przy zadaniach geometrycznych cały pokój miałem w kartkach. Bardzo mi się ten okres w życiu podobał. A potem studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim matematykę i informatykę, i odkryłem, że sztuczna inteligencja to połączenie tych dwóch dziedzin. Jeździłem do Stanów na praktyki, do Nvidii, Google'a, Facebooka, a potem rozpocząłem doktorat na uniwersytecie w Nowym Jorku. Miałem mocne publikacje naukowe, a środowisko ludzi zajmujących się sztuczną inteligencją było stosunkowo małe, znaliśmy się z konferencji. W 2015 r. spotkaliśmy się w Napa, to ta część Kalifornii słynna z win. I zaczęliśmy rozmawiać o potencjalnym założeniu OpenAI. Był tam również Sam Altman. Połączył nas optymizm co do możliwości rozwoju sztucznej inteligencji.

Gdy tworzyliście ChatGPT, przewidywaliście, że odniesie taki sukces?

WZ: – Nie, to był jeden z wielu projektów. Ja np. zajmuję się robotyką, wcześniej pracowałem nad robotyczną ręką układającą kostkę Rubika. Dopiero po kilku tygodniach od wprowadzenia ChatGPT dotarło do nas, jakie ma znaczenie.

Twórców technologicznych imperiów często odbiera się i przedstawia jako nerdów ze świetnymi umysłami, którzy „uciekają w sztuczne światy" z powodu jakichś emocjonalnych blokad albo zranień. Ty prawie cały czas mówisz o doświadczeniu życzliwości i wsparcia. Jesteś wyjątkiem czy stereotyp jest wykoślawiony?

WZ: – Ludzie w moim otoczeniu funkcjonują bardzo różnie. Moje doświadczenia, nie tylko z osobami uzdolnionymi, są takie, że nawet jeśli ktoś ma w sobie jakieś żale, to gdy się go bliżej pozna, znajduje się w nim dobre intencje, chęć, żeby rozwiązywać problemy, robić sensowne rzeczy. Na osoby utalentowane łatwiej patrzeć z pozycji „oni" vs „my", bo tacy ludzie w sposób oczywisty miewają nietypowe podejście do świata, skoro zajmują się innymi rzeczami niż większość.

MM: – Ja dodam, że życzliwość otoczenia jest drugim czynnikiem niezbędnym do rozwoju, bez niej trudno rozwijać ciekawość. Ważne jest, żeby człowieka na wejściu witało przekonanie, że właśnie dobre intencje ma – nawet jeśli czasem robi głupstwa albo za bardzo nie chce wchodzić w kontakt. Myślę, że gdybyśmy mieli w sobie więcej życzliwości i otwartości, mniej byłyby nam potrzebne te stosy orzeczeń, z którymi także do Funduszu w ostatnich latach przychodzi mnóstwo kandydatów.

W środowisku OpenAI wciąż słyszę o polskich nazwiskach: ty – współzałożyciel, Jakub Pachocki – główny naukowiec firmy, Aleksander Mądry – szef działu gotowości. To złudzenie, że jest was wielu, czy fakt?

WZ: – To fakt, że jest więcej Polaków, niż wynikałoby ze statystyk, nawet w ramach kierownictwa naszej firmy.

WZ: – Ja mimo wielu negatywnych rzeczy, które mówi się o polskiej edukacji, mam wrażenie, że ona przez lata była bardzo dobra, przynajmniej w mojej dziedzinie. Może to pozostałość po rywalizacji radziecko-amerykańskiej z czasów zimnej wojny – ludzie, którzy w przeszłości szkolili kadry dla przemysłu, pozostali ambitni i chętni do kształcenia innych?

MM: – Ja też uważam, że krytyka poziomu polskiej nauki i dydaktyki akademickiej jest przesadna, choć na pewno przydałoby się, żeby władze poświęcały więcej uwagi temu sektorowi. Ale rzesze naukowców w Polsce są zaangażowane w tworzenie ośrodków, które wyrastają na źródła światowych elit, jak wydział, który kończył Wojtek i jego koledzy. Za mało się o tym mówi. A znaczący jest choćby fakt, że z naszymi stypendystami w Funduszu co roku pracuje 300 naukowców i artystów z różnych dziedzin – i oni wszyscy włączają się jako wolontariusze, społecznie. I – muszę to powiedzieć – także Wojtek przy okazji swojego niedawnego wesela poprosił gości, żeby zamiast prezentu dla niego i jego żony przekazali wsparcie dla Funduszu. To też coś mówi o osobach, które tworzą to środowisko.

Co jest najważniejsze w pracy z młodymi ludźmi w dzisiejszych czasach?

WZ: – Tworzenie sieci. Dolina Krzemowa to nie jest jeden człowiek. To jest sieć ludzi o podobnym podejściu, myśleniu na temat świata i przyszłości, którzy się nawzajem napędzają. Trzeba ludzi zachęcać do łączenia się w podobne sieci na różnych etapach – sieci naukowców, sieci dzieci, sieci przedsiębiorców, którzy współpracują, wspierają się, dzielą ambicje. A druga ważna rzecz to umiejętność wykorzystywania AI do granic jej możliwości. Ludzie, którzy szybciej i lepiej będą w stanie używać tej technologii, będą w dobrym miejscu – tak jak ci, którzy 100 lat temu wdrożyli prąd do swoich sklepów, fabryk i miast. Dlatego namawiam: korzystajcie, starajcie się zrozumieć, jak najlepiej można w ramach waszej dziedziny z technologii korzystać, gdzie ona najlepiej działa, jak ją integrować.

Co z tymi, którzy nie znajdą swoich sieci? I nie będą mieli dostępu do AI?

WZ: – Rozwarstwienie społeczne jest realnym wyzwaniem. Narzędzia sztucznej inteligencji już teraz w pewnym zakresie są dostępne w formie bezpłatnej dla każdego, można z nich korzystać do znalezienia pracy, do nauki. Ale gigantyczne obszary świata wciąż nie mają dostępu do prądu, a sztuczne modele językowe słabiej działają w językach, w których nie ma wielu treści dostępnych w internecie, np. w językach afrykańskich. To otwiera drogę dla wielu zagrożeń. Możemy ją próbować zasypywać funduszami napędzającymi rozwój, poprawiającymi opiekę medyczną, ale na razie nie ma oczywistej recepty, jak najskuteczniej zamieniać pieniądze w realną pomoc. Można powiedzieć, że to problem naukowy. Może – w perspektywie kilku lat – narzędzia AI będą pomocne, żeby go rozwiązać.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 2a630d192f

Diabeł wcielony

Rozmowa z **Maciejem Kucielem**, autorem książki „Morderca w gumiakach", o tym, jak gang największego polskiego seryjnego mordercy zabijał i rabował przez prawie 20 lat.

Tadeusz Grzesik podczas ogłoszenia wyroku w kieleckim sądzie w 2012 r. w sprawie zabójstwa trójki Ukraińców w lesie pod Cedzynią w 1991 r. Za tę pierwszą, potwierdzoną sądownie zbrodnię został skazany na 25 lat.

© PAWEŁ MAŁECKI/AGENCJA WYBORCZA

JOANNA PODGÓRSKA: **– Kiedy Tadeusz Grzesik będzie mógł ubiegać się o przedterminowe zwolnienie?**

MACIEJ KUCIEL: – Dostał trzy wyroki dożywocia z obostrzeniem, że o zwolnienie będzie mógł się ubiegać po 30 latach. Ma także wyrok 25 lat pozbawienia wolności. Przy czym jeden z tych procesów jeszcze się nie zakończył, bo Sąd Najwyższy skasował niedawno wyrok sądu apelacyjnego, uznając, że skład był nienależycie obsadzony; jeden z sędziów został uznany za neosędziego. Ale nawet jeśli minie te 30 lat obostrzenia, nie sądzę, żeby ktokolwiek zdecydował się wypuścić Grzesika z więzienia. Dziś ma 65 lat i przypuszczam, że raczej nie dożyje wolności. W innych okolicznościach prawnych najpewniej skazano by go na karę śmierci.

Wiadomo, ilu ludzi zabił?

17 ofiar zostało potwierdzonych dowodami i wyrokami sądowymi. Natomiast jest jeszcze ta ciemna liczba zabójstw, o której w mojej książce mówi m.in. były policjant Zdzisław Marek Szczekota – on szacuje, że ofiar mogło być nawet 40. Być może jest to liczba przesadzona, ale pamiętajmy, że przestępcza droga Grzesika była bardzo długa. Pierwsza, potwierdzona sądownie zbrodnia, to zabójstwo trójki Ukraińców w lesie pod Cedzynią, w 1991 r. Został za to skazany na 25 lat, bo w latach 90. zlikwidowano karę śmierci (początkowo wprowadzono na nią moratorium), a nie było jeszcze w kodeksie kary dożywocia. Gdyby nie to, miałby pewnie cztery wyroki dożywotnie.

Wiadomo, dlaczego ci Ukraińcy zostali zastrzeleni? Bo w książce pojawia się dość szokująca teza, że Grzesikowi i jego wspólnikom chodziło o wypróbowanie działania przerobionej broni.

Tak zeznał młodszy brat bliskiego kompana Grzesika, o pseudonimie Szangala, który był uczestnikiem tego mordu. Ale to jedyne źródło tej tezy. Mogli po prostu chcieć tych Ukraińców okraść. To sprawdzony sposób działania grupy Grzesika: zabijamy i rabujemy.

Podobno była szansa, żeby już wówczas zostali złapani? ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ Wśród ofiar było dwóch mężczyzn i jedna kobieta, która została wcześniej zgwałcona. Pobrano próbki spermy, a krótko potem pojawiła się możliwość przeprowadzenia badań DNA. Ze stypendium w Getyndze wrócił specjalista, który był w Polsce pionierem w tej dziedzinie. Prokurator rozmawiał z nim na ten temat, ale ostatecznie decyzji nie podjęto, bo badanie miało kosztować 6 tys. zł. To był początek lat 90., milicja dopiero przekształcała się w policję, a bieda w tej instytucji była straszna. Dziś, gdy wydatki na badania kryminalistyczne sięgają nawet milionów, trudno nam to sobie wyobrazić. Wtedy zabrakło odwagi w podejmowaniu decyzji. Chociaż prokurator Katarzyna Płończyk, która też potem pracowała przy sprawie Grzesika, tłumaczyła mi, że nawet w latach 2000., gdy trafiła do prokuratury, badania DNA nie były jeszcze traktowane priorytetowo. Teraz, z perspektywy czasu wydaje nam się, że to jest automat.

Drugim śladem, który już w 1991 r. mógł doprowadzić śledczych do grupy Grzesika, była notatka oficera Zdzisława Szczekoty, który dobrze znając swój teren, już miesiąc po zabójstwie trafnie wytypował sprawców. Notatka Szczekoty trafiła do tajnych operacyjnych akt policji, a notatka o możliwości przeprowadzenia badań DNA – do głównych akt prokuratora. Minęło 18 lat, zanim te dwie notatki spotkały się w jednych aktach. A przez cały ten czas Grzesik i jego grupa zabijali.

Były inne poszlaki, że za zabójstwami stoi jedna grupa?

Tak. Wszędzie pojawiała się przerobiona broń, która strzela w charakterystyczny sposób. Napady miały ten sam schemat. Gdy w 2007 r. powołano w Krakowie specjalną grupę śledczą, jej członkowie nie mogli się nadziwić, że do tej pory nikt nie zdołał połączyć kropek. Ale w Kielcach, gdzie wcześniej prowadzono śledztwo, jeśli chodzi o Tadeusza Grzesika, panowała jakaś dziwna niemoc. Przecież zabójstwo Ukraińców to był dowodowo stuprocentowy strzał. To mogła być duża sprawa, ale zdziesiątkowana, biedna policja sobie z nią nie poradziła.

W tym czasie w całej Polsce działały groźne mafie. Tylko że Dziad, Wariat, Krakowiak czy Kiełbasa to byli gangstacelebryci. Ostentacyjnie obnosili się z bogactwem. A Grzesik?

A Grzesik – nie. Poziom brutalności, metody, skala zbrodni były te same, co w przypadku wielkomiejskich mafii, ale grupa Grzesika działała po cichu. Wspólnika, który zaczął zbytnio szastać pieniędzmi, po prostu zlikwidował. Dlatego trudniej było dostrzec, że w okolicach Kielc działa mafia na taką skalę. TVN-owski operator, który pracował przed laty przy dokumentalnym serialu „Kryminalne gry", wspomina, że policjanci z tego regionu mówili: „Nie, u nas nic specjalnego się nie dzieje, to nie stolica".

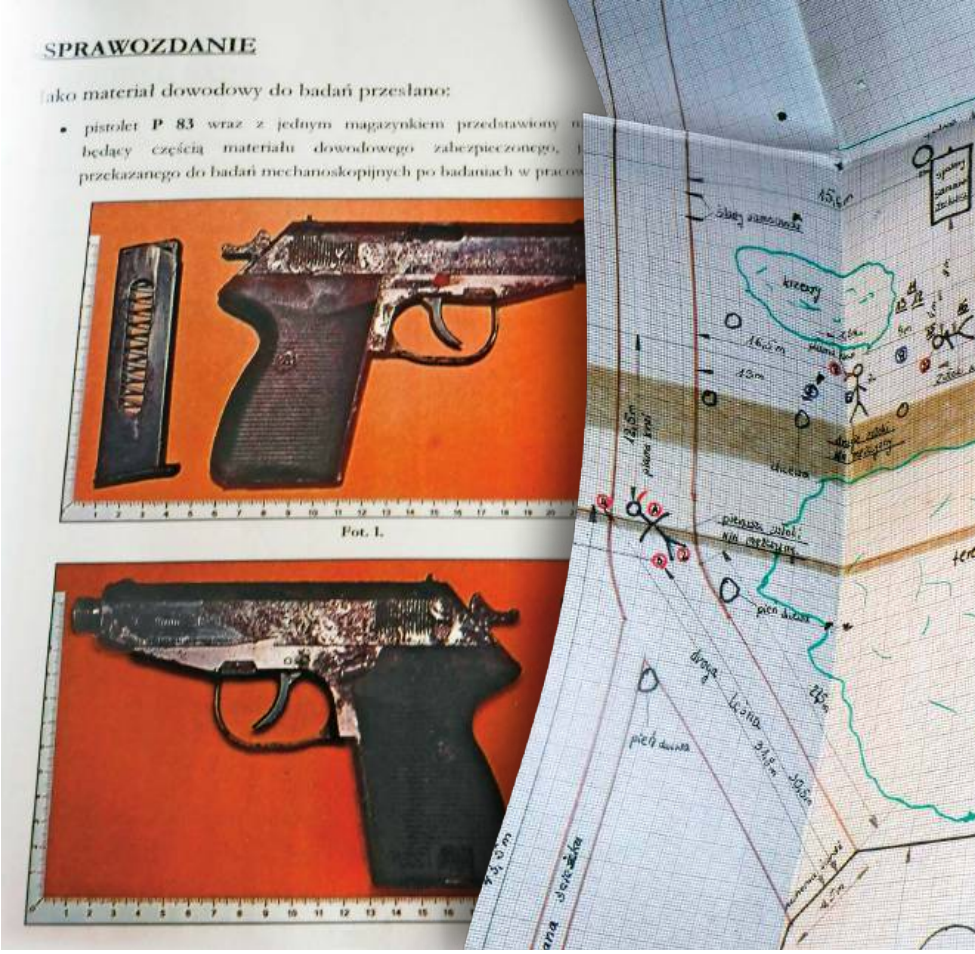

Materiały z dochodzenia. Śledztwo trwało od 1991 r.

Dekadę później wrócił na te tereny ze mną i nie mógł się nadziwić – nic się nie działo, a ludzie ginęli jak muchy? Tylko czym ta policja miała się wtedy pochwalić? Że ma w tajnych notatkach wytypowanego sprawcę, ludzie nadal są zabijani, a oni nie potrafią mu niczego udowodnić? Prowincjonalny klimat, w którym działała grupa Grzesika, nie pasował do medialnego obrazu zorganizowanej przestępczości, który w tamtym czasie zbudowały media.

Może był sprytniejszy?

On był sprytny sprytem wypracowanym przez lata. W młodości był typem wiejskiego zabijaki notowanym za kradzieże i włamania. Od tego czasu wiele się nauczył. Korzystał z wiedzy, jaką jego kumple pozyskiwali pod celą od doświadczonych kryminalistów. Sam był na tyle ostrożny, że cały czas pozostawał na wolności. Napady planował starannie. Poprzedzała je długa obserwacja wytypowanych ofiar. Rabunek następował o świcie lub o zmierzchu, gdy było już ciemno, najlepiej przy kiepskiej pogodzie, bo wtedy trudniej o świadków. Rzadko sam pociągał za spust; raczej wydawał rozkazy. Może miał świadomość, że kreowanie się na celebrytów przez wielkomiejskich bandytów doprowadzi do tego, że rządzący znajdą się pod presją. Wtedy prasa to była potęga. A potencjalny wyborca codziennie dostawał przekaz, że bandyci są bezkarni, a państwo bezradne. Politycy nie mogli tego ignorować i prędzej czy później musieli się do tego wziąć. Doprowadzili do zmian w prawie, które zmiotły ten typ przestępczości z powierzchni ziemi. Stworzono m.in. instytucję świadka koronnego, która dla rozbicia mafijnych grup miała decydujące znaczenie. Gdyby działali po cichu, jak Grzesik, może by do tego nie doszło.

On miał dwie twarze?

Tak. Oficjalnie był plantatorem truskawek – niepijący, uczynny, niekonfliktowy, oddany rodzinie. A jednocześnie absolutnie bezwzględny bandyta, bez grama

eprasa.pl 2a630d192f

litości dla ofiar. Żona porwanego przez Grzesika mężczyzny, który był u niego zadłużony, gdy poszła prosić o uwolnienie męża, miała usłyszeć: „Ja Boga w sercu nie mam". Porównywał siebie do diabła.

I jego małe prowincjonalne otoczenie o niczym nie wiedziało?

Myślę, że w pewnym sensie wiedzieli wszyscy, choć pewnie nie o wszystkim. Trzeba też brać pod uwagę lęk przed omertą. Poza tym grupa rozszerzała obszar działania. Napadali na Podkarpaciu, ale też w Sosnowcu, Piotrkowie Trybunalskim, Kraśniku, Myślenicach. Ofiarami byli przede wszystkim właściciele kantorów, którzy wracali do domu z utargiem spakowanym w jakąś reklamówkę czy saszetkę. Ale zabijano też świadków. Nie darowali nawet jamnikowi w domu jednej z ofiar.

Kradli ciężkie pieniądze, na które zwykli ludzie musieli pracować latami, ale nie pogardzili też dziecięcym rowerkiem ukradzionym pod kościołem. To szokujące.

Grzesik wyznawał zasadę, że wyjazd musi się zwrócić. Trzeba było przecież zainwestować choćby w paliwo. Nie gardzili drobnicą. Kradli jakieś blachy, sadzonki truskawek, spuszczali benzynę z okradzionych tirów. Dlaczego nie rowerek, jak była okazja. Raz zysk jest duży, raz mały, a ludzkie życie traktuje się jako koszt. Strzelali tak, aby zabić; w klatkę piersiową lub w głowę. Nie ma świadków, nie ma informacji, nawet drobnych.

Co ostatecznie zaważyło o tym, że grupa Grzesika wpadła?

Według jednej z teorii stało się to, gdy do sprawy wzięli się krakowscy policjanci, niezwiązani z rejonem Grzesika. Policja kielecka nie potrafiła tego zrobić, choć chcę podkreślić, że nie ma żadnych dowodów na jej kontakty, współpracę z grupą Grzesika czy na jakiś nielegalny wypływ informacji. Kluczowa była analiza kryminalistyczna połączeń telefonicznych. Członkowie grupy używali kart, które po napadzie niszczono. Jeden z nich, Jacek P., z lenistwa, a może głupoty zadzwonił z prywatnej, abonamentowej karty z telefonu używanego w dniu napadu. W telefonie w tym czasie pracowała też anonimowa karta, która została potem zniszczona, tak jak i sam telefon. Jednak to wystarczyło, aby powiązać Jacka P. z napadem i Tadeuszem Grzesikiem, u którego podczas przeszukania znaleziono opakowania od anonimowej karty SIM używanej podczas napadu.

Maciej Kuciel dziennikarz związany z programami interwencyjnymi i śledczymi „Uwaga!" oraz „Superwizjer", emitowanymi w TVN. Był związany z krakowskim dodatkiem „Gazety Wyborczej", działem prawnym „Rzeczpospolitej" oraz Radiem Kraków. Od 15 lat obserwował procesy Tadeusza Grzesika, badał akta jego spraw, rozmawiał z policjantami, prokuratorami, profilerami i świadkami.

Ten drobny błąd gangstera zaważył na dochodzeniu. Policja poszła po nitce do kłębka. Ustalili, że to ten sam telefon, który pracował w okolicy Myślenic, gdzie doszło do rabunku i morderstwa. Jacek P. w śledztwie się „rozpruł" i zaczął mówić. Wcześniej nikt nie wiedział, że za napadem w Piotrkowie stoi grupa Grzesika, choć operacyjnie to pasowało. Podobnie z napadem w Tarnowie. Śledczy mieli podejrzenia, ale nie mieli dowodów. Gdyby Jacek P. nie poszedł na współpracę, zarzuty mogłyby się ograniczyć do zbrodni popełnionej w Myślenicach. Jego wyjaśnienia otworzyły worek z morderstwami.

Kiedy aresztowano Grzesika?

W 2007 r. Jacek P., który razem z Grzesikiem brał udział w napadach w Piotrkowie Trybunalskim, Kraśniku i Myślenicach, dostarczył kolejne dowody. Wskazał miejsce, gdzie odstrzeliwano przerabianą broń. Analiza łusek pomogła ją połączyć z kolejnymi zabójstwami, m.in. napadem na ojca właścicielki kantoru w Tarnowie. Potem kolejni członkowie grupy szli na współpracę z policją, by uzyskać korzystniejszy wyrok. Udało się wrócić do morderstw popełnionych w latach 90. Wyszła na jaw historia księgowej zastrzelonej we własnym samochodzie.

To też był rabunek?

Nie, ostrzeżenie. Chodziło o to, by zlikwidować konkurencję na terenie, w którym Grzesik i jego ludzie prowadzili też interesy. Bo to przecież nie było tak, że oni tylko jeździli, zabijali i rabowali. Tym zajmowali się przede wszystkim, ale mieli swoje biznesy, jak chociażby handel materiałami budowlanymi. Właściciela nowej konkurencyjnej hurtowni nie mogli namierzyć. Z księgową było łatwiej, bo przyjeżdżała regularnie. Grzesik nie uznawał napadów bez „obcinki". To on zajmował się planowaniem i logistyką. Musiał wiedzieć, kiedy ktoś przyjeżdża, kiedy wyjeżdża, jakie są zagrożenia i drogi ucieczki. Skoro właściciela nie udało się namierzyć, w ramach ostrzeżenia zabili najpierw stróża, a potem księgową.

Czy Grzesik w jakimkolwiek momencie tych czterech procesów się przyznał?

Nie, nigdy. Najtrudniej było mu wyprzeć się sprawy zabójstwa Ukraińców, bo były mocne dowody w postaci analizy DNA, którą w końcu przeprowadzono. Tłumaczył, że z tą Ukrainką współżył wcześniej, sugerował, że była prostytutką. Ale szczegółowe badania biegłych obaliły te wyjaśnienia. Wykazały, że kobieta zmarła wkrótce po gwałcie i pobiciu. Mimo to Grzesik nadal się nie przyznał. Uważa się za niewinnego i walczy do końca. W każdym z procesów składał apelacje i wnioski o kasację. W trzech procesach wnioski o kasację zostały odrzucone, a wyroki są ostateczne. W ostatnim – tarnowskim walczy dalej.

Współczesną policję dzieli od tej z lat 90. przepaść, ale przestępczość też chyba radykalnie się zmieniła?

Brutalna bandycka przestępczość zorganizowana to już przeszłość. Żyjemy w nieanonimowym, monitorowanym świecie, w którym przepływ informacji jest błyskawiczny. Trudno sobie dziś wyobrazić, że taka grupa jak banda Grzesika działa całymi latami. Rzadko dziś ktoś nosi gotówkę w reklamówkach. Brutalność dziś się nie opłaca, nie jest potrzebna. Czyściej i dyskretniej jest włamać się komuś na konto albo wyłudzić pieniądze metodą „na wnuczka" czy „na policjanta", niż strzelać albo walić w głowę gazrurką. Przemyt, nielegalny handel, oszustwa finansowe są bardziej intratne niż zbójowanie przy drodze. Dziś napady na kantory, gdy sprawcy pod okiem kamery walą młotami w pancerną szybę lub próbują dostać się do środka za pomocą koparki, budzą raczej uśmiech politowania niż zgrozę.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© MATERIAŁY DOCHODZENIOWE (3), LESZEK ZYCH

eprasa.pl 2a630d192f

Nielegalni legalni

1 października prawie milion pracujących w Polsce Ukraińców nie przyjdzie do pracy. Ich prawo do legalnego zatrudnienia wygaśnie wraz z ustawą o pomocy Ukraińcom, której nowelizację zawetował prezydent Karol Nawrocki. Wiele polskich firm zostanie sparaliżowanych, ponad 5 proc. pracujących legalnie w Polsce to Ukraińcy.

JOANNA SOLSKA

Ustawa dotyczy 993 tys. Ukraińców spośród 1,55 mln posiadających zezwolenie na pobyt i pracę, takie liczby podaje Urząd do spraw Cudzoziemców. To nie oni jednak byli przyczyną weta prezydenta, stali się tylko jego uboczną ofiarą. Trudno bowiem przypuszczać, że Karol Nawrocki celowo chciał uderzyć w przedsiębiorców, na których tak zależy Konfederacji, z którą sympatyzuje.

Zmiana w uchwalonej jeszcze przez PiS ustawie o pomocy obywatelom Ukrainy polegała tylko na wydłużeniu okresu legalnego pobytu u nas uchodźców z 30 września 2025 do 4 marca 2026 r. Rada UE wydłużyła ten okres do marca 2027 r., więc według prawa unijnego Ukraińcy nadal mogliby pracować legalnie, ale polskie prawo zezwala im na pobyt tylko do końca września. Prezydentowi bowiem nie podobało się, że nowelizacja nie wprowadza przepisu o wypłacaniu 800 plus tylko tym ukraińskim dzieciom, których rodzice legalnie pracują. Żądał też ograniczenia dostępu Ukraińców do świadczeń zdrowotnych, bo przecież „goście nie mogą być lepiej traktowani niż Polacy". W ten sposób legalnie pracujący u nas Ukraińcy automatycznie tracą z końcem września prawo do legalnej pracy. Tylko że to już nie jest tylko ich, lecz przede wszystkim nasz kłopot, o którym doradcy prezydenta nie pomyśleli.

Kto da nam jeść?

Larum natychmiast podnieśli polscy przedsiębiorcy. Domagają się natychmiastowego uchwalenia stosownej ustawy. Nie tyle w trosce o ukraińskie dzieci, ile o własne firmy, które sobie bez ukraińskich pracowników nie poradzą. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego Ukraińców zatrudnia co trzeci pracodawca.

Oleg, kierowca miejskiego autobusu w Warszawie, nie będzie mógł go prowadzić. Nikt raczej go nie zastąpi, ponieważ kierowców brakuje. Nie tylko w stolicy, ale także w wielu innych polskich miastach autobusy i tramwaje będą kursować rzadziej. Za kasami polskiej sieci sklepów siedzą głównie Ukrainki; klienci nie

© JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM, KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 2a630d192f

też stanowią Ukraińcy, Polacy nie są tą pracą zainteresowani. Na nich opiera się cała nasza branża spożywcza. – *Również logistyczna, bez Ukraińców nie będzie miał kto rozwieźć towaru do sklepów, nie mówiąc o przewiezieniu ich do odbiorców zagranicznych* – dodaje Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności. A żadna duża firma z branży spożywczej nie odważy się nadal zatrudniać tych samych ludzi w nadziei, że problem w ciągu kilku tygodni jakoś się rozwiąże i wtedy podpisze z nimi umowę wsteczną. Trudno też sobie wyobrazić kierowcę transportu miejskiego lub tira jeżdżącego bez ważnego ubezpieczenia. Nie ma więc mowy, żeby ci ludzie mogli od października kontynuować legalnie pracę.

Kto nas wyleczy?

W polskim przemyśle co piąty pracownik to legalnie zatrudniony Ukrainiec. Duże firmy nie zatrudniają na czarno. Około 200 tys. Ukraińców pracuje w polskim rolnictwie, ponad 100 tys. na budowach, tyle samo w gastronomii i hotelach, branży sprzątania. Tam łatwiej przechować pracujących nielegalnie. Czy ktoś jednak jest w stanie wyobrazić sobie, że nielegalnie w szpitalu leczy lekarz? Dramatyczny deficyt medyków w polskiej ochronie zdrowia łatają Ukraińcy, którym po weryfikacji przyznaje się uproszczone prawo wykonywania zawodu. Leczy nas już ponad 2 tys. lekarzy z tego kraju. Za nimi ciągną pielęgniarki zachęcane do pobytu w Polsce przez agencje rekrutacyjne. Coraz częściej zgłaszają się też bezpośrednio do szpitali, których dyrektorzy pomagają im załatwiać formalności.

Dzięki ustawie o pomocy i ochronie czasowej 77 tys. Ukraińców mogło u nas założyć jednoosobową działalność gospodarczą. Wśród nich najwięcej firm stanowiły gabinety kosmetyczne. To głównie kobiety, które teraz będą musiały gabinety zamknąć.

Niemal wszędzie można się natknąć na oferty pracy dla ukraińskich pracowników. U góry: **zbiór truskawek. Bez naszych sąsiadów rolnicy będą mieli kłopoty. Podobnie jak cała branża spożywcza.**

przeniosą się do dyskontów, bo tam Ukraińców jest jeszcze więcej, więc ich brak stanie się bardziej dolegliwy.

Prezes dużego polskiego zakładu przetwórstwa mięsa w Wielkopolsce nie jest w stanie odpowiedzieć swoim ukraińskim pracownikom, co z nimi będzie. A połowę załogi firmy przetwarzającej mięso stanowią właśnie Ukraińcy. Rząd musi przecież jakoś to weto obejść, bo branża spożywcza się załamie. Nie mieści mu się w głowie, że prezydent wkalkulował w swoje weto bałagan i straty firm, które przecież mają umowy, kontrakty. W ubojni, która dostarcza zakładowi surowiec, większość załogi

Jakub Bińkowski, członek zarządu Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, obawia się jednak, że jeśli problem nie zostanie rozwiązany do końca miesiąca, to ceny wzrosną nie tylko w usługach. Jeśli polska gospodarka z dnia na dzień pozbędzie się miliona pracowników, to kimś będzie musiała ich zastąpić. Wzrosną koszty rekrutacji, ponieważ jest o nich coraz trudniej. GUS od dwóch lat alarmuje, że liczba pracujących w gospodarce narodowej Polaków się kurczy, głównie ze względów demograficznych. Tych, którzy przechodzą na emeryturę, nie zastępują młodzi, jest ich mniej. ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ W marcu 2025 r. zatrudnionych było 15 mln Polaków, o ponad 150 tys. mniej niż rok wcześniej. Liczba wszystkich zatrudnionych w gospodarce narodowej wynosi 16,5 mln, różnicę stanowią cudzoziemcy, na razie głównie Ukraińcy. Ale nie tylko. Według ZUS mamy też 11 proc. Białorusinów, 2 proc. Gruzinów i tyle samo obywateli Indii, a nawet 1 proc. Kolumbijczyków. Jeśli są u nas z rodzinami, ich dzieciom także należy się 800 zł.

Kto daje więcej?

Polski Instytut Ekonomiczny twierdzi, że w sumie pracuje u nas już 2,5 mln cudzoziemców. Ten trend będzie się nasilał. Przed dziesięcioma laty legalnie pracowało w Polsce zaledwie 200 tys. obcokrajowców, teraz tylu zatrudnionych jest tylko w Warszawie. Z powodu kulturowej i językowej bliskości najbardziej powinno nam zależeć na Ukraińcach. – *Sąsiedzi ratują naszą gospodarkę, a my wysyłamy im sygnał, że nie są nam potrzebni* – dziwi się Jakub Bińkowski. Jak byśmy mieli przed urzędami kolejkę chętnych do pracy. Zapominamy, że obecnie konkurujemy o zagranicznych pracowników z krajami, które są w stanie zaoferować im o wiele więcej niż Polska.

Wielu Polaków uważa, że pomagamy uchodźcom zbyt hojnie. Jednak z oficjalnych danych wynika, że to bardziej Ukraińcy pomagają nam niż my im. Wydatki na świadczenia i opiekę zdrowotną dla Ukraińców wynoszą 3,3 mld zł. Bank Gospodarstwa Krajowego wyliczył, że w 2024 r. wpływy od nich do naszego budżetu wyniosły 15,1 mld zł. Na każdą złotówkę wypłaconą dla ukraińskiego dziecka w ramach programu 800 plus przypada 5,40 zł podatków i składek na ZUS, które zapłacili Ukraińcy. Autorzy raportu BGK zastrzegali, że dane mogą być zaniżone. Kiedy pod koniec lipca 2025 r. Konkret24 zsumował liczby przysłane od ZUS, MF i NFZ, okazało się, że w 2024 r. legalnie zatrudnieni Ukraińcy wpłacili w formie składek na ubezpieczenia, zdrowie i podatki aż 18,7 mld zł. Bez nich dziury w ZUS i w budżecie państwa byłyby o wiele większe.

Kasę ZUS zasila 825 tys. Ukraińców, w ubiegłym roku suma ich składek wyniosła 12,8 mld zł. Na tle tych danych mocno dziwi oburzenie niektórych, że ZUS wypłaca im też emerytury. Pobiera je u nas 13 tys. osób, co wynosi 0,079 proc. wydatków Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Według międzynarodowej firmy doradczej Deloitte wkład naszych sąsiadów w tworzenie polskiego PKB wynosi 2,7 proc. i będzie rósł. Deloitte nie przewidział jednak weta prezydenta.

Kto tu będzie pracował?

– *Przed laty moi rodacy uciekali z Ukrainy przed biedą, teraz przed wojną* – mówi Yuryi Grygorenko, szef Centrum Analitycznego Gremi Personal, rekrutującej w innych krajach chętnych do pracy w Polsce. Kiedyś większość przyjeżdżała do Polski na kilka miesięcy, żeby podreperować domowe budżety. Z czasem coraz więcej zaczęło swoje życiowe plany wiązać z Polską, przed wybuchem wojny na stałe zamierzało tu zostać 20 proc. Ukraińców. Po 2022 r., gdy zostali tak serdecznie przyjęci, a końca wojny nie widać, o życiu w Polsce na stałe zaczęło myśleć coraz więcej Ukraińców. Z analiz wynika, że aż 70 proc. mieszkających tu obecnie już nie ma zamiaru wracać. A raczej nie miało.

Profil Ukraińca pracującego w Polsce bardzo się zmienił, połowa uchodźców ma wyższe wykształcenie, wśród nich są też ludzie, którzy na Ukrainie byli zamożni, mieli swoje firmy. Wojna zniszczyła ich domy i życie, ale ich dobre samochody kłują Polaków w oczy. A przecież często oni nie mają do czego wracać, z Polską wiążą swoją przyszłość. Nieźle radzi sobie na naszym rynku Nowa Poczta, ukraińska firma funkcjonująca na podobnych zasadach jak nasz InPost. Na imprezach plenerowych coraz więcej tamtejszych food trucków, kuszą restauracje z ich potrawami. Ukraińskie firmy chętnie zatrudniają ukraińskich pracowników. Biznes się kręci.

Tuż po ataku Rosji uchodźcy najpierw kierowali się do największych polskich miast. – *Zaczynali od szukania lokum, a dopiero potem rozglądali się za pracą* – wspomina Monika Ksieniewicz-Mil z agencji rekrutacyjnej Gremi Personal. – *Teraz wiedzą, że pracy jest dużo, ale głównie poza wielkimi centrami. Pod Łodzią powstało duże centrum logistyczne, podobne jest pod Szczecinem, zatrudnią wielu chętnych. Zakłady przetwórcze ulokowane są także w mniejszych miastach, do wielu z nich nawet połowa pracowników trafiła za naszym pośrednictwem.*

W mniejszych ośrodkach nie tylko praca jest pewna, ale też mieszkania tańsze. I coraz trudniej tam o pracowników. Ukraińcy nie konkurują z Polakami, bo oni nie są zainteresowani tym rodzajem pracy. Także z powodu bardzo trudnych warunków, np. w zakładach przetwórstwa ryb.

Pracę tymczasową najczęściej oferują agencje rekrutacyjne. Ukraińcy nie są przywiązani do mieszkań, bo i tak je wynajmują. Są bardziej mobilni, skłonni do zmiany pracodawcy. Lepiej przystosowani do szybko zmieniającego się rynku. Na kursy szkolące bardzo poszukiwanych operatorów wózków widłowych zgłasza się wiele Ukrainek. Także dlatego, że szkolenia są bezpłatne.

Yuryi Grygorenko uważa, że wielu jego rodaków nawet nie rozpatrywało ofert pracy, które po wybuchu wojny otrzymywali z Kanady uchodźcy mieszkający w Polsce. – *Względy kulturowe i serdeczne przyjęcie były ważniejsze, czuliśmy się tu dobrze, teraz nastroje Polaków się zmieniły. Więc nasi, którzy jeszcze niedawno atrakcyjne oferty odłożyli na półkę, zaczynają się pakować. Odsetek Ukraińców, zastanawiających się nad osiedleniem w Polsce stopniał do 15 proc.* – mówi Grygorenko.

I co dalej?

W krajach UE według portalu businessinsider.pl przebywa 4,2 mln Ukraińców, ponad połowa w Niemczech i Polsce. Jeszcze w 2023 r. uchodźcy częściej decydowali się na wyjazd do Niemiec, potem tendencja się odwróciła. U nas czuli się lepiej. Obecnie słyszą od polityków, a także coraz częściej na ulicach, że dość tej pomocy, niech wracają do siebie.

Kolejny projekt ustawy, przygotowany przez rząd, uwzględnia te opinie, także dlatego by nie narażać się na następne weto. Program 800 plus ma dotyczyć tylko tych dzieci, których rodzice pracują, znajdują się w rejestrze ZUS. Zawężony ma zostać dostęp do publicznej ochrony zdrowia.

Projekt ma szansę być uchwalony przez Sejm i Senat jeszcze w tym miesiącu. Prezydentowi zostałoby na ewentualne podpisanie zaledwie kilka dni. A co, jeśli nowe prawo nie wejdzie w życie przed 1 października?

Zamiast szybkiej ścieżki uzyskania prawa pobytu i pracy dla Ukraińców polskim pracodawcom zostanie taka sama procedura starania się o pracowników z Ukrainy jak z Nepalu czy Kolumbii, która trwa od sześciu miesięcy do roku. Na razie jeszcze taki rozwój wypadków nie mieści się nikomu w głowie. To by była apokalipsa.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 2a630d192f

© YING TANG/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Chińczycy nadjeżdżają

Chiny nie porzuciły planów podboju europejskiego rynku motoryzacyjnego mimo nałożenia na ich e-auta wysokich ceł. Bruksela ma więc dylemat jak z prezydentem Trumpem: ryzykować otwarty konflikt czy negocjować znośne warunki kapitulacji?

ADAM GRZESZAK

Polacy przesiadają się do aut, których marek rok temu jeszcze nie znali: BYD, BAIC, Hongqi, Omoda & Jaecoo, Dongfeng, MG, Voyah. Znali za to chińskie marki telefonów komórkowych i komputerów jak Xiaomi czy Huawei, więc wkrótce poznają też samochody tych marek, bo w Chinach wszyscy biorą się do produkcji aut, niezależnie tego, co jest ich zasadniczym zajęciem. Potem trzeba je tylko wyeksportować, najlepiej do Europy, bo to bogaty rynek. Taki cel stawia przed gospodarką Komunistyczna Partia Chin w programie „Made in China 2025". Wspiera firmy, udzielając tanich kredytów, subwencji, licencji itd. Procentują też lata nauki i podpatrywania zachodnich koncernów motoryzacyjnych, które chętnie budowały za wielkim murem swoje fabryki. Zawsze jednak musiały wziąć na naukę chińskiego wspólnika. Dziś uczeń przegania mistrza.

Nic więc dziwnego, że Chińczycy idą jak burza. Jeśli w 2023 r. sprzedali w Polsce zaledwie 370 nowych samochodów (0,03 proc. rynku), to rok później mieli już na koncie sprzedaż ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ 11,3 tys. Po pierwszym półroczu tego roku doszli do 16,6 tys. aut, co daje im 8,4 proc. rynkowego udziału. Według prognoz do końca roku mogą przebić barierę 30 tys. sztuk, bo do Polski wybierają się kolejni producenci, zapowiadane są też premiery nowych modeli.

Podobna sytuacja jest w całej Europie, która w tym roku kupiła łącznie już ponad 600 tys. chińskich aut, co daje Chińczykom ponad 5 proc. udziału w unijnym rynku motoryzacyjnym. Japończycy na taki sukces pracowali przez dekady (dziś mają 13 proc.), podobnie jak Koreańczycy (dziś 7,5 proc.). Chińskiego tempa nie zahamowało nałożenie latem ub.r. tymczasowych (na pięć lat) ceł wyrównawczych na producentów aut bateryjnych (BEV). Powodem decyzji było udowodnione subsydiowanie produkcji e-aut przez chiński rząd i instytucje publiczne, co uznano za formę nieuczciwej konkurencji.

W trakcie unijnego dochodzenia niektóre firmy ujawniły skalę otrzymanych subsydiów, inne szły w zaparte, w efekcie karne cła wyrównawcze zostały zróżnicowane i wahają się od 17,4 do 37,6 proc. w zależności od producenta. Chiny w odwecie wystąpiły ze skargą do WTO i nałożyły karne cła na unijną wieprzowinę, produkty mleczarskie oraz francuską brandy. Zagroziły też zamrożeniem swoich inwestycji w UE. Konflikt trwa, ale na chińską motoryzacyjną ekspansję szczególnego wpływu to nie miało.

– *Często słyszę lekceważące komentarze: „O co tyle krzyku, to przecież tylko tanie auta bateryjne". To mit. Oni oferują wszystkie typy pojazdów – osobowe, dostawcze, autobusy, z dowolnym rodzajem napędu. Oczywiście są modele elektryczne, ale większość to wersje spalinowe oraz hybrydy spalinowo-elektryczne, bo na nie jest popyt. Od najtańszych aż po segment premium, gdzie skutecznie rywalizują z BMW i Mercedesem. Chińscy producenci mają ponad 8 proc. udziału w całym rynku aut osobowych, ale jedynie co dziesiąte to elektryk. Dlatego unijne cła wyrównawcze nie mają dla nich specjalnego znaczenia, bo dotyczą niewielkiej części eksportu, i nawet na e-autach wciąż zarabiają, choć nieco mniej niż planowali* – wyjaśnia Marek Konieczny, partner zarządzający w firmie DCG Dealer Consulting, były prezes Związku Dealerów Samochodów.

Cena czyni cuda

Chińskie auta kuszą nowoczesnym designem, niezłymi osiągami i wyposażeniem. Ale przede wszystkim ceną. – *Są znacząco tańsze od europejskich, japońskich czy koreańskich odpowiedników, a to dla polskiego klienta liczącego się z kasą argument nie do pogardzenia* – wyjaśnia Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego. – *Polacy nie należą do przesadnie lojalnych i przywiązanych do określonych marek. Chętnie dokonują zmian, korzystając z rynkowych okazji, a chińskie auta dziś wiele obiecują. Z czasem przekonamy się, jak wygląda ich niezawodność, jaka będzie obsługa serwisowa i dostęp do części zamiennych. A na koniec: jaka będzie wartość rezydualna, czyli ile auto zachowa ze swej pierwotnej wartości, gdy będziemy je odsprzedawać po kilku latach eksploatacji.*

Na razie chińskie auta szybciej zdobywają serca nabywców indywidualnych niż firmowych. W rynku prywatnym mają już 15 proc. udziału, za to profesjonaliści są wciąż nieufni. Zwykle mają umowy flotowe ze znanymi markami i kupują auta z upustem. Wolą na razie nie dodawać do swojego parku chińskich marek, o których niewiele wiedzą i które dopiero tworzą w Polsce swój ekosystem. – *Nie mogę sobie pozwolić na sytuację, w której serwis mi powie, że musi sprowadzić część zamienną z Chin, a to potrwa kilka tygodni* – wyjaśnia menedżer floty w jednej z dużych warszawskich firm. – *Chińskie marki stają się częścią rynku, a rynek sam znajdzie sposób, by zapewnić im zaplecze. Części będą, a dostępność będzie rosnąć razem z liczbą aut* – uspokaja Tomasz Bęben, prezes zarządu Stowarzyszenia Dystrybutorów i Producentów Części Motoryzacyjnych.

Na trzech frontach

Chińczycy, zdobywając polski rynek, idą podobną drogą jak ich zachodni konkurenci w latach 90. Część stworzyła już w Polsce własne spółki importerskie (np. SAIC Motor Poland, Omoda Auto Poland, BYD Polska), inni związali się z dużymi krajowymi przedsiębiorcami, którzy zostali ich polskimi importerami i tworzą sieci sprzedaży. Grupa PTH jest importerem marek BAIC, Hongqi, Bestune, Forthing. Grupa Bemo importuje auta JAC, Auto Fus Group zaś auta Dongfeng Motor. Trzecia formuła to duży, niezależny, zagraniczny importer działający na wielu rynkach, w tym w Polsce. Tu przykładem jest saudyjska firma Jameel Motors, która powołała polską spółkę importerską i handluje autami koncernów Geely oraz GAC. – *Mamy już na rynku 25 marek chińskich, działa 200 salonów sprzedaży, a do końca roku spodziewamy się, że będzie ich 300. Takiego tempa polski rynek samochodowy jeszcze nie widział. To prawdziwy blitzkrieg* – komentuje Marek Konieczny.

Nie wszystkie firmy chętnie przyznają się do chińskiego pochodzenia, tak jak MG, która uparcie twierdzi, że jest starą marką brytyjską wywodzącą się z Morris Garages. W rzeczywistości 20 lat temu prawa do niej kupił państwowy gigant SAIC Motor (Shanghai Automotive Industry Corporation), auta MG zaś powstają dziś głównie w Chinach, a nie na Wyspach Brytyjskich. Gdyby tam je produkowano, nie mogłyby konkurować ceną, bo Europa jest dla Chińczyków za droga. Dlatego firmy chińskie stosują jeszcze jeden trik, by uchodzić za europejskie. We Włoszech działa firma DR Automobiles, która w ramach uproszczonego montażu skręca auta BAIC, Chery, Dongfeng i JAC z elementów dostarczonych z Chin i sprzedaje je pod włoskimi markami DR, EVO, Sportequipe, ICH-X i Tiger. Za podszywanie się pod europejski produkt włoskie władze nałożyły na firmę karę 6,4 mln euro.

Zróbcie nam e-auta

Chińskie firmy coraz częściej deklarują jednak, że chciałyby produkować swoje auta w Europie, także w Polsce. W rozmowie z portalem Samar nie wykluczył tego Eric Zheng, dyrektor zarządzający Chery Polska, spółki należącej do wielkiego państwowego koncernu z Wuhu. Z Chińczykami wiązane są też nieustające nadzieje dotyczące projektu kiedyś znanego jako Izera, a dziś jako hub elektromobilności. Oba równie mgławicowe, ale pracowicie realizowane przez państwową spółkę ElectroMobility Poland (EMP) przepalającą od lat miliony złotych.

Do przepalenia może być dużo więcej, bo EMP liczy na 4,5 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Za te pieniądze mamy dostać „projekt przemysłowy o dużej skali, mający potencjał, by przywrócić i wzmocnić rolę polskiej motoryzacji w gospodarce" – jak zapewnia obecny prezes EMP Tomasz Kędzierski. Oczywiście potrzebni są do tego Chińczycy, którzy będą produkować auta elektryczne w fabryce, którą im polskie państwo wybuduje i wejdzie z nimi do spółki. Za czasów PiS mówiono, że będzie to chińska firma Chery, dziś słychać, że to nieaktualne, ale są inni kandydaci. Kto? Tajemnica. Rząd Donalda Tuska tkwi w potrzasku zastawionym przez poprzedników podobnym

eprasa.pl 2a630d192f

Z Chińczykami wiązane są nadzieje dotyczące „polskiego" elektryka Izera. Rząd tkwi w pułapce zastawionej przez poprzedników podobnej do tej z megalotniskiem CPK w Baranowie.

do tego, w jaki wpadł na megalotnisku CPK w Baranowie. Rezygnacja oznaczałaby porażkę wizerunkową, więc trzeba z tym potencjalnym chińskim elektrykiem dotrwać do wyborów.

Świat się zmienia

Europejskie koncerny motoryzacyjne z przerażeniem obserwują trwającą inwazję i choć zdają sobie sprawę, że chińscy konkurenci jadą na sterydach, jakie funduje im państwo, boją się głośno zaprotestować. Wszyscy mają w Chinach jakieś interesy, coś jeszcze eksportują, mają fabryki, które tam wybudowali, dostawców części i surowców, bez których nie są w stanie produkować aut elektrycznych, których domaga się od nich Komisja Europejska. Jeśli się oficjalnie poskarżą, że Chińczycy prowadzą politykę dumpingową, że subsydiują nie tylko produkcję e-aut, ale wszystkich pojazdów, Pekin im tego nie daruje. Dlatego nawet ta nieśmiała próba z wprowadzeniem ceł wyrównawczych na e-auta została przeprowadzona – co się nieustannie powtarza – wyłącznie z inicjatywy Komisji Europejskiej.

Bruksela przyjęła wobec europejskiego przemysłu motoryzacyjnego strategię odwrotną niż Pekin. Nie wspiera go, lecz testuje granicę wytrzymałości – nakłada kolejne obowiązki, coraz ostrzejsze normy, za których niespełnienie wyznacza coraz surowsze kary. Cel: od 2035 r. muszą być produkowane wyłącznie auta elektryczne, bo tego wymaga polityka Zielonego Ładu. – *To czysta fantazja, nierealny pomysł, chyba nikt nie ma co do tego wątpliwości* – uważa Marek Konieczny.

Europejskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów (ACEA) dotychczas wszystko cierpliwie znosiło, ale pod koniec sierpnia nie wytrzymało. „UE obecnie reguluje kwestie dostaw nowych pojazdów przez producentów, ale nie zapewnia warunków umożliwiających transformację" – poskarżył się w liście do przewodniczącej UE Ursuli von der Leyen prezydent ACEA Ola Källenius, prezes Mercedes-Benz Group. „Europa stoi w obliczu niemal całkowitej zależności od Azji w dziedzinie akumulatorów, nierównomiernego rozmieszczenia infrastruktury ładowania, wyższych kosztów produkcji – w tym cen energii elektrycznej – oraz obciążających taryf od kluczowych partnerów handlowych, takich jak 15-procentowe cło na eksport pojazdów z UE do USA. Jesteśmy proszeni o transformację z rękami związanymi za plecami" – ubolewa Källenius.

Dalej jest długa lista żalów branży z sugestią, by Bruksela się opamiętała i dostrzegła, że „świat zmienił się drastycznie od czasu wyznaczenia obecnego kierunku – więc strategia UE dla sektora motoryzacyjnego musi się zmienić wraz z nim". Przemysł motoryzacyjny jest fundamentem gospodarczym Europy. Zapewnia 7 proc. unijnego PKB, generuje 13,8 mln miejsc pracy, z czego 2,6 mln bezpośrednio przy produkcji pojazdów. Ryzyko jest więc duże, bo żądanie błyskawicznego porzucenia napędu spalinowego na rzecz elektrycznego oznacza oddanie europejskiego rynku w chińskie ręce.

Dział prognoz strategicznych Parlamentu Europejskiego alarmuje: „Chiny mają dziś 54-procentowy udział w światowej produkcji pojazdów elektrycznych i jeszcze większy w produkcji akumulatorów samochodowych. W 2024 r. chiński BYD stał się największym producentem pojazdów elektrycznych, wyprzedzając Teslę. Chiński eksport tych pojazdów rósł w ostatnich latach w błyskawicznym tempie: z 4 proc. w 2020 r. do 21 proc. w 2022 r. Udział chińskich marek w całkowitej sprzedaży samochodów w UE wzrósł z 0,4 proc. w 2019 r. do 8 proc. w 2023 r. i może wzrosnąć do 15 proc. do 2025 r.".

Łatwiej wymyślić, trudniej zrobić

UE i Chiny są głównymi partnerami handlowymi. W 2024 r. wartość wzajemnych obrotów handlowych wyniosła 730 mld euro, ale unijny deficyt sięgnął 350 mld euro. Nadzieje wiązano więc ze szczytem Chiny-UE, który pod koniec lipca odbył się w Pekinie. Ursula von der Leyen i António Costa pojechali z długą listą spraw do załatwienia, od politycznych (m.in. wojna w Ukrainie, Tajwan, stosunki z USA), poprzez gospodarcze (chińskie cła i kontrola eksportu surowców, ograniczanie dostępu do rynku itd.), aż po klimatyczne (Chiny są głównym emitentem CO_2). Prezydent Xi Jinping i premier Li Qiang pozostali niewzruszeni, wiedząc, że przy tym stole mają mocniejsze karty. W komunikacie po szczycie mogliśmy przeczytać, że „UE jest nadal gotowa do kontynuowania konstruktywnego dialogu w celu znalezienia rozwiązań w drodze negocjacji. Dopóki tak się nie stanie, UE podejmie proporcjonalne i zgodne z prawem działania w celu ochrony swoich uzasadnionych interesów".

Analitycy przedstawiają scenariusze, co musi zrobić UE, by nie rezygnując z ratowania klimatu, uratować europejski przemysł motoryzacyjny. Przewodnicząca von der Leyen na początku swojej drugiej kadencji zobowiązała się przecież do wprowadzenia „Czystego Porozumienia Przemysłowego", aby pomóc Europie w dekarbonizacji, industrializacji „od czystej stali po czyste technologie". W 2017 r. narodził się Europejski Sojusz Bateryjny, obiecywano budowę 30 gigafabryk produkujących baterie, ale efekty tego planu są na razie mizerne. Bankructwo firmy Northvolt, największego w UE producenta akumulatorów, pokazało inwestorom, że to ryzykowny biznes.

„Kiedyś europejski przemysł samochodowy był obiektem zazdrości całego świata. Stuttgart, Wolfsburg i Paryż wyznaczały tempo innowacji w motoryzacji. Teraz, gdy chińscy producenci wprowadzają tanie akumulatory LFP (litowo-żelazowo-fosforanowe – przyp. red.) i pojazdy autonomiczne, europejscy giganci stoją w obliczu wyzwań" – komentuje EUobserver i wylicza rozmaite projekty rodzące się w brukselskich gabinetach. Stwierdza jednak pesymistycznie: tragedią nie jest brak pomysłów, ale brak konsekwencji.

ADAM GRZESZAK

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 2a630d192f

Zadzwońcie po milicję

MARIUSZ ZAWADZKI

Prezydent USA „zaprowadza porządek" w kilku amerykańskich miastach przy użyciu Gwardii Narodowej. Czym miała być, czym jest i w co się może zmienić ta formacja?

Gdyby Ryszard Ochódzki, bohater komedii „Rozmowy kontrolowane", wysiadł z pociągu na Union Station w Waszyngtonie, nie zobaczyłby tam niczego zaskakującego. Na ulicach wozy bojowe, a żołnierze z karabinami patrolują okolice dworca. Czyli wszystko w normie, bo akcja komedii rozgrywa się przecież w grudniu 1981 r., kiedy gen. Jaruzelski wprowadził w Polsce stan wojenny. Dla odmiany mieszkańcy Waszyngtonu mają prawo być zdziwieni. Niektórym może się wydawać, że trafili na plan surrealistycznego filmu. Dopiero po chwili dociera do nich, że to druga kadencja Donalda Trumpa.

Pierwsi żołnierze pojawili się na ulicach 14 sierpnia, tydzień po konferencji prasowej, na której prezydent przedstawił reporterom apokaliptyczną wizję miasta: „Liczba morderstw w Waszyngtonie jest wyższa niż w Bogocie, Meksyku i innych najgorszych miejscach na świecie. (...). Stolica naszego kraju została opanowana przez brutalne gangi, krwiożerczych kryminalistów, bandy szalonych, rozwydrzonych wyrostków, znarkotyzowanych maniaków i tłumy bezdomnych. Wezwałem Gwardię Narodową, żeby przywróciła porządek, rządy prawa i bezpieczeństwo na ulicach".

Zemsta za wybory

Skąd taka decyzja? Bezpośrednim impulsem była nocna bijatyka, której ofiarą okazał się 19-letni Edward Coristine. Chłopak ten, lepiej znany jako „Big Balls", na początku roku został jednym z najważniejszych pomocników Elona Muska w osławionym DOGE, czyli Departamencie ds. Efektywności Rządu. Jego zawrotna kariera wywoływała oburzenie lub kpiny. 3 sierpnia Trump umieścił w mediach społecznościowych zdjęcie poturbowanego Coristine'a i zagroził, że jeśli władze miasta dalej będą tolerować rozbój na ulicach, to „rząd federalny przejmie bezpośrednią kontrolę nad Waszyngtonem".

Władze miasta ripostowały, że przestępczość w ostatnich latach systematycznie spada. I to prawda. Ale też prawdą jest, że mimo poprawy Waszyngton pozostaje jednym

eprasa.pl 2a630d192f

© ANDREW LEYDEN/GETTY IMAGES

z najniebezpieczniejszych miast Ameryki. W 2024 r. zabito w stolicy 186 osób, czyli statystycznie 27 na 100 tys. mieszkańców. W Nowym Jorku częstotliwość zabójstw jest sześć razy mniejsza, a w Polsce – 20 razy mniejsza.

A zatem Trump – mimo że jak zwykle przesadza – ma trochę racji. Szkopuł w tym, że gdyby naprawdę chciał walczyć z przestępcami, to żołnierze zostaliby rozmieszczeni w biednych dzielnicach, gdzie zabójstw i rozbojów jest najwięcej. Jednak tam Gwardii Narodowej nie ma. Jest tylko w centrum miasta, między Białym Domem, memoriałem Lincolna i Kapitolem (obok znajduje się Union Station). W tych miejscach turyści i waszyngtońscy biurokraci zupełnie wyparli przestępców.

Może zatem chodzi nie o waszyngtońskich biurokratów? Prezydent i jego ludzie czują, że w stolicy są powszechnie nielubiani. W listopadowych wyborach Trump dostał tu zaledwie 6 proc. głosów, najmniej w całym kraju. Na tamten afront nakładają się kolejne. Dziennikarze, zamiast wychwalać prezydenta, zadają mu nieprzyjemne pytania. A gdy ktoś z Białego Domu wyskakuje na miasto, żeby np. zjeść obiad w restauracji, często towarzyszą mu gwizdy i szyderstwa.

Żołnierze na ulicach to małostkowa zemsta Trumpa za to, że liberalny Waszyngton nie poznał się na jego wielkości. Przy czym taka hipoteza jest najbardziej optymistyczna. Pesymiści twierdzą, że nie chodzi tylko o osobiste porachunki. Obawiają się, że Trump ma coraz większe zapędy autorytarne i bezprawnie wykorzystuje Gwardię Narodową, bardzo zasłużoną dla amerykańskiej demokracji, żeby tę demokrację zdławić. Bo przecież nie zaczęło się od Waszyngtonu.

Już dwa miesiące temu prezydent wysłał gwardzistów do Los Angeles, żeby stłumili protesty przeciw ulicznym łapankom nielegalnych imigrantów. Zdecydował się na ten drastyczny krok mimo sprzeciwu gubernatora Kalifronii Gavina Newsoma. Teraz, kiedy gwardziści zostali rozlokowani również w Waszyngtonie, publicznie zapowiada, że wkrótce przyjdzie pora na kolejne miasta: „Chicago to kompletny chaos, ale wyprostujemy sytuację i tam. A potem pomożemy Nowemu Jorkowi". Wszystkie te miasta łączy jedno – głosowały przeciwko Trumpowi.

Bij rebelianta

Pierwszymi ofiarami „politycznych" interwencji Gwardii są sami gwardziści. Jeszcze pół roku temu, kiedy ratowali ludzi z wielkich pożarów, które wybuchły pod Los Angeles, byli bohaterami narodowymi. Ich poświęcenie i profesjonalizm wychwalano we wszystkich telewizjach. Publicznie dziękowali im celebryci, których wille i pałacyki w Malibu i okolicach zostały uratowane. W nagrodę wszyscy dostali od władz stanu Kalifornia rodzinne bilety do Disneylandu. Gwardia Narodowa kojarzy się Amerykanom właśnie z takimi operacjami ratunkowymi. W 2005 r., kiedy huragan Katrina pustoszył Nowy Orlean i inne miasta wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, wysłano na pomoc aż 70 tys. gwardzistów.

Teraz ten pozytywny wizerunek się chwieje. Kiedy kalifornijska Gwardia Narodowa na rozkaz Trumpa musiała pomagać ICE, czyli agencji wyłapującej nielegalnych imigrantów, wielu mieszkańców Los Angeles, szczególnie Latynosów, pogniewało się na niedawnych bohaterów. W Waszyngtonie gwardziści stali się nawet obiektem kpin. Kiedy patrolują ulice, przechodnie wyciągają przenośne głośniki i puszczają na cały regulator „marsz szturmowców" z „Gwiezdnych wojen" (*stormtroopers* to szeregowi, niezbyt rozgarnięci żołnierze Imperium w białych zbrojach i hełmach).

Niestety nie wszystkim jest do śmiechu. Podczas jednej ze wspólnych akcji ICE i Gwardii zginął uciekający mężczyzna, który wspiął się na wysokie rusztowanie i spadł. Formalnie rzecz biorąc, Gwardia go nie ścigała, tylko „ubezpieczała agentów ICE ścigających nielegalnych imigrantów". Ale to kazuistyka. Wielu gwardzistów stanęło przed dylematem: zacisnąć zęby i robić, co każą, albo odmówić wykonania rozkazu. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że było kilka odmów, np. przed wspólnym nalotem ICE i Gwardii na legalną plantację marihuany w hrabstwie Ventura, gdzie szukano nielegałów. Ci, którzy oświadczyli dowódcom, że sumienie nie pozwala im wziąć udziału w obławie, zostali odesłani do pracy biurowej.

„Moralne rany po tym wszystkim będą ciężkie do zaleczenia. Nie po to wstępowaliśmy do Gwardii, żeby ścigać ludzi, tylko żeby ich ratować i bronić" – mówił dziennikarzom „New York Timesa" jeden ze zbuntowanych gwardzistów, zastrzegając sobie anonimowość. Podobny argument podnoszą władze Kalifornii, ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ które zaskarżyły w sądzie rozkaz wydany Gwardii przez Trumpa. Zgodnie z ustawą z 1878 r. rząd federalny nie może używać żołnierzy do egzekwowania prawa. Od tego są władze stanowe (i w niektórych przypadkach FBI). Jednak Biały Dom powołuje się na ustawę z 1807 r. – prezydent może skierować żołnierzy do walki z „rebeliantami", którzy wystąpili przeciwko rządowi federalnemu.

I właśnie jako „rebeliantów" prawnicy Trumpa klasyfikują demonstrantów, którzy w Los Angeles protestowali przeciw nalotom ICE. Rozprawa trwa, ale sąd apelacyjny dla Kalifornii, w którym większość sędziów nominował Trump, tymczasowo utrzymał prezydenckie rozporządzenie w mocy – aż do wyroku.

W pałacu Saddama

Obecnie w Gwardii Narodowej służy 325 tys. Amerykanów. Od zawodowych żołnierzy różnią się tym, że są wzywani na służbę jedynie okazjonalnie. Nie mieszkają w bazach, lecz we własnych domach, z rodzinami, i na co dzień prowadzą życie zwykłych cywilów. Ale raz na miesiąc udają się do bazy na weekendowe szkolenie. A raz na rok – na dwutygodniowe. Pracodawcy muszą im wtedy dać wolne.

Za wszystkie szkolenia gwardziści dostają wynagrodzenie, zależne od szarży. Początkujący szeregowiec może liczyć na ok. 5 tys. dol. rocznie (za wszystkie szkolenia łącznie). Kiedy gwardziści są powoływani do czynnej służby (np. do pomocy przy klęsce żywiołowej, ratowania Waszyngtonu czy na wojnę), płaci się im tak jak żołnierzom służby zawodowej. Po trzech latach szkolenia nie są już obowiązkowe, ale przez następne pięć lat gwardzista musi być dyspozycyjny. W sumie to osiem lat z obowiązkiem służby, jeśli gubernator stanu albo prezydent USA wydadzą rozkaz.

Niezwykle rzadko się zdarza, żeby prezydent wydawał rozkazy wbrew gubernatorowi, jak teraz w Kalifornii. Poprzednim razem zdarzyło się to w 1965 r. Prezydent Lyndon Johnson wysłał Gwardię Narodową do Alabamy, żeby zabezpieczała czarnych demonstrantów, którzy maszerowali z Selmy do Montgomery z żądaniem równych praw. Ówczesny gubernator Alabamy George Wallace był zwolennikiem segregacji rasowej, więc istniały obawy, że marsz zamieni się w bitwę ze stanową policją.

Do najsłynniejszej politycznej awantury z udziałem Gwardii Narodowej doszło w 1957 r. Było to wkrótce po wyroku Sądu Najwyższego, który zakazał segregacji rasowej w szkołach. Kiedy dziewiątka czarnych dzieci zapisała się do szkoły „dla białych" w miasteczku Little Rock, Orval Faubus, gubernator stanu Arkansas, wysłał oddział Gwardii Narodowej, żeby zablokował im dostęp do szkoły. Wtedy prezydent Dwight Eisenhower ogłosił, że przejmuje dowodzenie nad Gwardią Narodową w Arkansas i rozkazuje jej wpuścić dzieci do szkoły, a jednocześnie wysłał tam komandosów armii zawodowej, żeby dopilnowali wypełnienia rozkazu.

Gwardziści lubią się przechwalać, że są starsi niż Stany Zjednoczone. Jako symboliczną datę urodzin formacji podają grudzień 1636 r. Wówczas to osadnicy w Massachusetts utworzyli ochotniczą milicję – pierwszą w Ameryce Północnej. Swoją wartość bojową milicja zademonstrowała w wojnie o niepodległość (1776–83), kiedy 13 stanów Ameryki Północnej zbuntowało się przeciw brytyjskiemu królowi.

Po tamtej kampanii wpisano milicjantów do konstytucji nowego państwa. Słynna druga poprawka do dziś gwarantuje wszystkim Amerykanom prawo do zakupu dowolnej liczby pistoletów i karabinów: „Dobrze zorganizowana milicja jest niezbędna dla bezpieczeństwa wolnego państwa, a prawo ludzi do posiadania i noszenia broni nie może być naruszane". W 1824 r. milicja stanu Nowy Jork, wzorując się na Francuzach, jako pierwsza przyjęła nazwę Gwardii Narodowej. Do końca XIX w. zaakceptowały ją wszystkie stany.

Podczas drugiej wojny światowej wszyscy członkowie Gwardii Narodowej (ponad 300 tys.) zostali zmobilizowani i wysłani na oba fronty: na Pacyfik i do Europy. Dla odmiany w Wietnamie gwardziści walczyli niewiele (wysłano ich tylko 9 tys., a zginęło 156), bo prezydenci Lyndon Johnson i Richard Nixon obawiali się, że powołanie „ochotników" wywoła protesty. Postanowili użyć w walce żołnierzy zawodowych i młodych poborowych.

Po atakach terrorystycznych Al-Kaidy z 11 września 2001 r. sytuacja była inna. Panowało powszechne przekonanie, że Ameryka się broni. Powołanie „ochotników" było naturalne i moralnie akceptowane. Dlatego gwardzistów masowo wysyłano do Iraku i Afganistanu. W 2005 r. w Iraku służyło więcej żołnierzy Gwardii Narodowej niż zawodowców. Stacjonowali np. w Tikricie, w pałacu obalonego przez Amerykanów Saddama Husajna.

Byłem tam jako dziennikarz; spotkałem nauczycielkę z podstawówki, która podpisała kontrakt na służbę w Gwardii Narodowej w 1999 r. Miała problemy finansowe i chciała sobie dorobić, a przy okazji zrobić coś pożytecznego. Aż w 2004 r. prezydent George W. Bush posłał ją na wojnę, która już wtedy większości Amerykanów wydawała się bezsensowna. Nauczycielka była w szoku, ale nic nie mogła zrobić, bo zaciągnęła się na osiem lat. Pstryknęła sobie fotkę na złotym tronie Saddama – taką samą miał każdy gwardzista w jej plutonie – i miała nadzieję wrócić żywa, żeby pokazać ją dzieciom.

Pilnujcie Waszyngtonu

Trump chyba nie zamierza wysyłać gwardzistów na żadne zagraniczne wojny, ale coraz śmielej wykorzystuje ich w politycznej wojnie domowej. Miesiąc temu zdecydował, że Gwardia Narodowa zastanie rozmieszczona w tymczasowych aresztach ICE. W kolejnym rozporządzeniu nakazał jej stworzenie i przeszkolenie „specjalnych jednostek szybkiego reagowania do tłumienia niepokojów społecznych i pilnowania porządku publicznego". „Ratowanie stolicy" też nabiera rozpędu – na początku gwardziści nie nosili karabinów, teraz już tak.

Takie decyzje – i wiele innych – tylko pogłębiają przepaść między mieszkańcami Białego Domu a miastem wokół. Tydzień temu trzej zausznicy Trumpa – wiceprezydent J.D. Vance, sekretarz obrony Pete Hegseth i doradca Stephen Miller – wybrali się na spacer do Union Station (oczywiście otoczeni przez ochroniarzy). Przechodnie gwizdali i drwili z nich niemiłosiernie. Miller, który uchodzi za najbardziej przewrotną i cyniczną postać w otoczeniu Trumpa (co zresztą go wyraźnie bawi), mówił do kamery: „Bardzo się cieszę, że są tutaj ci głośni skretyniali komuniści i podstarzali hipisi. Ja, Pete i wiceprezydent, zainspirowani ich widokiem, postaramy się ściągnąć do stolicy jeszcze więcej żołnierzy".

Już udało im się ściągnąć ponad tysiąc gwardzistów z Luizjany, Missisipi, Karoliny Południowej i Tennessee. Tak powtarza się sytuacja z pierwszych lat po wojnie secesyjnej, tyle że na wspak. W 1865 r. to Waszyngton wysłał żołnierzy na pokonane Południe, żeby pilnowali nowego porządku, już bez czarnych niewolników. Teraz czas na rewanż: Południe wysyła swoich żołnierzy, żeby pilnowali Waszyngtonu.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 2a630d192f

© ALEXANDER AKSAKOV/GETTY IMAGES

Nowa syberiada

JACEK POPRZECZKO

Tobolsk nową stolicą Rosji – to zwieńczenie śmiałych pomysłów, zawartych w idei „syberyzacji", propagowanej przez ważnego doradcę Władimira Putina.

Jak można mówić o syberyzacji, nazywanej też „zwrotem na Wschód", gdy Rosja zaangażowana jest w wojnę w Ukrainie, czyli w ekspansję na Zachód? Da się to zgrabnie połączyć, a nawet jedno drugim uzasadnić, gdy tylko sprawą się zajmą odpowiednio zdolni naukowcy.

Siergiej Aleksandrowicz Karaganow, rocznik 1952, politolog i ekonomista, jest dziekanem w moskiewskiej Wyższej Szkole Ekonomiki i przewodniczącym think tanku Rada Polityki Zagranicznej i Obronnej. Przez pewien czas był ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ prezesem słynnego Klubu Wałdajskiego. Doradzał też prezydentowi Borysowi Jelcynowi, a teraz wspiera radami Władimira Putina.

Karaganow zdecydowanie poparł atak na Ukrainę, za co wpisano go na listę sankcyjną państw UE. W polskiej pamięci zapisał się głównie ogłoszonym na łamach tygodnika „Profil" w 2023 r. wezwaniem do prewencyjnego uderzenia atomowego w kraje Europy Środkowo-Wschodniej. W jego przekonaniu byłoby to symboliczne ostrzeżenie, które zapobiegłoby globalnemu konfliktowi.

Zwrot na Wschód

Siergiej Aleksandrowicz często się wypowiada i dużo pisze. Ostatnio zwłaszcza na temat syberyzacji. To koncepcja, wedle jego słów, przeniesienia „środka ciężkości" Rosji, jej gospodarczego, kulturalnego i duchowego centrum właśnie na Syberię. Po co i dlaczego? Syberyzacja czegokolwiek – to nie brzmi zachęcająco. Ale profesor Karaganow przytacza argumenty ciężkiej wagi – polityczne, historyczne, ekonomiczne i filozoficzne.

Wiosną tego roku w Tobolsku, kiedyś nieformalnej stolicy Syberii, odbyła się wielka konferencja z udziałem przedstawicieli władzy, nauki i biznesu, na której idea syberyzacji została wszechstronnie omówiona. Powołano Klub Tobolski, który ma gromadzić przedsiębiorców, naukowców, artystów i oficjeli rządowych w celu wypracowania praktycznych rozwiązań dla rozwoju Syberii.

Sama jednak syberyzacja to nie jakiś program rozwoju regionalnego – to plan przeobrażenia całej Rosji. Idea Zwrotu na Wschód – przypomina Karaganow w podsumowaniu dorobku konferencji – pojawiła się w późnych latach 90. XX w. w ślad za globalizacją i rosnącym wpływem Azji. Rosyjski Daleki Wschód zyskał wówczas większy dostęp do rynków azjatyckich. Ale nie został zintegrowany z pozostałą częścią Syberii, która nadal cierpiała z powodu oddalenia od rynków międzynarodowych. Dziś, kiedy Europa zamknęła się przed Rosją, pora na nowy zwrot.

W artykule „Zwrot na Wschód 2.0." opublikowanym w lipcu w redagowanym przez siebie piśmie „Rosja w polityce globalnej" Karaganow kreśli obraz świata, w którym ten zwrot ma, a nawet musi nastąpić: „Poprzednio dominujący model rozwoju – globalistyczny imperialno-liberalny kapitalizm – niemal się już wyczerpał. Ten model, oparty na nieskończonym wzroście konsumpcji, prowadzi do degeneracji człowieka oraz ludzkości i zaczyna zagrażać planecie, od której ludzka egzystencja zależy".

Zdaniem Karaganowa, kończy się również 500-letni okres globalnej dominacji Zachodu, opartej na przewadze militarnej, która została podminowana przez Związek Radziecki, a potem Rosję. „Podważając militarne podstawy zachodniej dominacji, Rosja wyzwoliła świat. Cywilizacje zduszone przez wieki – chińska, indyjska, arabska, perska i turecka – znów zaczynają wzrastać. Centrum światowej polityki, rozwoju duchowego i ekonomicznego, przesuwa się gwałtownie na Południe i Wschód".

A jak powinna zmienić się sama Rosja? „Nasz kraj jest dobrze dopasowany do tego nowego świata – podkreśla profesor. – Ale żeby wykorzystać wyłaniające się możliwości i zapobiec nowym zagrożeniom, Rosja potrzebuje nowego zwrotu na Wschód – nie po prostu ku Azji, lecz ku sobie, ku swoim korzeniom jako wielkiego euroazjatyckiego imperium". A to właśnie wymaga „syberyzacji" Rosji.

Duch Czyngis-chana

„Syberyzacja – pisze profesor w innym tekście – jest nie tylko niezwykle korzystna, lecz także nieunikniona, ponieważ zachodni, europejski wektor został zablokowany na przewidywalną przyszłość przez zachodnią politykę, która sprowokowała wojnę na Ukrainie". Ta wojna – zdaniem Karaganowa – to ostatni bój Zachodu, chcącego pokonać Rosję i odwrócić bieg historii. „Ponad 300-letnia podróż europejska jest skończona. Powinna była się skończyć ponad sto lat temu. Moglibyśmy wówczas uniknąć wielkich strat, które nasz kraj i naród poniosły w XX w.".

Karaganow przyznaje, że ta podróż dała Rosji całkiem sporo w dziedzinie rozwoju technicznego i militarnego, a europejski „zastrzyk w trzon tradycyjnej kultury" przyniósł zadziwiające rezultaty: wielką muzykę, teatr, film i największą literaturę światową. Jednak „oczywiste jest, choć wielu temu zaprzecza, że Europa to skupisko wszelkiego zła ludzkości, źródło dwóch wojen światowych, niezliczonych ludobójstw, kolonializmu, rasizmu i wielu innych odrażających »izmów«, łącznie z najnowszym liberalnym totalitaryzmem, który oparty jest na transhumanizmie, LGBT-izmie, zaprzeczeniu historii i w istocie antyhumanizmie".

W historii Rosja doznała od Europy wielu krzywd. Zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej, kiedy „zdecydowana większość Europejczyków maszerowała pod

eprasa.pl 2a630d192f

Tobolsk – niegdyś stolica Syberii; w przyszłości stolica Rosji?

sztandarem Hitlera albo pracowała dla jego armii". Dziś, zdaniem Karaganowa, Europa nie wypowiedziała jeszcze Rosji otwartej wojny, ale uparcie dąży do jej strategicznego pokonania, wykorzystując w tym celu Ukrainę. Sama, nakręcając antyrosyjską histerię, szykuje się do pełnej agresji, która może nastąpić w ciągu kilku lat.

„Naszą doktrynę militarną należy zmienić w związku z faktem, że wojna z demograficznie i militarnie silniejszym agresorem będzie wymagała użycia broni nuklearnej" – oświadcza profesor. I ostrzega: „Nasze uderzenia dekapitacyjne powinny mieć za cel nie tylko centra decyzyjne, ale także miejsca, gdzie europejskie elity gromadzą się i mieszkają. Tak by nie miały nadziei, że uda im się wszystko przeczekać w bunkrach".

Europa jest zła i zepsuta, natomiast o Syberii profesor ma wiele dobrego do powiedzenia. Bez Syberii Rosja prawdopodobnie nie przeżyłaby na Nizinie Wschodnioeuropejskiej, atakowana z zachodu i południa. Syberyjskie bogactwa naturalne i syberyjskie regimenty odegrały kluczową rolę w obronie Moskwy i w zwycięstwie w Wojnie Ojczyźnianej. Gaz i ropa naftowa zza Uralu, tamtejszy przemysł i ośrodki naukowe znaczą niezwykle wiele dla obecnej pozycji Rosji.

Siergiej Aleksandrowicz apeluje więc o wdzięczność dla wszystkich odkrywców, zdobywców i budowniczych Syberii. Również dla tych, którzy „nie przybyli na Syberię z własnej woli: skazańcy i więźniowie Gułagu wnieśli wielki, nie dość jeszcze doceniony wkład w rozwój Rosji". I dalej: „Niezliczone konie z syberyjskich i uralskich stepów były kluczem do zwycięstwa Rosji nad Napoleonem i innymi".

Ale główny wkład Syberii do narodowej skarbnicy – podkreśla Karaganow – to jej ludzie: odważni, wytrwali, silni, nastawieni kolektywistycznie – wcielenie rosyjskiego ducha. A jeżeli o ducha chodzi – „przez 300 lat zapomnieliśmy o orientalnych korzeniach naszego państwa i ludu. (...) Mongołowie rabowali, ale także ugruntowali warunki dla rozwoju. W istocie, poprzez konflikt i współpracę z nimi, zapożyczyliśmy wiele elementów z ich państwowości, co pozwoliło nam zbudować potężne scentralizowane państwo i wykuć kontynentalną mentalność ludu rosyjskiego. Jak się zdaje, odziedziczyliśmy naszą wyjątkową kulturalną, etniczną i religijną otwartość po imperium Czyngis-chana".

Trzecia stolica

Na czym w praktyce miałaby polegać ta syberyzacja? Karaganow i jego współpracownicy nie szczędzą propozycji. Należałoby ułatwić przenoszenie się na Syberię nie tylko mieszkańców centrum Rosji, ale też – uwaga – ludności z „terenów reinkorporowanych", czyli okupowanych części Ukrainy. Zarazem trzeba rekrutować Sybiraków (z ich nadzwyczajnym charakterem i doświadczeniem) do rządzenia całym krajem.

Obok Moskwy i Petersburga Rosja koniecznie potrzebuje też trzeciej, syberyjskiej stolicy, również ze względów strategiczno-militarnych. „Osobiście bliska jest mi idea utworzenia trzeciej stolicy w Tobolsku, z jego wspaniałym kremlem i historią" – pisze prof. Karaganow. A gdyby jednej syberyjskiej stolicy było za mało, można by ich utworzyć więcej. Warto by tam przenieść wiele instytucji państwowych, np. ministerstwa kultury, edukacji i zasobów naturalnych, jak również ministerstwo rozwoju Dalekiego Wschodu i Arktyki.

„Oczywiście – przytomnie zauważa profesor – głęboko zakorzenioną biurokrację idea takich przenosin rozwścieczy". Ale za to „prezydent zgodził się z ideą przeniesienia siedzib niektórych korporacji państwowych na Syberię". Uzasadnienie? Syberyjskie potencjalne stolice znajdują się o 3–6 godzin lotu od stolic azjatyckich, więc łatwiej będzie prowadzić z nich interesy niż z Moskwy, gdzie ten dystans wynosi 8–14 godzin.

Trzeba również utworzyć co najmniej dwa nowe centra naukowo-przemysłowe w regionach krasnojarsko-jenisejskim i irkucko-czytyńskim. A także zbudować nowe trasy północ–południe, łączące Syberię południową z Północną Drogą Morską, oraz z Chinami i całą Azją Południowo-Wschodnią. W końcu należy zbudować nowe rurociągi. Przeobrażenie Syberii i reorientacja na Wschód odmienią całą Federację Rosyjską.

Jak widać, roboty szykuje się niemało i trudno będzie ją wykonać, nawet gdyby zaprząc do niej wszystkie syberyjskie konie. Wygląda jednak na to, że program syberyzacji to raczej praca w dziedzinie ducha. Próba budowania neoimperialnej świadomości w warunkach, gdy sytuacja gospodarcza Rosji się pogarsza, a jej pozycja międzynarodowa słabnie. Niewykluczone, że te próby w jakiejś mierze się powiodą. Skoro tylu Rosjan pokochało Władimira Putina, może polubią też Czyngis-chana?

JACEK POPRZECZKO

© LECH MAZURCZYK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a630d192f

Architekt chaosu

Plan masowych deportacji imigrantów przedstawiony właśnie przez Nigela Farage'a to przejaw jego dominacji. Bo cała brytyjska polityka mówi już Farage'em.

MARCIN POLAK Z BRISTOLU

W brytyjskiej polityce wydarzyło się coś bardziej niebezpiecznego niż zwykła zmiana władzy. Wybory z lipca 2024 r., które wyraźnie wygrała Partia Pracy Keira Starmera, tak naprawdę przyniosły ciche zwycięstwo Nigela Farage'a, architekta brexitu, który po raz kolejny zdołał narzucić reguły gry politycznym konkurentom. Jego partia Reform UK zdobyła co prawda zaledwie pięć miejsc w parlamencie – to efekt ordynacji większościowej – ale dostała ponad 4 mln głosów i miała 14 proc. poparcia.

Mała Brytania

Prawdziwa skala zwycięstwa Farage'a uwidoczniła się jednak dopiero w tym roku. W majowych wyborach lokalnych Reform UK zdobyła 41 proc. mandatów, podczas gdy Partia Pracy zaliczyła katastrofę, sięgając po 6 proc. stanowisk. Elektorat wyraźnie wskazał, gdzie leży teraz prawdziwe centrum ideologicznego przyciągania. Na taki wynik Farage zapracował wcześniej, skutecznie zmuszając nie tylko konserwatystów, ale i centrolewicowy rząd, by mówili jego językiem.

„Brexit się nie udał. (...) A torysi zawiedli nas bardzo, bardzo mocno. Brexit udowodnił, że nasi politycy są równie bezużyteczni jak komisarze w Brukseli" – tłumaczył dwa lata temu w wywiadzie dla BBC, odnosząc się do wielu danych sugerujących negatywny wpływ brexitu na gospodarkę.

Projekt „Global Britain", który miał być dumną wizją postbrexitowej potęgi, okazał się politycznym bankructwem. W jego miejsce wyłoniła się „Little Britain" – kraj sparaliżowany przez kryzys ochrony zdrowia, stagnację gospodarczą (PKB per capita praktycznie niezmienione od 2016 r.) i głęboki pesymizm. To poczucie narodowej porażki stało się żyzną glebą dla populistów, którzy wskazują „winnych" i oferują proste rozwiązania. To na tym gruncie – niespełnionych obietnic i poczucia narodowego upadku – Farage zbudował swoją najpotężniejszą platformę.

„Winnymi" okazali się, tradycyjnie już, imigranci. Retoryka Reform UK celowo zaciera różnicę między migrantami ekonomicznymi i uchodźcami. W efekcie jej narracja wykracza poza wyliczanie suchych statystyk dotyczących skali przyjazdów (historyczny rekord: ponad 700 tys. w 2023 r.), koncentrując się na „inwazji nielegalnych imigrantów", rzekomo wspieranej przez „lewicowe elity" chcące „zlikwidować brytyjską tożsamość".

Ta dramatyczna opowieść skutecznie przeniknęła już do głównego nurtu. Konserwatyści, chcąc odzyskać elektorat, bezwolnie zaczęli naśladować język Farage'a, tym samym go legitymizując. Były konserwatywny premier Rishi Sunak, zamiast konkurować programem, obiecywał „powstrzymanie łodzi" i wysyłanie azylantów do Rwandy. I tu znów Farage skutecznie narzucił agendę.

© CHRIS J RATCLIFFE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2a630d192f

Jego triumf jest także gorzką porażką nominalnie rządzącej dziś Partii Pracy, która, obawiając się oskarżeń o „miękkość", uciekła w prawo, przejmując antyimigrancką retorykę. Premier Starmer napina antyimigranckie muskuły i ogłasza, że jego misją jest „rozprawienie się z gangami" przemytników. Materialnym efektem tej retoryki jest porozumienie z prezydentem Emmanuelem Macronem o odsyłaniu migrantów do Francji.

To wpisuje się w szerszą transformację polityki imigracyjnej lewicy: restrykcyjne plany wycofania wiz dla sektora opieki, ograniczenia liczby wiz pracowniczych i podniesienia progów wynagrodzeń, aby zniwelować konkurencyjność imigrantów. Nie trzeba dodawać, że ta zmiana jest w oczywisty sposób sprzeczna z potrzebami krajowej gospodarki. Jak wyjaśnia dr Erica Consterdine z Lancaster University, rząd igra w ten sposób z losem brytyjskiego systemu opieki społecznej, który opiera się na imigrantach. A konsekwencje będą dotkliwe: starsi wyborcy, których rzekomo ma to chronić, stracą dostęp do opieki.

Mimo to, podobnie jak wcześniej premier Sunak, Starmer wcale nie walczy z Farage'em – a raczej bezwolnie i krótkowzrocznie go naśladuje, ryzykując w rzeczywistości załamaniem kluczowych usług publicznych w pogoni za doraźnym i w sumie iluzorycznym zyskiem politycznym.

Czarna dziura

Sama zmiana narracji rządzących nie zadowala jednak Farage'a – idzie za ciosem i jeszcze bardziej radykalizuje polityczną debatę. 26 sierpnia w ogromnym hangarze pod Oxfordem ogłosił swój plan „operacji przywrócenia sprawiedliwości" (Operation Restoring Justice). „Jeśli przybywasz do UK nielegalnie, zostaniesz zatrzymany, deportowany i nigdy nie będziesz mógł tu zostać. Koniec kropka" – grzmiał Farage. Plan przewiduje zatrzymanie i deportację „absolutnie każdego", kto przypłynął łodzią, w tym kobiet i dzieci. Reform UK deklaruje, że w pierwszej kadencji parlamentu jest w stanie deportować nawet 600 tys. osób (to ok. 800 dziennie), a koszt tej operacji szacuje na 10 mld funtów.

Ten plan to nie tyle realna polityka, ile chwyt taktyczny – chodzi o ponowne postawienie pod murem zarówno konserwatystów, jak i laburzystów. Aby go zrealizować, Reform UK zamierza definitywnie „wyrwać się z pętli praw człowieka": wyprowadzić Wielką Brytanię z Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, uczynić nieskuteczną analogiczną krajową ustawę z 1998 r., a także zawiesić stosowanie Konwencji Genewskiej dotyczącej statusu uchodźców z 1951 r. oraz Konwencji ONZ przeciwko Torturom. To nic innego jak dekonstrukcja powojennego ładu prawnego, zbudowanego – o paradoksie! – właśnie po to, by chronić jednostkę przed brutalnością państwa.

Zdaniem dziennika „The Guardian" „to fantazja, która ma ukryć prawdziwy cel: zniszczenie zaufania publicznego do instytucji demokratycznych, zniszczenie ograniczeń prawnych i zamiana strachu we władzę". Absurdalność kosztów i logistyki planu oraz gotowość do negocjacji nawet z reżimem talibów w sprawie odesłania Afgańczyków pokazują, że Reform UK proponuje nie realną politykę, lecz jedynie pokazową brutalność mającą rozgrzać elektorat.

Opowieść Farage'a jest przy tym pełna znanych tropów o „inwazji zdolnych do walki mężczyzn" zagrażających „naszym kobietom i dziewczynom" oraz o „elitach". A wszystko to ma jeden cel: wyłudzić oburzenie. Zapytany, czy nie martwi go deportowanie ludzi do krajów, gdzie mogą spotkać ich tortury lub śmierć, Farage odparł: „Tak, ale to, co naprawdę mnie niepokoi, to bezpieczeństwo kobiet w Brytanii".

Farage'owi udaje się to, o czym marzy każdy radykał: nieustannie przesuwać granicę tego, co w polityce uznawane jest za akceptowalne. W efekcie jego skrajne idee stały się nowym punktem odniesienia. Bo siła Reform UK polega nie na tym, że może samodzielnie przejąć władzę, ale że jest ideologiczną czarną dziurą, która wsysa i pochłania tradycyjne partie prawicowe i centrolewicowe, zmuszając je do samozniszczenia poprzez naśladownictwo. To partia wirus. Jej celem nie jest objęcie władzy, ale zainfekowanie jej swoimi ideami. Dlatego radykalny plan deportacji nie jest realnym rozwiązaniem problemu migracji, lecz politycznym granatem rzuconym po to, by zmusić główne partie do reakcji – i tym samym do legitymizacji jego skrajnych założeń.

I w tym Farage odniósł spektakularny sukces. Jego partia stała się już nie tyle partią polityczną, ile ruchem protestu i tożsamości, którego główną walutą jest kulturowy i narodowy resentyment. Jej elektorat stanowią nie tylko tradycyjni konserwatyści, ale także dawni wyborcy Partii Pracy z zaniedbanych przemysłowych regionów, którzy poczuli się zdradzeni przez globalizację i własną partię. To oni, rozczarowani brexitem, widzą w Farage'u ostatniego strażnika prawdziwie narodowej polityki.

Pułapka brexitu

Aby w pełni zrozumieć fenomen Farage'a, trzeba spojrzeć poza zwodniczą arytmetykę mandatów parlamentarnych. Jak pisze Rafael Behr z „Guardiana": „Żadne wydarzenie polityczne z XXI w. nie dorównuje brexitowi pod względem konsekwencji dla Brytanii, a nawet nie zbliża się do niego". I choć Boris Johnson może przypisywać sobie zasługę nakłonienia większości do głosowania za wyjściem, a Davida Camerona obarcza się winą za wplątanie kraju w referendum, to agitacja Farage'a była kluczowa. „To on wyznaczył cel, nazwał go »niepodległością« i podłączył do wysokonapięciowego kabla antyimigranckich uczuć".

A ponieważ „testem prawdziwego brexitu" stała się podniesiona do absolutu kontrola granic, wykluczyło to jakiekolwiek członkostwo w jednolitym rynku, zanim negocjacje w Brukseli w ogóle się rozpoczęły. Teraz z kolei uniemożliwia premierowi Starmerowi uczciwe wskazanie ekonomicznych kosztów opuszczenia UE i przedstawienie realnej ceny tego samookaleczenia Wielkiej Brytanii. Co więcej, Starmer tkwi w strategicznym ślepym zaułku, skazany na zarządzanie stagnacyjną gospodarką, podczas gdy główny architekt tego kryzysu beztrosko odgrywa to samo przedstawienie od nowa.

Brytyjski eksperyment dowodzi też, że przyszłość prawicy niekoniecznie należy do skrajnych partii, lecz do skrajnych idei, które są w stanie zdominować programy ugrupowań głównego nurtu. Farage pokazał, że do narzucenia swojej wizji rozwiązywania kwestii uchodźców i kontroli migracji – oraz skutecznego podważania fundamentów praw człowieka i zwyczajnej ludzkiej solidarności – wcale nie jest potrzebna parlamentarna większość. Wystarczy dostatecznie głośny megafon i bezwzględność w wykorzystywaniu ludzkich lęków.

Autor jest doktorem socjologii, absolwentem University of Bristol.

eprasa.pl 2a630d192f

Tu, gdzie stał Bóg

Mimo wojny Jerozolima wciąż przyciąga turystów i wyznawców trzech religii, co jest zarówno jej siłą, jak i przekleństwem. A czasem chorobą.

AGNIESZKA ZAGNER

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to kolor. Z okien pociągu, który w zaledwie 25 minut dojeżdża z lotniska pod Tel Awiwem, barwy jerozolimskich wzgórz zlewają się z zabudową miasta. Tu każdy dom, każda ściana, każda ulica zbudowane są z tego samego surowca: słynnego kamienia jerozolimskiego o ciepłym miodowym odcieniu. W świetle wschodzącego słońca przybiera on różowy kolor, w ciągu dnia przechodzi niemal w biel, o zmierzchu mieni się czerwienią.

„Jerozolima była niegdyś uważana za środek świata, a dzisiaj jest to bardziej prawdziwe niż kiedykolwiek: miasto jest widownią walk pomiędzy religiami abrahamowymi, świątynią zyskującego coraz większe wpływy chrześcijańskiego, żydowskiego i islamskiego fundamentalizmu, strategicznym polem bitwy ścierających się cywilizacji, linią frontu pomiędzy ateizmem a wiarą, ośrodkiem wiecznej fascynacji, przedmiotem nieprawdopodobnych teorii spiskowych i internetowego mitotwórstwa oraz jasno oświetloną sceną dla kamer filmowych z całego świata w epoce 24-godzinnych serwisów informacyjnych" – pisze w biografii miasta Simon Sebag Montefiore.

Święte kamienie

Każde miejsce ma tu swoją skomplikowaną przeszłość i kilka wersji prawdy. Choćby ten kamień. To różne odmiany wapienia, w tym słynny meleke, królewski, który służył do wznoszenia reprezentacyjnych budowli. Aby mu się bliżej przyjrzeć, trzeba pójść wzdłuż murów okalających Stare Miasto, między Bramą Damasceńską i Bramą Heroda. Jest tam niepozorne wejście do szerokiej na 100 m i długiej na 200 jaskini Sedekiasza, zwanej też kamieniołomem Salomona.

W jaskini odbywają się m.in. ceremonie masońskie, oczywiście niedostępne dla przypadkowych zwiedzających. A pochodzące stąd kamienie stanowią świętość dla wyznawców kilku religii. Z wydobywanego tu meleke zbudowano i staromiejskie mury, i jerozolimską świątynię, i Mur Zachodni, jedyną pozostałość drugiej świątyni, tzw. Ścianę Płaczu, dla Żydów najświętsze miejsce na świecie. Z daleka kamienie w murze wyglądają na chropowate, ale w rzeczywistości są gładkie, wypolerowane przez 2 tys. lat dotykania.

Modlący się odchodzą tyłem, by nie naruszyć powagi tego miejsca. Z podobnym szacunkiem traktowane są pozostawione przez nich w szczelinach muru karteczki z prośbami do Boga – dwa razy w roku są stąd zabierane, a następnie grzebane

eprasa.pl 2a630d192f

Ortodoksyjni Żydzi mijają Palestyńczyków w Dzielnicy Muzułmańskiej.
Na sąsiedniej stronie: **widok na Ścianę Płaczu, dla Żydów najświętsze miejsce na świecie. Na Wzgórze Świątynne, gdzie znajduje się święte miejsce dla muzułmanów – Kopuła na Skale z charakterystycznym złotym zwieńczeniem, niemuzułmanie mogą się dostać jedynie przez drewniany most.**

© GETTY IMAGES, DAVID SILVERMAN/GETTY IMAGES

na cmentarzu na Górze Oliwnej. Dostęp tu jest przez 24 godziny na dobę, ale najpiękniej jest późnym popołudniem, kiedy odbijające się od kamieni słońce zmienia kolor muru na złoty.

To miejsce rządzi się swoimi prawami, które dla niewtajemniczonych czasem brzmią groteskowo. Zgodnie z nimi np. matki, siostry i ciotki muszą stać na plastikowych krzesłach, aby ponad metalową barierką separującą mężczyzn od kobiet choć przez chwilę popatrzeć na krewnego po drugiej stronie podczas modlitwy z okazji bar micwy, kiedy 13-letni chłopiec symbolicznie staje się dorosły.

Studnia dusz

Za murem na niewielkim wzniesieniu, czyli na Wzgórzu Świątynnym, znajduje się święte miejsce dla muzułmanów – Kopuła na Skale z charakterystycznym złotym zwieńczeniem, skąd prorok Mahomet odbył nocną podróż do Mekki i nieba, oraz Meczet al-Aksa. I znowu – co to za „skała"? Dla Żydów to nic innego jak kamień węgielny, na którym powstał świat i gdzie Abraham miał złożyć w ofierze syna Izaaka, a samo wzgórze to biblijna góra Moira.

Na jednym z narożników ów kamień ma niewielki otwór prowadzący do jaskini zwanej Studnią Dusz, skąd już tylko dwa kroki do Miejsca Najświętszego, w którym kiedyś znajdowała się Arka Przymierza, a w niej tablice z dekalogiem, jakie Mojżesz otrzymał od Boga...

Jeśli dodamy, że działający od prawie 40 lat na Starym Mieście Instytut Świątynny całkiem na serio przygotowuje się do budowy Trzeciej Świątyni, która ma stanąć na Wzgórzu Świątynnym, czemu gorąco kibicują ewangelikanie, zwłaszcza amerykańscy, sprawy komplikują się jeszcze bardziej. Według ewangelikanów dwa pierwsze warunki do nadejścia Sądu Ostatecznego zostały spełnione, gdy Izrael powstał na nowo, a Jerozolima stała się znów żydowska. Po odbudowie Trzeciej Świątyni i siedmiu latach udręk nastąpi bitwa w Armagedonie, a Święty Michał przybędzie na Górę Oliwną, by walczyć z Antychrystem na Wzgórzu Świątynnym. Żydzi nawrócą się lub zginą, a po powtórnym przyjściu Jezusa Chrystusa nastąpi epoka jego tysiącletniego panowania.

Mimo oczywistego konfliktu interesów ów żydowsko-chrześcijański sojusz trzyma się całkiem mocno, a pieniądze od amerykańskich ewangelikanów – bazy wyborczej Donalda Trumpa – płyną szerokim strumieniem.

Natomiast główny szlak chrześcijańskich pielgrzymów wiedzie przez niespełna 700 m Via Dolorosy, gdzie znajduje się kilkanaście stacji drogi krzyżowej, w rzeczywistości część z nich to jedynie orientacyjne punkty „ostatniej drogi Jezusa", ponieważ obecna topografia ulic różni się od tej sprzed 2 tys.lat. Wędrówkę warto zacząć poza murami – na Górze Oliwnej, na której szczycie znajduje się zamieniona później w meczet kaplica Wniebowstąpienia. I podążać szlakiem aż na Golgotę, gdzie został ukrzyżowany – dziś miejsce to znajduje się we wnętrzu Bazyliki Grobu Pańskiego. Wielu chrześcijan odwiedzających Jerozolimę ma wrażenie, że wbrew wcześniejszym przekonaniom nie są tu dominującą grupą wyznaniową, ale i nie najbardziej zapalną.

Potop al-Aksa

Z powodu Wzgórza Świątynnego wielokrotnie lała się krew. Tu rozpoczęła się m.in. druga intifada, gdy w 2000 r. Ariel Szaron jako lider opozycyjnego wówczas Likudu odwiedził meczet al-Aksa, ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ by rzekomo sprawdzić doniesienia o niszczeniu wykopalisk archeologów pracujących nad rekonstrukcją stajni króla Salomona. Mimo oficjalnego zakazu grupy żydowskie wchodzą na wzgórze, testując cierpliwość muzułmanów. Nieprzypadkowo Hamas nazwał swój atak na Izrael z 7 października 2023 r. „potopem al-Aksa".

Warto jednak wejść samemu na Wzgórze (niemuzułmanie mogą się tu dostać jedynie przez drewniany most rozpięty po prawej stronie od Ściany Płaczu, nie mają wstępu do meczetów), by zobaczyć, że nie sposób oddzielić od siebie tych dwóch światów. Widać to szczególnie w piątkowe wieczory, kiedy wąskimi uliczkami Starego Miasta muzułmanie zmierzają na modlitwę na Wzgórzu Świątynnym, a żydowskie rodziny – na powitanie szabatu przy Ścianie Płaczu. Obie grupy unikają kontaktu wzrokowego, jakby chciały ukradkiem przemknąć obok siebie, a tym samym zaprzeczyć, że „ci drudzy" tu są.

A przecież są. W dzielnicy muzułmańskiej co rusz widać izraelską flagę – znak, że dany budynek jest w rękach żydowskich. Piątki na Starym Mieście są szczególne – izraelska policja zwiększa patrole, w powietrzu czuć napięcie. Nietrudno to zauważyć, nawet jeśli jest się tylko turystą, który wybrał się na Stare Miasto, by poczuć zapachy przypraw, świeżo mielonej kawy z kardamonem, falafeli i obłożonych lodem ryb... ewentualnie sprawdzić, czy drabina oparta przed dwoma wiekami o okno Bazyliki Grobu Pańskiego nadal tam stoi. Jak wiadomo, nie można jej przesunąć nawet o centymetr, by nie wywołać konfliktu między sześcioma odłamami chrześcijaństwa, do których należy bazylika.

Jaskinia Sedekiasza, zwana też kamieniołomem Salomona. Odbywają się tu m.in. ceremonie masońskie.

Miasto podzielone

Jerozolima niezmiennie grozi wybuchem. I dziś jest to aktualne bardziej niż kiedykolwiek. Brutalne oblicze wojny w Strefie Gazy prowadzi do coraz głośniejszych apeli o rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Jerozolima będzie jednym z najważniejszych punktów jakiegokolwiek porozumienia w tej sprawie.

W 2000 r. premier Izraela Ehud Barak zaproponował palestyńskiemu przywódcy Jaserowi Arafatowi, dla którego to miasto było osobistą obsesją, 91 proc. Zachodniego Brzegu z palestyńską stolicą w małej wsi Abu Dis, leżącej poza granicami Jerozolimy, wszystkie osiedla na wschód od niej, palestyński zarząd nad dzielnicą muzułmańską, chrześcijańską i Wzgórzem Świątynnym, chociaż ziemia i tunele pod nim miałyby przypaść Izraelowi, w tym kamień węgielny. Arafat odmówił, nie zgadzając się też na opcję z całkowitą suwerennością Wzgórza Świątynnego.

Później było już tylko gorzej. W planie Trumpa dla Bliskiego Wschodu z 2020 r. Wzgórze miało w całości przypaść Izraelowi, a Palestyna miałaby się zadowolić stolicą w Abu Dis. Prezydent Mahmud Abbas odpowiedział cierpko: „Jerozolima nie jest na sprzedaż". Trudno o kompromis, gdy obie strony uważają miasto za swoją „wieczną stolicę". Dziś izraelski prawicowy rząd – tak samo zresztą jak większość Izraelczyków – nie chce słyszeć nie tylko o oddaniu nawet kawałka Jerozolimy, ale w ogóle o jakimkolwiek państwie palestyńskim.

Natomiast do wspomnianych tuneli, otwartych przez Beniamina Netanjahu w 1996 r., warto zajrzeć – ciągną się pod Ścianą Płaczu, Wzgórzem Świątynnym, aż do dzielnicy muzułmańskiej na Starym Mieście. Przewodnicy z pasją opowiedzą historię tego miejsca z żydowskiej perspektywy, a samym przeżyciem jest dotknięcie kamieni, symbolu skomplikowanej historii.

Symptomy jerozolimskiej schizofrenii widać więc na każdym kroku. Ale w jakiś sposób miasto nadal jest jednością. Dobrze można to zobaczyć z góry, podczas spaceru po murach okalających Stare Miasto, skąd widać nie tylko cztery jego dzielnice, ale również krajobraz miasta rozłożonego na wapiennych wzgórzach.

Własne krzywdy

Z tej perspektywy Jerozolima jest jedna. Nie rzuca się już w oczy jej wielka blizna, jaką do 1967 r. była tzw. zielona linia oddzielająca tereny kontrolowane przez Izrael i Jordanię. Linia ta, przybierając postać muru i zasieków, przecinała sam środek miasta, oddzielając jego wschodnią i zachodnią część. Dziś w tym miejscu przebiega trasa tramwaju.

Choć nie ma już bramy Mandelbauma – kiedyś jedynego przejścia między wschodnią i zachodnią częścią miasta, tutejszego Checkpoint Charlie – nie znaczy to, że blizny całkiem się zagoiły. Widać i czuć to szczególnie we Wschodniej Jerozolimie, gdzie obok 360 tys. Palestyńczyków mieszka jakieś 235 tys. Żydów wierzących, że całe miasto należy tylko do nich. Dla przeciętnego Palestyńczyka są po prostu okupantami.

Każdy spotkany tu Palestyńczyk niesie własną historię krzywd. Przekonać się

eprasa.pl 2a630d192f

Procesja przez Via Dolorosa, gdzie znajduje się kilkanaście stacji drogi krzyżowej

© SETH ARONSTAM/SHUTTERSTOCK, SAEED QAQ/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

można o tym choćby w maleńkiej, ale kultowej księgarence na ulicy Saladyna we Wschodniej Jerozolimie, gdzie niedawno izraelska policja zrobiła nalot, aresztowała jej palestyńskich właścicieli oraz kilkaset rzekomo podejrzanych książek – w jej obronie stanęli nawet izraelscy pisarze i wydawcy. Jeśli szukasz wierszy palestyńskiego wieszcza Mahmuda Darwisza, literatury faktu z perspektywy palestyńskiej, dobrych powieści – to trafiłeś pod dobry adres. Jeśli zaś pragniesz chwili spokoju od zgiełku miasta, wstąp na kawę do oddalonego kilka minut piechotą ogrodu hotelu American Colony w sercu dzielnicy Szejch Dżarrah. Swoje siedziby ma tam wiele placówek dyplomatycznych przy władzach Autonomii Palestyńskiej, które same urzędują w Ramallah. Na Starym Mieście podobną oazą spokoju jest Hospicjum Austriackie, z równie wspaniałym ogrodem.

We Wschodniej Jerozolimie wszystko zależy od perspektywy. Z jednej strony tzw. Miasto Dawida, czyli udostępnione dla zwiedzających stanowisko biblijnej archeologii, ma dowodzić, że miejsce to istniało i było żydowskie już w czasach króla Dawida. A to z kolei ma uzasadniać dzisiejszą obecność w dzielnicy Silwan żydowskich osadników. Ale – jak wszędzie w Jerozolimie – jest też druga strona: zapytany o to miejsce Palestyńczyk uzna, że to historyczna manipulacja.

Skrajne reakcje budzi też otwarte niedawno Muzeum Tolerancji w zachodniej części miasta. Batalia otarła się nawet o Sąd Najwyższy, który w pewnym momencie wstrzymał budowę ze względu na znajdujący się pod nią muzułmański cmentarz z czasów krucjat. Dziś tylko wtajemniczeni wiedzą, że także chodząc po leżącym naprzeciwko Kikar HaChatulot (dosłownie: placu Kotek), tak naprawdę stąpa się po dawnej nekropolii. Stąd już tylko dwa kroki do modnego baru Sira (łódka), jednego z niewielu otwartych w szabat, ulubionego miejsca tutejszej izraelskiej lewicy.

Syndrom jerozolimski

Gdziekolwiek spojrzeć, Jerozolima odsłania swoje rany. Na fasadzie ratusza w zachodniej części miasta nadal można dostrzec ślady po kulach z czasów wojny o niepodległość i późniejszych. Plac Syjonu przy ul. Jafskiej od rana do wieczora tętni życiem i tylko część mieszkańców pamięta zamach sprzed pół wieku, gdy w lodówce wybuchło pięć kilo materiałów wybuchowych, zabijając 15 osób. A na odchodzącej od placyku ulicy Ben Jehudy doszło do kilku innych zamachów.

W Jerozolimie trudno też nie dostrzec obecnej wojny. Na każdym kroku widać zdjęcia zakładników przetrzymywanych przez Hamas, murale z podobiznami zabitych, żółte wstążki będące symbolem walki o ich powrót z Gazy, no i wszędzie pełno tu uzbrojonych cywilów i żołnierzy.

Dziś Jerozolima jest wielkim miastem z prawie milionem mieszkańców, dalekim od swojej wersji sprzed 150 lat, jaką zobaczył Mark Twain, nazywając ją „nędzną mieściną". „Siedzę w miejscu, gdzie stał jakiś bóg" – zapisał wtedy pisarz. I dla wielu jest to aktualne do dziś. Nie chodzi nawet o autentyczność historyczną tego zdania, ale o przekonanie. Jerozolima to więcej niż miasto, a zdarza się nawet, że staje się chorobą.

Tutejsze Centrum Zdrowia Psychicznego Kfar Szaul specjalizuje się w badaniu tzw. syndromu jerozolimskiego. Co roku trafia tu ok. 100 osób, najczęściej turystów różnych wyznań, którzy zazwyczaj spacerowali po mieście owinięci w hotelowe prześcieradła, wygłaszali kazanie w którymś ze świętych miejsc czy recytowali biblijne wersety. Część z nich wcześniej nie cierpiała na żadne zaburzenia psychiczne.

Jak na ironię Centrum Zdrowia Psychicznego położone jest na gruzach wioski Deir Jassin, a znajdujące się na jego terenie budynki pamiętają masakrę z 1948 r., jaką żydowskie oddziały zgotowały tutejszym arabskim mieszkańcom. W Jerozolimie dosłownie nie da się uciec od przeszłości.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 2a630d192f

Z notatnika neandertalczyka

Przodkowie dzisiejszych ludzi utrwalali i przekazywali informacje długo przed powstaniem pisma. Co chcieli zapamiętać? Co przekazać potomnym? Co odczytujemy dzisiaj?

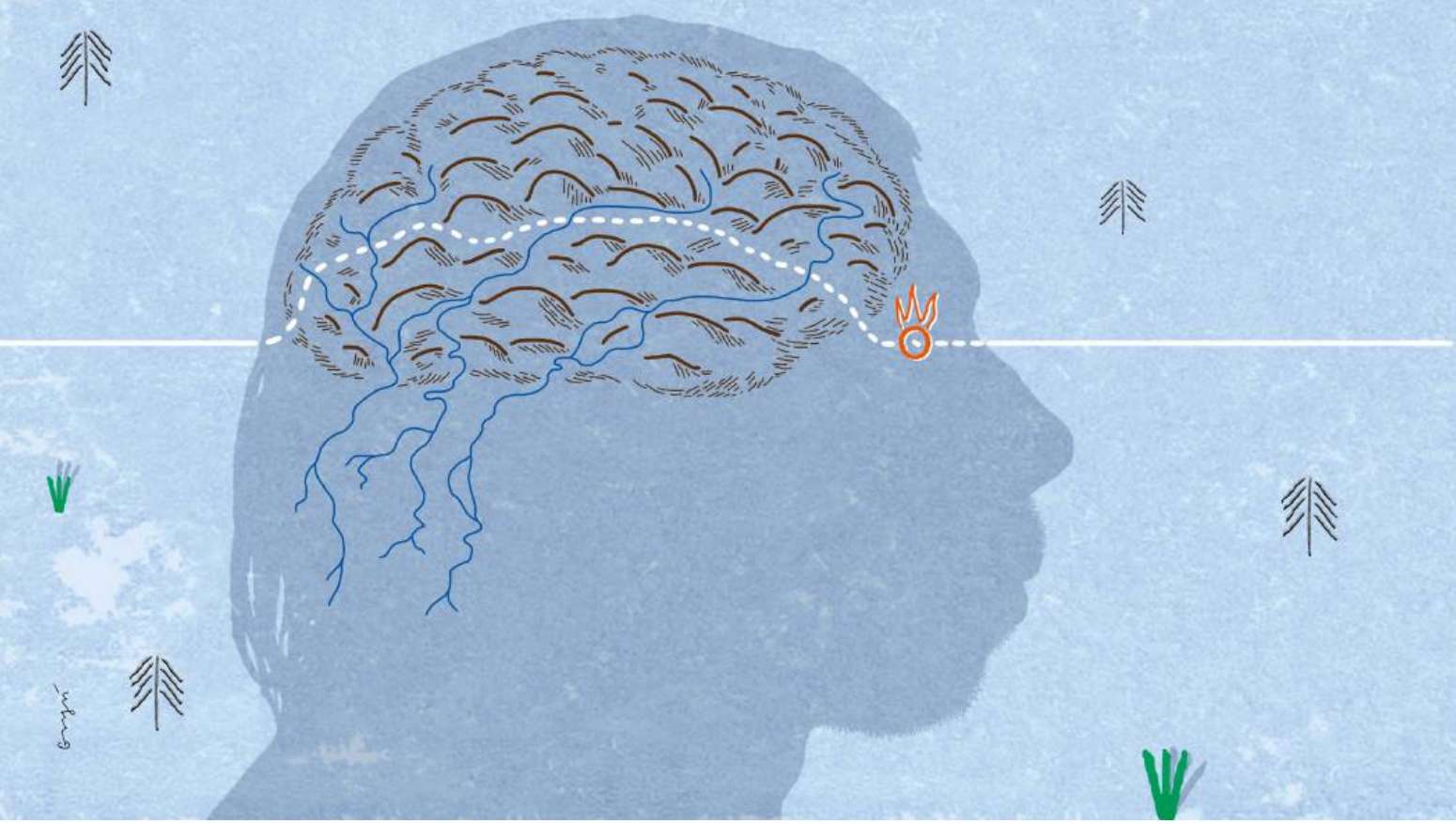

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W Nyayanga na półwyspie Homa w Kenii archeolodzy odkryli datowane na 2,5 mln lat kamienne ostrza i kości hipopotamów, które nimi oprawiano. Według zespołu Emmy Finestone z Cleveland Museum of Natural History jest to najstarszy dowód na ćwiartowanie dużych zwierząt oraz transport surowca z daleka. Homininy z rodzaju *Paranthropus* część narzędzi wykonały bowiem ze znalezionych w okolicy kamieni, ale część – z lepszego pod względem jakości ryolitu i kwarcytu, których złoża oddalone są o ponad 10 km.

Podobnych zachowań nie obserwuje się u naczelnych, które co prawda używają kamieni i potrafią do nich wracać, ale tylko na krótkie dystanse. Szympansy czy kapucynki przenoszą czasem kamienie do rozłupywania orzechów, ale nigdy nie transportują ich kilkanaście kilometrów. Według autorów publikacji w „Science Advances" nasi przodkowie z Nyayanga musieli pamiętać, gdzie znajdują się złoża surowca, rozumieć jego wartość i organizować

eprasa.pl 2a630d192f

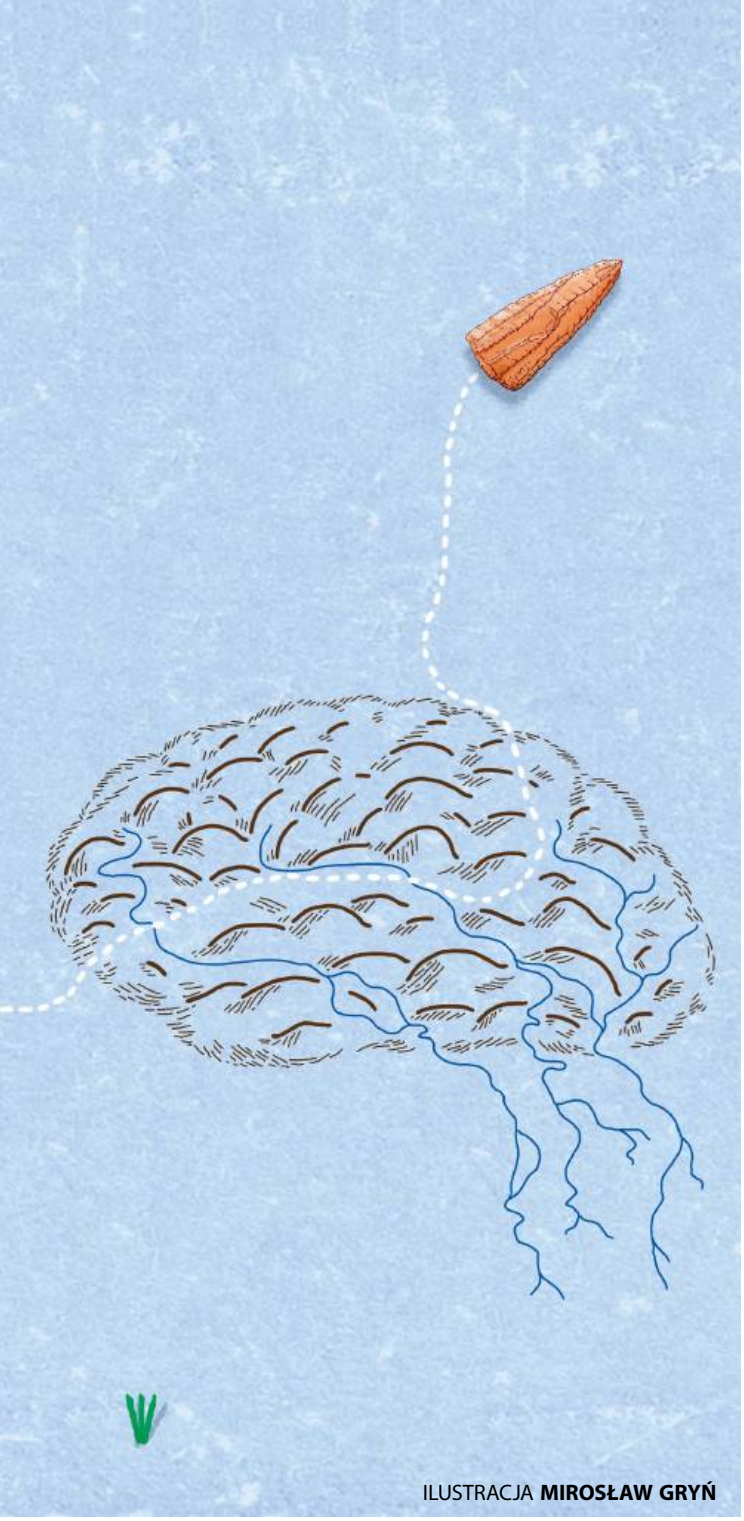

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

„spedycję". Takie wyprawy wymagały planowania i umiejętności poruszania w terenie, który zmieniał się wraz z porą roku. Musiały zatem istnieć sposoby na orientację w przestrzeni.

Mapa i terytorium

Łatwo sobie wyobrazić, że pomagały w niej jakieś rozpoznawalne punkty – skała o nietypowym kształcie, charakterystyczne drzewo, zakole rzeki – pełniące funkcję „węzłów" na mentalnej mapie terenu. Wędrówka nie była chaotycznym błądzeniem, lecz odtwarzaniem znanej sekwencji przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Bez tej wiedzy groziła utrata dostępu do wody, miejsc dogodnych do polowań i bogatych w jadalne rośliny czy właśnie surowców. Krajobraz stawał się tekstem, który trzeba było poprawnie „odczytać".

Jeden z najlepiej udokumentowanych przykładów zachował się u australijskich Aborygenów. Wierzą oni, że świat został ukształtowany w Czasie Snu (*Dreamtime*), kiedy mityczni przodkowie przemierzali kontynent, tworząc góry, rzeki, źródła i święte miejsca. Ich wędrówki utrwalono w pieśniach (*songlines*). Każda zwrotka opisuje fragment trasy, a jednocześnie umożliwia orientację w terenie. Śpiew Aborygenów nie tylko przywoływał pamięć Czasu Snu, lecz także podtrzymywał więź między mitem, krajobrazem i codziennym życiem. Według Lynne Kelly, australijskiej badaczki tego zjawiska i autorki książki „The Memory Code", te metody były na tyle skuteczne, że w tradycji aborygeńskiej zachował się opis topografii lądu sprzed 7 tys. lat, zanim jeszcze podnoszący się wskutek ocieplenia klimatu ocean zalał części Australii.

Ponieważ teksty połączone z melodią łatwiej się zapamiętuje, w kulturach oralnych większość mitów ma formę pieśni i eposów, które są śpiewane lub melorecytowane. Homininy z Nyayanga nie miały jednak swoich „ścieżek śpiewu", które umożliwiałyby im wędrówki po ryolit i kwarcyt, bo nie posługiwały się jeszcze mową. Musiały mieć jakieś inne sposoby zapamiętywania dróg. Bez nich nie byłoby ani precyzyjnych narzędzi, ani migracji. Przy czym sama orientacja w terenie tu nie wystarczy. Badacze się zastanawiają, kiedy ludzie zaczęli wspomagać swoją pamięć, sięgając po podręczne notatniki.

Kreski zamiast słów

W Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi znajduje się kość niedźwiedzia z nacięciami wykonanymi przez neandertalczyków zamieszkujących jaskinię w Dziadowej Skale na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej 130–118 tys. lat temu. Znaleziono ją w latach 50. XX w., jednak dopiero ostatnio wykonano analizy mikroskopowe i tomografię komputerową. Wynika z nich, że linie są wynikiem intencjonalnych działań, nie zaś śladów pracy rzeźnika, jak wcześniej zakładano. – *Siedemnaście nacięć ostrą krawędzią retuszowanego narzędzia wykonała osoba praworęczna za jednym posiedzeniem i na pewno nie jest to efekt filetowania, linie są bowiem jednokierunkowe i specjalnie pogłębione* – tłumaczy kierownik badań prof. Tomasz Płonka z Uniwersytetu Wrocławskiego. – *Poza tym odległości linii od końców mierzącej 10 cm kości są na tyle duże, aby można założyć, że raczej mamy cały zapis.*

W takich artefaktach badacze doszukują się notacji liczbowej, bo kiepsko idzie nam zapamiętywanie mnogości osób czy przedmiotów. Nasi przodkowie mogli więc szybko zacząć korzystać z różnych sposobów zapisu liczby kroków, przodków czy upolowanej zwierzyny. Rachowanie uważane jest za najpotrzebniejszy i najbardziej pierwotny opis rzeczywistości. W wielu tradycyjnych kulturach stosowano kijki z nacięciami do odmierzania dni podróży, wysokości długu czy kodowania wiadomości. W Anglii *tally sticks* służyły do rejestracji podatków jeszcze w XVII w., a australijscy Aborygeni w początkach XX w. przekazywali zaproszenia na ceremonie zakodowane na *message sticks*.

Niestety w przypadku znalezisk z pradziejów nie mamy opisów ich użycia. Dlatego zespół pod kierunkiem Lloyda Austina Courtenaya i Francesco d'Errico z Université de Bordeaux ▶

eprasa.pl 2a630d192f

Newsy na kiju

Ludzie od tysiącleci posługiwali się różnymi narzędziami pamięci. Bardzo często były to proste kije i patyki. Aborygeńskie *message sticks* przypominały krótkie listy – na patykach wycinano i malowano znaki, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Posłaniec niósł je do sąsiedniego plemienia jako zaproszenie na rytuał, prośbę o pomoc albo wieść o polowaniu. Jeszcze sto lat temu krążyły one po australijskim interiorze.
W Europie przez wieki używano *tally sticks* – kijków z nacięciami oznaczającymi długi i podatki. W Anglii gromadzono je w skarbcu do XIX w.
Indianie Ameryki Północnej odnotowywali na kijach i skórach kalendarze, które miały formę rysunków, przypominających kolejne lata i ważne wydarzenia.
Innymi sposobami na utrwalanie pamięci były deseczki. W Afryce Środkowej do dziś ludy Luba używają *lukasa* – rzeźbią na nich różne wzory i doczepiają paciorki, tworząc mapy historii rodów i wodzów, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Jednak najsłynniejszy system zapisu to inkaskie *kipu*, czyli kolorowe sznury z węzełkami wiązanymi w różnych miejscach. Długo uważano je za prymitywną księgowość, ale badacze odkryli, że mogły służyć do przechowywania także dłuższych narracji, niemal dorównując pismu.
Azja też miała swoje techniki, chociażby *mala*, czyli buddyjskie i hinduistyczne sznury modlitewne ze 108 paciorkami. Pozwalały odliczać mantry – dokładnie tak, jak w katolickim różańcu, który jest mnemotechnicznym licznikiem modlitw. W Tybecie używano też pałeczek i liczydeł do kontrolowania liczby recytacji, a w Japonii stosowano *sangaku*, czyli wieszane w świątyniach geometryczne tablice, na których zapisywano zagadki matematyczne jako formę ofiary i zarazem pamięci zbiorowej, oraz *ema* – drewniane tabliczki do modlitwy, na których wierni zostawiali prośby i życzenia. Setki *ema* tworzyły swoisty rejestr pragnień wspólnoty, materialny zapis ulotnych myśli.
Wszystkie te przykłady łączy jedno – owe przedmioty nie zastępowały słów ani pieśni, lecz je wspierały, przenosząc wiedzę między osobami i pokoleniami, ponieważ człowiek nigdy nie ufał wyłącznie własnemu umysłowi. Zresztą i dziś chętnie wracamy do takiej symbolicznej skrótowości – wysyłamy emotikonki czy ikonki. To nasze współczesne piktogramy, które – podobnie jak kreski na kościach czy węzełki na sznurach – pozwalają szybko przekazać emocję i treść w skondensowanej formie.

Najsłynniejszy sznurkowy system zapisu – inkaskie kipu. Obok: **kość niedźwiedzia z nacięciami wykonanymi przez neandertalczyków z jaskini w Dziadowej Skale 130–118 tys. lat temu.**

▶ sięgnął po metody statystyczne, które pozwalają zmierzyć, czy nacięcia są równomiernie rozstawione, tworzą grupy, czy są rozmieszczone przypadkowo.

Liczby czy ornamenty?

W lipcowym „Archaeological and Anthropological Sciences" czytamy, że pod lupę wzięto 22 kościane przedmioty mające od 1,7 mln do 6 tys. lat. Widnieje na nich 2840 śladów nacinania. Mogły one powstać podczas oprawiania zwierzyny, być ozdobami albo pełnić funkcję sztucznych systemów pamięci (AMS). Pojęcie to obejmuje wszystkie przedmioty, które umożliwiały przechowywanie i przekazywanie informacji poza ludzkim mózgiem (dziś to teksty, nagrania i obrazy cyfrowe, ale wszystko mogło się zacząć od kresek na kościach czy patykach). Do porównań wykorzystano podobne obiekty etnograficzne – wspomniane kijki, patyki z Tybetu do liczenia czy kalendarze Indian Północnej Ameryki.

Według badaczy ślady filetowania, które skupiają się w jednym miejscu, są płytkie, skośne i nieregularne – takie znajdowały się na trzech najstarszych z badanych obiektów. Dziewięć artefaktów z różnych okresów miało linie biegnące w różnych kierunkach, więc uznano je za dekorację. Pozostałe zabytki, datowane na 72–12 tys. lat, na których znaki były prostopadłe i regularne, uznano za potencjalne AMS, ponieważ „zapisy" te są pod względem rozmieszczenia i orientacji znaków nie do odróżnienia od tych etnograficznych. Zdaniem naukowców to dowód, że już 72 tys. lat temu ludzie robili notatki na kościach i kijach.

Courtenay i d'Errico wiążą AMS z rozwojem myślenia liczbowego. Ta zdolność jest biologicznie wrodzona wielu gatunkom, ale zapisywanie precyzyjnych wartości wymaga symboli i kulturowych umiejętności, chociażby przypisywania danego znaku do określonego obiektu, zwierzęcia czy chmury.

Czy mamy zatem dowód, że neandertalczycy w Dziadowej Skale liczyli już ponad 100 tys. lat temu? Niekoniecznie, przekonuje prof. Płonka. Choć jego kolegom nacięcia też skojarzyły się z księgowością, według niego mogła to być próba przedstawienia jakiegoś rytmicznego zjawiska, np. falowania wody. – *Koncepcja AMS jest pociągająca i zgadzam się z definicją śladów filetowania, wątpię jednak, że można tak jednoznacznie rozdzielić dekorację i notację liczbową. Autorzy koncepcji wpadli chyba w pułapkę założenia, że podobne układy linii tworzą wykluczające się zbiory, no bo dlaczego równoległe nacięcia nie mogły być ozdobą? Kreska to symbol*

eprasa.pl 2a630d192f

pojemny. Nie można odrzucić pomysłu, że stanowiła ornament. Co więcej, nie wiadomo, czy dla neandertalczyków istniała granica między tym, co użytkowe i nieużytkowe. To, co dla nas jest „tylko" ornamentem, mogło mieć też funkcję praktyczną i odwrotnie: zapis liczbowy mógł być jednocześnie wzorem – przekonuje.

Drugie życie magazynów

Nie wiadomo zatem, czy należy „czytać", „liczyć", czy „podziwiać" 17 kresek z kości z Dziadowej Skały, chociaż jest to, jak na razie, najstarszy taki przejaw myślenia symbolicznego w naszej części Europy. Badania nad nimi wpisują się w szerszy trend odczytywania pradziejowych znaków. Jaką bowiem funkcję pełniły pierścieniowate konstrukcje z połamanych stalagmitów wzniesione w ciemnej części jaskini Bruniquel we Francji 176 tys. lat temu? Co oznaczały młodsze o ponad 100 tys. lat linie i kratownice z hiszpańskich grot? Czy kratka sprzed 40 tys. lat w Gorham Cave na Gibraltarze to prekursorka gry w kółko i krzyżyk, jak mówią złośliwi, czy znak czegoś znacznie ważniejszego?

– *Była hipoteza, że ryty to przedstawienia wizji po zażyciu substancji psychoaktywnych. Ale poza nimi są jeszcze ślady wykorzystania ozdób, pigmentów, a także piór i pazurów ptaków oraz groby, co potwierdza, że neandertalczycy mieli szerszą koncepcję świata. Mówimy w ich przypadku o zachowaniach protosymbolicznych, bo w formie najprostszych znaków próbowali przedstawiać różne fenomeny związane ze światem zewnętrznym i duchowym* – tłumaczy prof. Płonka.

Oczywiście, praktyki te można zaobserwować nie tylko u mieszkańców Europy, ale też innych części świata. I choć – poza pochówkami, które sugerują czułość, a być może również wiarę w życie pozagrobowe – trudno rozszyfrować „treść" tych symbolicznych znaków, sama forma wskazuje na potrzebę uporządkowania i przekazywania wiedzy. Co więcej, jak wynika z badań etnograficznych zapisów bez pisma, systemy te pozwalają przenosić duże ilości informacji – od lokalizacji zasobów po złożone prawa społeczne. Z pewnością też w pradziejach funkcjonowały równolegle dwa sposoby notowania: pamięciowy, osadzony w punktach orientacyjnych krajobrazu, oraz materialny. Oba wymagały żmudnego treningu pamięci i były fundamentem przetrwania.

Transport kamieni w odległe miejsca i wykonywanie rytów na kościach czy ścianach mogły być częścią tego samego zjawiska – w obu przypadkach mamy do czynienia z planowaniem, intencją i przekazem. Bo przecież nawet jeśli nie jest to zapis w naszym współczesnym pojęciu, to i sztuka jest rodzajem środka komunikacji – między tymi, którzy wiedzą, jak ją odczytywać. Takie ślady myślenia symbolicznego są dziś badane z nową precyzją, by uchwycić możliwe znaczenia i funkcje. W archeologii nadchodzi czas „drugiego życia magazynów" – badacze coraz częściej odkrywają w nich rzeczy wcześniej przeoczone albo niedocenione. W przypadku kości z Dziadowej Skały czy 22 artefaktów badanych przez Courtenay i d'Errico nowe analizy umożliwiły ich reinterpretację i osadzenie w szerszym kontekście, w roli fragmentu większej opowieści o tym, jak nasi dalecy krewni budowali swoją pamięć.

Podsłuchy w jaskiniach

Gdy patrzymy na takie artefakty, nietrudno popaść w zachwyt: tu mógł powstać pierwszy kalendarz, tam lista polowań, gdzie indziej mapa rzek i źródeł. Jednak w gabinetach badaczy ten entuzjazm często ustępuje ostrożności, ponieważ ślady mogą mieć wiele wyjaśnień. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że współczesny uczony dostrzeże w nich coś, co bardziej odzwierciedla jego własne schematy poznawcze niż intencje ludzi sprzed dziesiątków tysięcy lat.

Archeologia jest nauką interpretacji, która z fragmentarycznych znalezisk stara się odtworzyć mechanizmy ludzkiego myślenia. – *Nie wejdziemy naszym przodkom do głowy, więc próbujemy, na ile się da, interpretować pozostawione przez nich ślady. Ponieważ na naszych oczach dzieje się rewolucja, różne rzeczy mogą się zdarzyć. Być może pojawią się technologie, które pozwolą nam badać fale akustyczne uwięzione w strukturze skał i w ten sposób uda się nam „odsłuchiwać" rozmowy w jaskiniach sprzed tysięcy lat. Wtedy dopiero dowiemy się, jaką funkcję pełniły malowidła, ryty, odciski dłoni czy nacięcia na kościach i w jaki sposób kształtowały pamięć ówczesnych ludzi* – snuje marzenia archeolog.

Na razie jednak musimy zaakceptować, że odpowiedzi pozostają niepełne. Ślady dawnych systemów pamięci są jak echo – dociera do nas fragment, urywek melodii, znak wyryty w kości, układ narzędzi w ciemnej pieczarze. Resztę dopowiada wyobraźnia. To ona sprawia, że archeologia staje się nie tylko badaniem przeszłości, lecz także refleksją nad tym, czym jest pamięć i jaką rolę odgrywa w naszej tożsamości. Być może właśnie to jest największym odkryciem: świadomość, że człowiek od zawsze próbował oswoić zapomnienie – i że ta próba trwa do dziś. Od kilku kresek na kości do cyfrowych chmur – to ta sama, nieprzerwana historia.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© LANMAS/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, TOMASZ GĄSIOR/INSTYTUT ARCHEOLOGII UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

REKLAMA

eprasa.pl 2a630d192f

Ogród z widokiem na kosmos

Kopuły Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego od dawna pełnią funkcję dekoracyjną. Ale obchodząca 200. urodziny instytucja nadal wnosi znaczący wkład do astronomii. Rozmowa z jej dyrektorem prof. Tomaszem Bulikiem.

PAWEŁ ZIEMNICKI: **– Jak doszło do powstania obserwatorium astronomicznego w Warszawie?**

TOMASZ BULIK: – W 1816 r. w mieście założono nowy uniwersytet. W tamtych czasach każda nowa uczelnia miała wydział matematyki, z którą blisko związana była astronomia. Ważną rolę odegrał młody profesor Franciszek Armiński, matematyk z zacięciem astronomicznym. Pracował we Francji, odwiedził nowoczesne obserwatoria na Zachodzie i został zachęcony do przyjazdu nad Wisłę przez księcia Adama Czartoryskiego. To właśnie Armiński bardzo mocno parł na wybudowanie obserwatorium dla Uniwersytetu Warszawskiego i on też „wychodził" u cara Aleksandra I, pogromcy Napoleona, potrzebne fundusze.

Był pomysł, żeby wybudować obserwatorium na Mokotowie, obok późniejszego kina Moskwa, ale ostatecznie budynek wzniesiono w ogrodzie botanicznym. Dla obserwacji astronomicznych lepiej byłoby, żeby gmach stał idealnie w osi północ–południe i wschód–zachód, ale niestety wybudowano go równolegle do ulicy. Dziś nie ma to znaczenia, bo tu, w Alejach Ujazdowskich, nie prowadzimy już żadnych obserwacji.

KATARZYNA ZIEMNICKA: **– Dlaczego car zgodził się na obserwatorium w Warszawie?**

Ponieważ uznał, że warto. W tamtych czasach obserwatorium zajmowało się nie tylko badaniami astronomicznymi, lecz również pomiarem czasu, mierzeniem pozycji gwiazd, a także zadaniami związanymi z kartografią. Przez środek budynku przechodził tzw. warszawski południk zerowy, względem którego wyznaczano współrzędne geograficzne innych obiektów w mieście. Widniał na mapach z lat 1825–63. W ramach trwającego obecnie remontu chcemy go oznaczyć za pomocą mosiężnej wstęgi na górnym tarasie oraz na dziedzińcu. Południk jest też zaznaczony na kładce pieszej przez Wisłę.

KZ: **– Jakie macie tu najstarsze instrumenty astronomiczne?**

Niestety, większość straciliśmy w czasie historycznej zawieruchy. Przez pierwsze lata drugiej wojny światowej obserwatorium działało, ale podczas powstania warszawskiego zostało spalone. Mamy pojedyncze części instrumentów z obserwatorium na górze Pop Iwan, które otwarto krótko przed wojną. Potem część z nich przewieziono na Węgry i dalej do Austrii, aż wreszcie do Krakowa, skąd trafiły do nas. W naszej stacji w Ostrowiku pod Warszawą mamy lunetę odtworzoną z elementów z obserwatorium ze szczytu Popa Iwana. Dysponujemy też licznymi zdjęciami, na których widać, jak Obserwatorium Astronomiczne UW wyglądało przed wojną. W budynku w ogrodzie botanicznym mamy niewielką ekspozycję dawnych przyrządów do analizy obrazów astronomicznych.

PZ: **– Proszę opowiedzieć o obserwatorium na górze Pop Iwan. Czy jest szansa na jego odrodzenie?**

Ta stacja, nazywana Białym Słoniem, została w okresie międzywojennym wzniesiona na terenie dzisiejszego ukraińskiego obwodu iwanofrankiwskiego. Niestety straciliśmy ją w 1939 r.

eprasa.pl 2a630d192f

Budynek Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego w Alejach Ujazdowskich. Po elektryfikacji na ulicach zrobiło się jasno i obserwatorium straciło rację bytu.
Na sąsiedniej stronie: **Droga Mleczna nad polskim teleskopem OGLE w obserwatorium Las Campanas w Chile.**

Budynek został splądrowany, ale mury się zachowały. Obecnie gmach jest administrowany przez władze uniwersytetu w Iwano-Frankiwsku. Znajduje się w nim stacja ratownictwa górskiego. Trwają prace rewitalizacyjne, bo przedstawiciele wspomnianego uniwersytetu i Centrum Studiów Wschodnich UW chcą urządzić tam ośrodek kultury – polsko-ukraińskie miejsce spotkań.

KZ: **– Czy astronomowie będą znów obserwować stamtąd niebo?**

Wątpię. Byłem raz na Popie Iwanie, później pracownicy naszego obserwatorium zainstalowali tam stację pogodową. Niestety szczyt ten nie jest optymalnym miejscem do prowadzenia obserwacji. Zimą zalega tam dwumetrowa warstwa śniegu, wieją bardzo silne wiatry, a cały budynek jest oblepiony lodem. Przez większość roku niebo pokrywają chmury. Zdarzają się tam też silne burze. Jakby tego było mało, po krótkim okresie funkcjonowania naszą stację meteorologiczną zniszczył piorun.

Powiedzmy wprost: gdy w latach międzywojennych budowano Białego Słonia, obserwatorium stanowiło kamuflaż dla zasadniczej, czyli wojskowej, funkcji obiektu. Pełnił on strategiczną funkcję przy polskiej granicy. Nie zapominajmy, że budowę sfinansowano z pieniędzy Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Obserwacje astronomiczne realizowano od 1938 r. Na ich podstawie powstała jedna naukowa publikacja.

PZ: **– Wróćmy do warszawskiego obserwatorium. Jakie były szczególnie ważne momenty w jego historii?**

Odbudowa kompleksu po drugiej wojnie światowej. Przy okazji obserwatorium zostało zmodernizowane. Wcześniej jego centralna część, między dwiema belwederkami, była drewniana i tu stały teleskopy. Konstrukcja miała zapewnić dobrą wentylację i przewiewność, żeby uniknąć problemów wynikających z różnicy temperatur pomiędzy wnętrzem budynku a otoczeniem. Powstające w takich warunkach drgania powietrza bardzo utrudniają obserwację nieba. Przy odbudowie, znów łącząc wspomniane belwederki konstrukcją murowaną, przywrócono obserwatorium pierwotny kształt z pierwszej połowy XIX w.

KZ: **– Tymczasem Warszawa się rozwijała i coraz trudniej było tu obserwować gwiazdy…**

Tak. Przeprowadzono elektryfikację, na ulicach zrobiło się jasno i obserwatorium w Alejach Ujazdowskich straciło rację bytu. Dlatego kopuły na naszym dachu pełnią tylko funkcję dekoracyjną. Do badań służą nasze dwa inne obiekty: w Ostrowiku i w Las Campanas w Chile. Współpracujemy też z obserwatoriami na całym świecie.

PZ: **– W jakie najważniejsze projekty naukowe się angażowaliście?**

Przez ostatnie 50 lat nasze obserwatorium zdobywało coraz większą renomę na świecie. Jednym z powodów było to, że w latach 60. ubiegłego wieku Polska otworzyła się na świat. Nasi astronomowie zaczęli jeździć na wymiany do innych krajów, w tym do USA. To bardzo zaprocentowało.

Kolejnym krokiem milowym było wybudowanie naszego teleskopu OGLE (Optical Gravitational Lensing Experiment) w Las Campanas. Ten flagowy projekt, którym od lat kieruje prof. Andrzej Udalski, zaowocował ogromną liczbą sukcesów, np. potwierdzeniem, że ciemnej materii we wszechświecie nie tworzą pojedyncze małe obiekty w rodzaju tzw. gwiazdowych czarnych dziur. OGLE posunął też do przodu badania gwiazd zmiennych. Dzięki jego szerokim archiwom można było np. prześledzić zderzenie dwóch gwiazd z układu podwójnego – była to pierwsza taka obserwacja.

Obecnie jesteśmy mocno zaangażowani m.in. w serię odkryć związanych z falami grawitacyjnymi, co akurat jest moją działką. Dużo satysfakcji dało mi to, że realizowane od 2016 r. obserwacje przyniosły potwierdzenie naszych ▶

© KRZYSZTOF ULACZYK & JAN SKOWRON/OGLE, KRZYSZTOF ULACZYK

eprasa.pl 2a630d192f

wcześniejszych prac teoretycznych przewidujących, że najczęściej będziemy odnajdować źródła fal grawitacyjnych w zderzeniach układów podwójnych czarnych dziur o masach rzędu 30 mas Słońca.

PZ: **– A kto zmierzył odległość do naszej sąsiedniej galaktyki – Wielkiego Obłoku Magellana?**

Nad tym pracowała grupa pod kierunkiem Grzegorza Pietrzyńskiego, który obecnie pracuje w Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika. Ten zespół poszukiwał tzw. świec standardowych. To gwiazdy, które mamy dobrze rozpoznane, potrafimy dokładnie wyliczyć ich jasności absolutne. Porównując je z jasnościami obserwowanymi, możemy z dużą dokładnością obliczyć odległości do tych ciał. Posługując się tą właśnie metodą, można było określić, jak daleko jest z naszego miejsca w Drodze Mlecznej do jednego z Obłoków Magellana. To ułatwia określenie dystansu do kolejnych, dalej położonych obiektów we wszechświecie – mówimy tu o tzw. drabinie odległości.

KZ: **– Czy praca astronoma ma jeszcze w sobie romantyzm związany z samotnym wpatrywaniem się w niebo?**

Dziś wielu astronomów siedzi przy biurku i wpatruje się w komputer, licząc matematyczne modele, ale nadal inspiruje nas niebo. Same obserwacje teleskopowe są w dużej mierze zautomatyzowane i programowane z wyprzedzeniem, ale w razie potrzeby zmieniamy plany, np. jeśli dojdzie do ciekawego wybuchu pobliskiej supernowej.

Praca astronoma wciąż wiąże się z dalekimi podróżami i możliwością poznawania naukowców z całego świata. Ja miałem w swojej pracy ciekawy epizod, kiedy koordynowałem prace grupy zajmującej się poszukiwaniem najlepszego miejsca na wybudowanie CTA (Cherenkov Telesope Array). To wielkie obserwatorium składające się docelowo z kilkudziesięciu teleskopów. W poszukiwaniu optymalnej lokalizacji badaliśmy miejsca w południowej Afryce, Ameryce Południowej i Północnej, a także w Azji czy na Wyspach Kanaryjskich, gdzie spotykaliśmy się z miejscowymi badaczami. Te podróże zawierały w sobie element przygody.

PZ: **– Jaką pozycję ma dziś polska astronomia w świecie?**

Wysoką. W naszym kraju działa niewielka grupa – ok. 300 aktywnych naukowców z dziedziny astronomii, ale nasze osiągnięcia są znaczące. Warszawskie obserwatorium, ale również inne jednostki, np. Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika, Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, Centrum Astronomiczne UMK, i inne polskie ośrodki są cenione w środowisku na wszystkich kontynentach. Jesteśmy zapraszani na konferencje, a nasi astronomowie zaangażowani są w duże i ważne eksperymenty.

Prof. **Tomasz Bulik** – profesor, dyrektor Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk. Zajmował się astrofizyką teoretyczną, w tym badaniem źródeł rentgenowskich, fizyką silnych pól magnetycznych, błyskami gamma oraz strukturą i własnościami gwiazd neutronowych. Zainicjował badania nad populacją układów podwójnych i astronomią fal grawitacyjnych. Obecnie bierze udział w przygotowaniach do budowy teleskopu Einsteina – nowego obserwatorium fal grawitacyjnych.

KZ: **– Co szczególnie przeszkadza wam w pracy?**

Nie lubimy chmur, sztucznych satelitów oraz samolotów przelatujących nad teleskopami. Wszelkie jasne obiekty po prostu – ze względu na długi czas naświetlania zdjęć astronomicznych – psują nasze zobrazowania. Kiedyś byłem zaangażowany w obserwacje z użyciem teleskopu HESS (High Energy Stereoscopic System) w Namibii. Wtedy jeszcze problemem nie były sztuczne satelity, ale spadające gwiazdy, czyli meteory. Potrafiły zniweczyć trwającą wiele minut sesję obserwacyjną. Dziś problemem są sztuczne satelity, zwłaszcza te wchodzące w skład megakonstelacji takich jak Starlink. Satelity szkodzą też radioastronomii.

PZ: **– Na czym się teraz koncentrujecie w Warszawie?**

Większość zespołu pracuje przy trwającym od wielu lat projekcie OGLE. Astronomowie badają gwiazdy zmienne, szukają planet pozasłonecznych, w tym również planet swobodnych, niezwiązanych grawitacyjnie na stałe z konkretną gwiazdą. Jest też grupa, która analizuje odległości do gwiazd i stara się określić kształt naszej Galaktyki. Ten zespół, pod kierunkiem Doroty Skowron, stwierdził, że dysk Drogi Mlecznej nie jest gładki, lecz pofałdowany. Mamy też zespół badający źródła fal grawitacyjnych...

KZ: **– ...czyli pańską specjalność.**

Zająłem się nimi, badając układy podwójne obiektów zwartych, takich jak np. gwiazdy neutronowe. Grawitacja to rodzaj oddziaływania, które rozchodzi się we wszechświecie z ograniczoną prędkością – prędkością światła. Jeżeli mamy jakiś masywny obiekt, który oscyluje, zmieniając kształt – jak ma to miejsce choćby przy zlewaniu się dwóch czarnych dziur – to również pole grawitacyjne takiego obiektu będzie się zmieniało. Informacja o tym propaguje z prędkością światła właśnie w postaci fal grawitacyjnych. Można pokazać, jak pod ich wpływem w układzie zmniejszają i zwiększają się odległości. Wykorzystujemy to w detektorach fal grawitacyjnych, takich jak obserwatoria VIRGO i LIGO.

PZ: **– Jakie fundamentalne pytania stawiają sobie dziś astronomowie?**

Jest ich wiele! Przede wszystkim nadal nie wiemy, czym są ciemna materia i ciemna energia. Materia barionowa, z której jesteśmy zbudowani i którą bezpośrednio widzimy, stanowi zaledwie kilka procent całego wszechświata. Wciąż niezbyt dobrze rozpoznana, oddziałująca grawitacyjnie ciemna materia stanowi ok. 25 proc., a pozostałe 70 proc. to ciemna energia, która odpowiada za przyspieszanie ekspansji wszechświata. Możemy więc powiedzieć, że 95 proc. kosmosu to dla nas wciąż tajemnica. Ciemna energia to taki współczesny eter. Substancja, która wypełnia cały wszechświat i ma dość zagadkowe własności. Przykładowo, jeżeli miałbym jej mały kubek i przelał do dużej butelki, to wypełni całą butelkę z tą samą gęstością, z jaką znajdowała się w kubku.

Na naszej drodze pojawiają się też inne nowe pytania, np. skąd biorą się masywne czarne dziury, takie jak ta w centrum Drogi Mlecznej. Teleskop Webba pokazuje, że obiekty te istniały już na bardzo wczesnym etapie rozwoju wszechświata. To oznacza, że miały za mało czasu, by uformować się na skutek zlewania się małych gwiazdowych czarnych dziur.

Inna zagadka: do tej pory wyobrażaliśmy sobie, że planety powstają w wyniku zlepiania się mniejszych okruchów materii w dyskach protoplanetarnych wokół młodych gwiazd. Jednak te drobinki pędzą z wielkimi prędkościami. Dlaczego w takim razie nie rozbijają się na jeszcze mniejsze okruchy, lecz zlepiają się, for-

eprasa.pl 2a630d192f

mując planety? Fundamentalną kwestią w najbliższych latach będzie też poszukiwanie oznak życia (markerów) na planetach pozasłonecznych o warunkach podobnych do ziemskich.

Jednocześnie pamiętajmy, że dziś sięgamy w naszych badaniach naprawdę daleko. Jeszcze 100 lat temu astronomowie sądzili, że wszechświat ogranicza się właściwie do naszej Galaktyki.

KZ: **– A przed nami jeszcze wiele do odkrycia. Kosmos czeka na nowych zdobywców. Jak zaszczepiać pasję do astronomii?**

Bardzo ważna jest popularyzacja nauki – prowadzenie wykładów w szkołach, opowiadanie o odkryciach w radiu i w telewizji. W przypadku astronomii jest to o tyle łatwe, że to nauka, którą możemy pokazać przy użyciu pięknych obrazów nieba. Ale bez wątpienia można na tym polu robić więcej. Musimy zachęcić więcej osób do studiowania astronomii i zajęcia się nią zawodowo. Wytworzyć w społeczeństwie etos pracy naukowej. Wybór kierunku studiów często zależy od tego, co młodzi ludzie słyszą w rodzinie czy w swoim środowisku rówieśniczym. Wpływ otoczenia jest ogromny. Pokazujmy więc, że praca naukowa jest fajna i ciekawa. Sprawą fundamentalną jest też kwestia odbudowania w Polsce szacunku dla nauczycieli. Tu zadanie do odrobienia mają często też rodzice.

PZ: **– Czy misja polskiego astronauty zwiększy zainteresowanie astronomią?**

Misja IGNIS i działania Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego na pewno bardziej otworzą młodych ludzi na *space science*, czyli nauki związane z kosmosem. To z kolei przyniesie korzyści przemysłowi kosmicznemu. Eksperymenty przeprowadzone przez Polaka na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej nie były w większości bezpośrednio związane z astronomią, jaką zajmujemy się tutaj. Jeden eksperyment miał związek z badaniem wpływu promieniowania kosmicznego na elektronikę, ale nie był realizowany w docelowych warunkach, jakie nas interesują. Całe przedsięwzięcie postrzegam w dużej mierze jako sukces w dziedzinie public relations.

PZ: **– A czy rezultaty podstawowych badań astronomicznych przekładają się na zastosowanie w gospodarce?**

Przekładają się w bezpośredni lub pośredni sposób. Przykładem pierwszego jest np. to, że algorytmy analizy obrazów, które zostały stworzone na potrzeby astronomii, są później wykorzystywane w medycynie, choćby w prześwietleniach, kiedy na podstawie skąpych informacji musimy odtworzyć strukturę, której nie widzimy. Jeśli zaś chodzi o korzyści pośrednie, to nie wszyscy nasi absolwenci – magistrowie czy doktoranci – zostają naukowcami. Tworzą natomiast zasób bardzo dobrze wykształconych ludzi, którzy potrafią rozwiązywać złożone problemy i myśleć niestandardowo. Znajdują pracę w bardzo różnych dziedzinach przemysłu czy administracji. Są zaradni, niekiedy zostają wynalazcami, znacząco przyczyniając się do wzrostu krajowego PKB.

Jeśli spojrzymy na kraje wysoko rozwinięte, to dostrzeżemy, że niektóre z nich łożą na badania nawet do 5 proc. swojego PKB, podczas gdy my nie przeznaczamy na ten cel nawet 1 proc. Inwestycja w naukę wzbogaca całe społeczeństwo.

ROZMAWIALI
KATARZYNA ZIEMNICKA I PAWEŁ ZIEMNICKI

© ANNA AMAROWICZ

REKLAMA

Nike Nagroda Literacka

PLEBISCYT Nike Czytelników

ZAGŁOSUJ

wyborcza.pl /nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 30 września

Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI
MECENAS: ORLEN
PARTNER GŁÓWNY: TOTALIZATOR SPORTOWY, 70 LAT
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

PATRONI MEDIALNI: ams, GAZETA.PL, radio ZET, chillizet, tokfm

eprasa.pl 2a630d192f

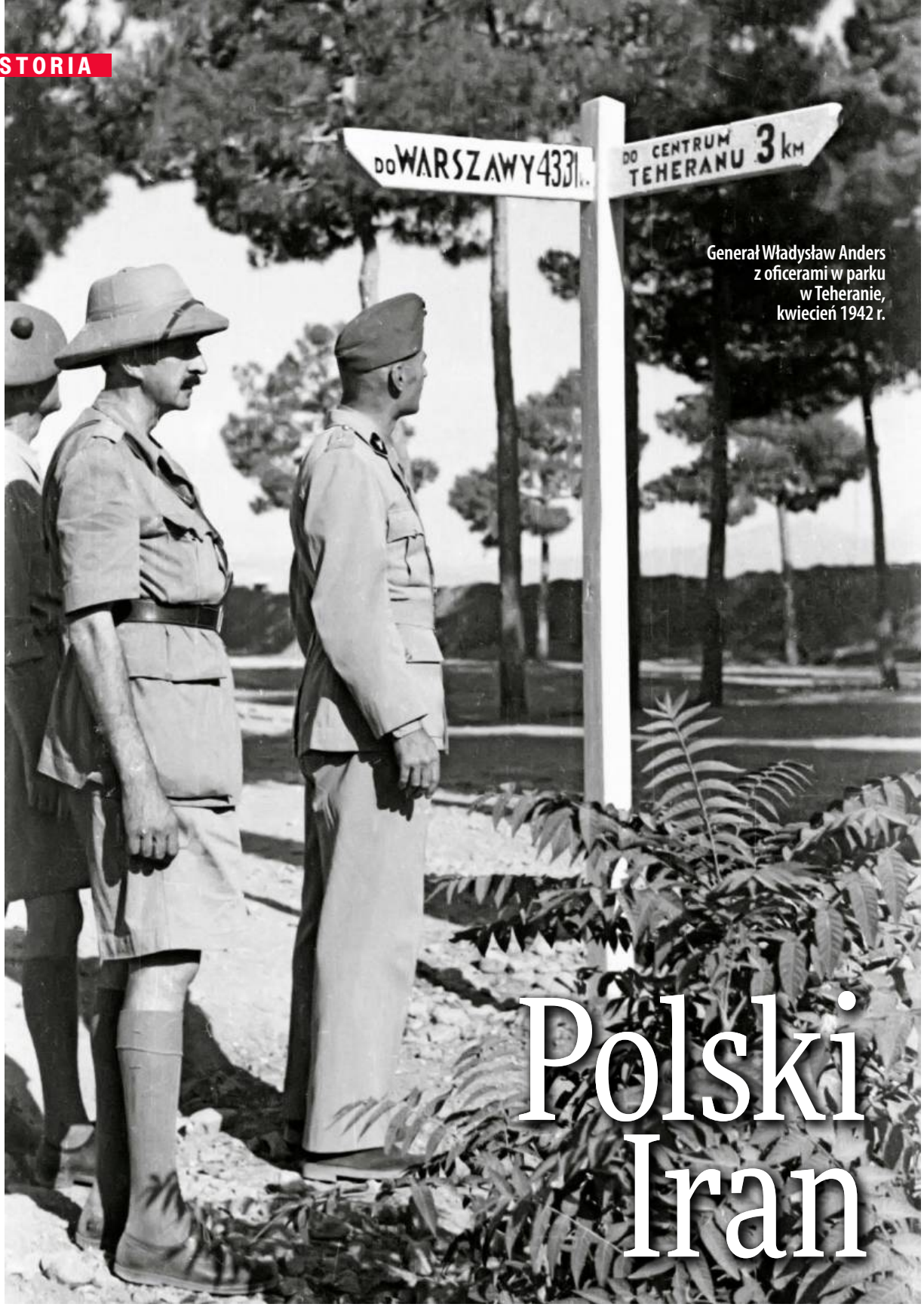

Generał Władysław Anders z oficerami w parku w Teheranie, kwiecień 1942 r.

Polski Iran

W języku perskim warszo, czyli warszawski, oznacza wyroby platerowane, a lahestani, czyli z Lachestanu – dobrą jakość. Nie tylko armia Andersa zostawiła w Iranie swój ślad.

eprasa.pl 2a630d192f

MATEUSZ M. KŁAGISZ

Pociąg toczy się przez środkowoazjatyckie stepy. W bydlęcym wagonie podróżuje dwóch braci. Młodszy Mariuszek pyta, co czeka ich w Iranie. Starszy Jurek opowiada o tym, że są tam ogromne koty z wąsiskami łaskoczącymi przechodniów, drogi wysłane dywanami jak dla baszy, pawie niosące złote jaja, z których szach uciera kogel-mogel. Wizje rodem z „Baśni tysiąca i jednej nocy" mają zamienić wojenną tułaczkę w przygodę. Scena pochodzi z powieści Jerzego Krzysztonia „Wielbłąd na stepie". Autor, deportowany jak setki tysięcy Polaków w 1940 r. do ZSRR, wrócił do Polski przez Iran, Indie i Ugandę.

Po ataku Niemiec na ZSRR Stalin, zmuszony do ustępstw, podpisał z rządem RP 30 lipca 1941 r. układ Sikorski–Majski, przywracając stosunki dyplomatyczne i zgadzając się na utworzenie Polskich Sił Zbrojnych. Ogłoszono „amnestię", obejmując nią także osoby bez wyroków. „Polacy są wolni" – zanotowała w sierpniu 1941 r. jedna z uratowanych, Jadwiga Waliszewska-Dukszta, dodając, że wszyscy obawiali się, iż władze mogą się rozmyślić. Szczęście miało ok. 80 tys. żołnierzy i 40 tys. cywilów ewakuowanych w 1942 r. – głównie przez Morze Kaspijskie – do Iranu.

Jawił się on wtedy jako ziemia obiecana, a podróż do niego nabierała wymiaru biblijnego exodusu. „Port w Pahlavi był oazą, był szczęściem. (...) W Pahlavi zaczęła się nasza dobra, nowa droga wiodąca do uzdrowienia, do odżycia po mękach, do odrodzenia duszy i ciała" – napisała inna z uratowanych, Irena Beaupré-Stankiewicz.

Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej Iran ogłosił neutralność, jednak w kraju panowały silne nastroje proniemieckie. Obawiając się, że Teheran przyłączy się do wojny po stronie Berlina, Londyn i Moskwa zażądały wydalenia niemieckich doradców. Gdy Iran odmówił, w 1941 r. znalazł się pod brytyjsko-radziecką okupacją. Reza Pahlawi, szach Iranu, został zmuszony do abdykacji na rzecz swego syna – Mohammada Rezy Pahlawiego, który przymuszony zgodził się przyjąć tysiące polskich uchodźców.

Podczas gdy brytyjskie konwoje wojskowe zmierzały znad Zatoki Perskiej na północ, polscy uchodźcy ewakuowani z ZSRR kierowali się na południe. Zdecydowana większość trafiła przepełnionymi statkami do portu Bandar-e Pahlawi. Wśród nich był Franciszek Machalski – orientalistycznie wykształcony absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, który po pobycie w łagrze współorganizował życie intelektualne uchodźców w Iranie: „Przede mną leżał kraj oglądany dotąd jedynie w snach i marzeniach młodości". Po wojnie współtworzył iranistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podobną rolę na Uniwersytecie Warszawskim odegrała Zofia Józefowicz-Niedźwiecka, również uchodźczyni, która w Teheranie uczęszczała do szkoły z przyszłą szachinią Farah Dibą.

Po przybyciu do Iranu Polacy przechodzili ścisłą kwarantannę na plaży, a następnie kierowano ich do obozów zorganizowanych przez Brytyjczyków – m.in. w Ahwazie, Teheranie czy Isfahanie. Ten ostatni zapisał się jako „miasto polskich dzieci", gdyż trafiły tam tysiące sierot i półsierot. Jedna z nich, Alina Pietrzak, opisała w pamiętniku atmosferę życzliwości: „Po obiedzie pojechałyśmy do Isfahany, do 6 zakładu. W bramie zakładu stał ksiądz i przywitał nas. Obmyłyśmy się trochę i zaprowadzono nas do sal, w których były przyszykowane łóżka. (...) Po obiedzie grałyśmy w piłkę, ksiądz też grał. Ksiądz ten taki dobry i wesoły, że biega razem z nami w berka i różne gry. (...) Parę dni po przyjeździe zaczęto rozdzielać nas klasami i 10 listopada zaczęliśmy naukę. Uczyliśmy się na dworze pod drzewami, dopóki było ciepło, a teraz w salach".

Początkowo warunki w obozach były trudne – w Teheranie zakwaterowano ludzi m.in. w halach dawnej fabryki broni, gdzie spali na ziemi. Dopiero po kilku miesiącach pojawiły się prycze. Priorytetem była pomoc medyczna oraz odbudowa systemu edukacji. Ruszyły szkoły podstawowe i gimnazja, angażowano się w działalność harcerską, organizowano amatorskie teatrzyki i potańcówki, uprawiano sport. Na stadionie w Teheranie rozegrano mecz – jak donosiły plakaty wydrukowane z błędami –„pitki nożnej". Żołnierze Andersa pokonali drużynę Iranu 3:1.

Cywilom organizowano pracę – np. w szwalni założonej w teherańskim Obozie Cywilnym nr 1 pracowało 600 kobiet, a inni zatrudniali się poza obozami, u irańskich przedsiębiorców. Słynnym miejscem stała się Cafe Polonia przy ul. Lalezar w Teheranie – założona przez Irańczyka i prowadzona przez Polki.

Na początku Irańczycy byli pełni empatii – dzielili się jedzeniem, ubraniami, pomagali. We wspomnieniach podkreślano ich gościnność. Z czasem narastały napięcia – Polaków utożsamiano z nielubianymi Brytyjczykami, a obecność tysięcy uchodźców obciążała system gospodarczy. Problemem bywały różnice obyczajowe – pojawiły się doniesienia o prostytucji, powołano nawet komisję obyczajową. By unikać kłopotów wojsko ograniczało wydawanie przepustek, a w kwietniu 1943 r. zwolniono z armii osoby nadużywające alkoholu, niesubordynowane i karane.

Największą grupą Polaków w Iranie byli uchodźcy ewakuowani z armią Andersa, ale historia relacji polsko-irańskich sięga znacznie wcześniej. Już w czasach Rzeczpospolitej Obojga Narodów do Persji wyruszali kupcy, posłowie i duchowni. Lwowski kupiec i dyplomata Ormianin Sefer Muratowicz, urzędnik kancelarii królewskiej w początkach XVII w. jako wysłannik Zygmunta III Wazy omawiał na dworze szacha Abbasa I plany koalicji antytureckiej. Zakupił dla polskiego monarchy dywany, namioty i broń.

Wyjątkowym świadectwem ówczesnych kontaktów jest Biblia Maciejowskiego – XIII-wieczny francuski rękopis zdobiony miniaturami (dziś przechowywany w Nowym Jorku). W XVII w. trafił do rąk kardynała i arcybiskupa gnieźnieńskiego Bernarda Maciejowskiego, który w 1608 r. podarował go szachowi Abbasowi I. Jak głosi legenda, szach był życzliwy chrześcijanom, a nawet miał potajemnie przyjąć chrzest. W Isfahanie dodano do manuskryptu komentarze w języku perskim, przekształcając go w dokument o wielokulturowym charakterze.

W XVIII w. jezuita Juda Tadeusz Krusiński spędził blisko 20 lat na dworze Safawidów w Isfahanie. Był świadkiem upadku dynastii pod ciosami Pasztunów i opisał te wydarzenia w dziele „Historiae Persicae".

W czasach nowożytnych Iran przyciągał zarówno anonimowych migrantów, jak i znane postacie. Ferdynand Goetel, w dwudziestoleciu międzywojennym literat i członek PEN Clubu, ▶

© INSTYTUT POLSKI W LONDYNIE/FUNDACJA OŚRODKA KARTA

eprasa.pl 2a630d192f

▶ w książce „Przez płonący Wschód" wydanej w 1922 r. wspominał właścicieli Hotelu Warszawskiego w Maszhadzie. Spotkał ich, kiedy uciekał przez Iran z ogarniętej rewolucją Rosji.

Wśród znanych postaci był architekt Władysław Horodecki, autor m.in. projektu domu z chimerami w Kijowie. W Teheranie zaprojektował reprezentacyjny dworzec kolejowy – symbol modernizacji za rządów Rezy Szaha. Horodecki zmarł w Iranie w 1930 r. i został tam pochowany na katolickim cmentarzu Dulab.

Do Iranu trafiły też podróżniczki – Maria Ratuld-Rakowska, autorka „Podróży Polki do Persyi" (1904 r.), oraz Maria Mikorska, która opublikowała reportaż „Derwisze na asfalcie" (1939 r.). Obie opisywały to państwo z autentyczną ciekawością.

Niezwykłym przypadkiem byli członkowie jazzbandu Jolly Boys, którzy w 1939 r. przybyli na ślub Mohammada Rezy Pahlawiego. Po wybuchu wojny zostali w Iranie i współtworzyli jego kosmopolityczną scenę muzyczną. Grali w luksusowym Palace Hotel, a potem także na imprezach wojskowych. Nagrali dwie płyty z perskojęzycznymi wersjami „La Paloma" i „Solamente una vez". Perkusista Igo Krischer po wojnie trafił do armii izraelskiej, potem do USA.

Polacy byli w Iranie obecni także dzięki handlowi i przemysłowi. Pozostały po nich ślady w języku perskim. I tak np. określenie *warszo* oznaczające wyroby platerowane pochodzi od Warszawy – siedziby Towarzystwa Akcyjnego Fabryk Metalowych „Norblin, Bracia Buch i T. Werner", eksportującego do Iranu. Franciszek Machalski, iranista, który dołączył do armii Andersa i pozostał w Iranie do 1946 r., wspominał fabrykę Hadżiego Mohammada Hosejna Rahimzadego, gdzie zatrudniano warszawskich specjalistów, m.in. Jana Tyburca, który kierował tamtejszą polerownią. Wzięciem cieszyły się też gięte krzesła z Fabryki Mebli Giętych „Wojciechów" znane w Iranie jako *sandaliha-je lahestani* – krzesła polskie. Produkty te zdobywały nagrody na wystawach światowych i były uznawane za symbol luksusu. Określenie *lahestani* (polski) zaczęło oznaczać w Iranie dobrą jakość.

Mimo wszystko nie powstała w Iranie Polonia. Większość Polaków opuściła ten kraj jeszcze przed końcem drugiej wojny światowej. Udali się do Indii, Afryki, Nowej Zelandii czy Meksyku; w przypadku żołnierzy szlak prowadził przez Irak do Włoch. W Iranie pozostały groby. I pamięć. A i ta stopniowo zanikała.

Aż w 1983 r. reżyser Chosrou Sina'i odkurzył temat w filmie dokumentalnym „Marsije-je gomszode" (Zapomniane requiem). W Polsce pokazany dopiero 25 lat po premierze przyniósł autorowi Order Zasługi RP oraz medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Reżyser zainspirowany odnalezieniem na cmentarzu Dulab grobów z napisami w nieznanym języku przez 12 lat zbierał relacje, archiwalne zdjęcia i dokumenty. Szczególne miejsce zajmuje w jego filmie rozmowa z Anną Borkowską – nauczycielką śpiewu i aktorką, która wyszła za mąż za oficera irańskiej policji i przyjęła nazwisko Afchami Mohadżer. Przez lata była znana w Teheranie z działalności artystycznej i pedagogicznej. Bohaterką innego filmu dokumentalnego w reżyserii Narges Charqani – „Madame" – została Maria Bajdan ewakuowana z Syberii jako dziecko.

Znamy też inne Polki, które pozostały w Iranie, w tym Emilię Stelach i jej córkę Helenę. Emilia przez wiele lat prowadziła pracownię krawiecką w Teheranie, a Helena spisała – z pomocą męża Mohammada Alego Nikpura – swoje wspomnienia w książce „Az Warszo ta Tehran" (Z Warszawy do Teheranu) wydanej w języku perskim i uznanej za ważny głos w irańsko-polskim dialogu pamięci.

Irańczycy nie do końca wiedzieli, dlaczego tysiące Polaków napłynęły z ZSRR. W państwie podlegającym brytyjsko-radzieckiej kontroli nie można było otwarcie mówić o wywózkach. To właśnie te niedopowiedzenia wyjaśniali po latach irańscy dokumentaliści i pisarze. W sztuce Rezy Qasemiego „Twój ruch, Merkucjo!" (1990 r.) bohaterka tłumaczy swój wojenny pobyt w Iranie lakonicznie: „Matka wsiadła ze mną do pociągu i tak dotarłyśmy do Teheranu".

W szerszej świadomości Irańczyków temat powrócił za sprawą historyczki sztuki Parisy Damandan. W isfahańskim atelier fotograficznym „Szarq" odnalazła pudełka opisane *Lahestaniha* (Polacy), a w nich ok. tysiąca szklanych negatywów z lat 1942–44. Przedstawiają dzieci w odświętnych ubraniach, kobiety w eleganckich sukniach, żołnierzy w mundurach – sfotografowanych przez Abolqasema Dżaliego. Damandan poświęciła dekadę na digitalizację i opracowanie tej kolekcji, co zaowocowało wydaniem w 2010 r. albumu „The Children of Esfahan – Polish Refugees in Iran" (Dzieci z Isfahanu – polscy uciekinierzy w Iranie) oraz wystawami zorganizowanymi w Iranie wspólnie z Ambasadą RP i Instytutem Adama Mickiewicza.

Polacy obecni w Iranie w czasie wojny znaleźli też miejsce w irańskiej literaturze. Powieść „To be Esfehan baz chahi gaszt" (Powrócisz do Isfahanu, 2021 r.) autorstwa Mostafy Ensafiego opowiada m.in. o studentce z Polski, która szuka śladów swojej babki, wojennej uchodźczyni. Tytuł nawiązuje do wiersza Stanisława Balińskiego – polskiego dyplomaty w Iranie w latach 20. XX w. Jego wiersz „Powrócisz do Isfahanu" kończy się słowami: „Niebo się zniży, kopuły zaleje płynnym szmaragdem,/ Podasz mu oczy pogodne. Będziesz szczęśliwy. Naprawdę".

Pamięć o Polakach jest też obecna w irańskim... teatrze religijnym. Piotr J. Chełkowski, iranista, profesor Uniwersytetu Nowojorskiego, podczas jednej z podróży w latach 60. XX w. trafił w wiosce nad Morzem Kaspijskim na obchody święta Aszury. Ku jego zdumieniu w lokalnym przedstawieniu *ta'zije*, opowiadającym o męczeństwie Husajna, wnuka Muhammada, pod Karbalą w 680 r., pojawiła się... delegacja polskich uchodźców. Choć aktorzy mówiący „po polsku" używali raczej fonetycznej imitacji języka, nie to było istotne. Teatr muharramowy od wieków łączy wydarzenia religijne z lokalnymi i historycznymi motywami. Nikt nie widział sprzeczności w tym, by zestawić tragedię Karbali z losem polskich uchodźców. Nawet jeśli Polacy pojawili się tylko na chwilę – zostali zapamiętani.

MATEUSZ M. KŁAGISZ

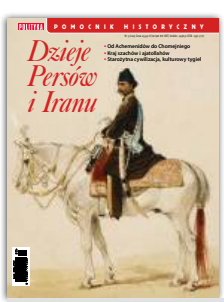

KUP TERAZ

Polecamy nasz nowy Pomocnik Historyczny
„DZIEJE PERSÓW I IRANU".
Już dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 2a630d192f

Przed polowaniem, 1958 r.

Wilk wyjęty spod prawa

Tępienie wilków wszelkimi sposobami nakazano w Polsce 70 lat temu. Zabijać je mógł każdy. Nagrody za martwe zwierzęta były tak wysokie, że niektórzy dorabiali miesięcznie dodatkową pensję.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

W zarządzeniu podpisanym w 1955 r. przez ministra leśnictwa Jana Dąb-Kocioła opublikowanym w Monitorze Polskim czytamy: „W województwach, w których występują wilki, prezydia rad narodowych będą do czasu ich wytępienia wstawiać corocznie do budżetu odpowiednie kwoty przeznaczone na: (...) budowę pułapek, podwody, wynagrodzenie dla tropicieli, koszty tropienia związane z zakupem i wykładaniem padliny (...), nagrody za ubicie wilków oraz wybranie wilczych szczeniąt z gniazd i ich zniszczenie". Główny cel akcji – redukcja *Canis lupus* do takiej liczby, by móc odbudować zachwianą populację jelenia.

Władze uznały, że trzeba położyć kres atakom wilków na zwierzęta leśne i gospodarskie. Liczebność tych drapieżników w Polsce szacowano wówczas na ok. 1,5 tys., a przekonanie o ich czarnym charakterze tkwiło w głowach tak samo mocno jak w średniowieczu.

Na apel władz regionalnych w Rzeszowie jeszcze w tym samym roku zorganizowano dla chętnych grupowe wyjazdy w Bieszczady, żeby wspomóc miejscowych myśliwych. W walkę zaangażowały się całe rodziny. Mężczyźni tropili, a żony i córki robiły tzw. fladry, czyli sznury z doczepionymi kawałkami czerwonego płótna. Fladrowanie terenu było w tamtym czasie najskuteczniejszą metodą osaczania drapieżników, które bały się przekroczyć linię z łopoczącym jaskrawokolorowym materiałem.

„Lubelszczyźnie grozi plaga krwiożerczych bestii". „Czas rozprawić się z leśnymi bandytami" – krzyczały prasowe tytuły. W grudniu 1957 r. do pomocy myśliwym zaangażowano śmigłowce. Liczebność gatunku *Canis lupus* szacowano wówczas w województwie lubelskim na ok. 170 sztuk. Niby nie tak dużo, a jednak – jak skrzętnie policzono – wilki w ciągu trzech miesięcy „porwały i pożarły 116 owiec, 4 jałówki i świnię". Strat w zwierzynie płowej nie podano, za to pisano z niepokojem, że w tymże 1957 r. ubito zaledwie 51 wilków.

Z początkiem lutego 1958 r. na nadbużańskie bagna wyleciały samoloty z aeroklubów lubelskiego i łódzkiego. Piloci przez radiostacje informowali myśliwych o zauważonych drapieżnikach. Ci natychmiast fladrowali dany rejon i czekali, aż zwierzęta wyjdą pod lufy. Przez blisko tydzień z kukuruźników sypał się na wilki grad ołowiu, lecz i tak – ku niezadowoleniu łowców – część drapieżników zdołała umknąć z Polski do ZSRR, a te, które zostały, zaszyły się w niedostępnym gąszczu.

Wyruszano w las na urlopie, po godzinach pracy, ale też w czasie pełnienia obowiązków w przedsiębiorstwach i instytucjach. Ich szefostwo na prośbę rejonowych komisarzy do walki z wilkami chętnie zwalniało polujących podwładnych, a nawet wysyłało ich na trzymiesięczne płatne urlopy. Dostawali pensję oraz 1000 zł za uczestnictwo w łowach, niezależnie od wyników. A jeśli udało się im odstrzelić choćby jednego wilka – inkasowali kolejne pieniądze.

Oprócz setek zwykłych myśliwych w obławach chętnie brali udział dyrektorzy, naczelnicy, prezesi, partyjni sekretarze. Był to bezwzględny wyścig po kasę. ▶

© ANDRZEJ MARCZAK/FORUM

eprasa.pl 2a630d192f

▶ W 1958 r. Polska Agencja Prasowa informowała, że w pierwszym kwartale zlikwidowano w Polsce ponad 200 wilków, ale „plaga drapieżnych szkodników" nie maleje: „Wiosną (...) zaczęły się szybko rozmnażać. (...) Jak szacują fachowcy z Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, na terenie kraju grasuje około 1000 wilków", z czego tylko w województwach rzeszowskim, lubelskim, białostockim i olsztyńskim „znajduje się ponad sto gniazd wilczych".

W różnych częściach świata wilki zwracały się przeciwko ludziom, jednak owe przypadki dotyczą zamierzchłych czasów. W europejskich rejonach Rosji w latach 1870–87 szare drapieżniki zagryzły podobno aż 1445 osób. Doniesienia o rozszarpanych ciałach pojawiały się także w XVIII-wiecznej Francji oraz w Szwecji, Norwegii i Finlandii. Przyrodnik i dziennikarz Adam Wajrak pisze w książce „Wilki", że skandynawskim naukowcom udało się doliczyć w ciągu 300 lat 94 przypadków śmierci ludzi, o które obwiniono wilki. Dodaje jednak, że wiarygodność przekazów publikowanych w ówczesnej prasie może budzić wątpliwości. Wśród ofiar miały być głównie dzieci, a w tamtym okresie w Europie ich śmiertelność była bardzo wysoka. Umierały z powodu chorób, niedożywienia czy wad genetycznych, a wilki mogły jedynie żywić się ich zwłokami.

Wilcze rodziny regularnie wybijano od stuleci także na innych obszarach Europy i Eurazji. Lasy były pełne przemyślnych pułapek zastawianych na znienawidzone drapieżniki, ale przy okazji życie traciły w nich także inne zwierzęta. W Polsce pod zaborami eksterminację „najgorszego z najgorszych" prowadzono nie mniej skutecznie niż w pozostałych krajach. Nic dziwnego, że po pewnym czasie liczebność wilków drastycznie zmalała, najbardziej w Wielkopolsce i Galicji.

Być może wytępiono by je zupełnie, gdyby nie wybuch pierwszej wojny światowej. W ciągu czterech lat gatunek zdołał się odrodzić, ale też został oskarżony o ataki na ludzi. 3 grudnia 1927 r. wprowadzono nowe prawo łowieckie, w którym uznano wilka za szkodnika. Można go było uśmiercać przez cały rok każdą metodą. Już wtedy stosowano trucizny i potrzaski, a szczenięta wybierano z gniazd i na miejscu zabijano.

Wszystko, co stało się później – z przerwą na drugą wojnę światową, gdy znowu z konieczności wilkowi odpuszczono – było tylko kontynuacją znanego już procederu. Z tą jedynie różnicą, że myśliwi dysponowali skuteczniejszą bronią.

W publikacji „Lasy i zwierzyna Gór Sanockich" prof. Wiktor Schramm, pochodzący z podkarpackiej Olchowej, tak pisze o wilku: „Złośliwy, krwiożerczy, dziki drapieżnik nigdy nie miał u ludzi żadnego poszanowania. Był wręcz znienawidzony: twór diabelski, nieszlachetny, mający w sobie coś brudnego, coś z upiora. Na wilki się nie polowało, wilki się tępiło, jak tylko można: bronią i podstępem, zdradą. Strzelało się, biło pałką i widłami, zastawiało sidła, oklepce, kopało się liczne wilcze doły, truło się".

W tym samym czasie pojawiły się też głosy biorące wilka w obronę. W listopadzie 1935 r. w Wilnie wyszło drukiem opracowanie „Myślistwo wschodnie – księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego". Autor Wacław Podhorecki przekonywał: „Wyrzucony poza nawias ustawy łowieckiej, tępiony, traktowany jak rabuś i szkodnik, wilk jest najpiękniejszym przedstawicielem naszej zwierzyny łownej. Potęga jego zmysłów i rozum zmusza myśliwego do użycia całego arsenału wiedzy, techniki i doświadczenia łowieckiego dla zdobycia tego pięknego trofeum. Gdzie wilki, jak na terenach głębokiej Rosji, przebywają masowo, słusznie mogą być uważane za klęskę. (...) Gdzie wilk, tak jak u nas, masowo nie przebywa, klęską ludności nie jest, a wszystkie szkody przypisywane wilkom są przesadzone i nie daleko odbiegają od szkód czynionych przez inne drapieżniki".

Polscy łowcy mieli swoje sposoby zabijania wilków, ale chętnie korzystali też z innych. „Służba leśna województwa rzeszowskiego przystępuje do akcji tępienia wilków przez zastosowanie metody prof. Zajcewa z ZSRR. Metoda ta, polegająca na truciu (...) luminalem, czyli środkiem nasennym (który w większych dawkach jest silną trucizną) – zastosowana będzie w Polsce po raz pierwszy" – informowano w mediach.

Pod ambony wywlekano padłe krowy i konie nafaszerowane trucizną. Egzekutorzy mieli dobijać podtrute wilki, ale też pilnować, by do padliny nie dobrały się inne gatunki. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie ostrzegało w komunikacie: „Ponieważ luminal jest trucizną bardzo niebezpieczną również dla człowieka – nie należy konsumować dziczyzny niewiadomego pochodzenia".

Żeby dorosły wilk padł po zjedzeniu zatrutego truchła, musiał przyjąć pokaźną dawkę luminalu, lecz nawet wtedy skutek nie był pewny. Zwykle wilki wymiotowały i po jakimś czasie wracały do zdrowia. Inne chodziły półprzytomne, stając się łatwym celem dla ich prześladowców, a pewna liczba nie mogła o własnych siłach ruszyć się spod nęciska. W końcu po mękach umierały bądź też ginęły od kuli łowcy, który kończył swój dyżur w czatowni.

Oficjalnie zgodę na trucie wilków luminalem minister leśnictwa i przemysłu drzewnego wydał 6 czerwca 1960 r., choć zapowiedzi tej metody pojawiły się w gazetach dwa lata wcześniej. Uznano, że samo odstrzeliwanie, chwytanie w sidła i wybieranie szczeniąt z gniazd to za mało, by poradzić sobie z watahami.

Stanisław Kwaśniewski, wojewódzki komisarz do walki z wilkami w Rzeszowskiem, namawiał podwładnych, by nie żałowali przynęty i „zadawali do padliny nóżki cielęce, skoki zajęcze zaprawione śmiercionośną strychniną".

Tym bardziej że drapieżniki nie miały się tak źle. Zimą 1961 r. nawet ich okresowo przybyło, gdy w Czechosłowacji do walki z „wilczą plagą" zaangażowano wojsko i milicję oraz chłopów z państwowych gospodarstw rolnych, najczęściej położonych nieopodal granicy z Polską. W latach 1968–86 według oficjalnych statystyk zabito tam 983 wilki. Zwierzęta, którym udało się uniknąć kuli, umykały na północ.

Najwięksi twardziele ryzykowali utratę zdrowia w czasie nieustannego przebywania w leśnych czatowniach, ponieważ umieli liczyć pieniądze. Według oficjalnego taryfikatora za likwidację wilka na polowaniu indywidualnym państwo wypłacało łowcy 1000 zł. Kiedy wilk padł od śrutu podczas łowów zbiorowych – 500 zł, a w przypadku odnalezienia wilczego gniazda i wybrania młodych – 200 zł. Nie trzeba było mieć uprawnień myśliwskich. Wedle zarządzenia resortu leśnictwa mógł to robić każdy dorosły obywatel Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. W Polsce średnia miesięczna płaca w przemyśle wynosiła w 1955 r. 1100 zł, więc łatwo porównać te dochody. Z czasem jednak zmieniły się warunki, pensje wzrosły, a tropiciele zażądali podwyżek. Wprowadzono je w 1960 r. i w 1964 r. – najpierw do 1200 zł, później zaś do 1500 zł na polowaniu indywidualnym. W ciągu

eprasa.pl 2a630d192f

Wilk upolowany w okolicach Nowego Sącza, lata 50.

© JERZY DĄBROWSKI/FORUM

dekady (od 1956 do 1966 r.) nagrody za skuteczny udział w wyprawach na wilki wyniosły tylko w województwie rzeszowskim prawie milion złotych.

O tym, jak niszczono w Polsce wilcze watahy, długo nie wiedzieli obrońcy zwierząt za żelazną kurtyną. Wprawdzie przeciekały do nich informacje o polowaniach, lecz nie mieli pojęcia o skali oraz o strategiach. Gdy w większości państw Europy Zachodniej wilków już prawie nie było, kraje środkowo- i wschodnioeuropejskie jawiły się jako ich mateczniki.

W Związku Radzieckim i innych państwach komunistycznych wilk przez dekady był zwierzęciem skazanym na śmierć. W ZSRR tępiono go jeszcze zajadlej niż w Polsce z uwagi na większą liczebność. Łowcy radzieccy stali się w latach 50. wzorem dla polskich. To na ich doświadczeniach polegali rodzimi myśliwi, gdy stosowali przynęty z żywym prosięciem, kopali doły z zaostrzonymi palami czy faszerowali chemią wykładane pod ambonami truchła. W ZSRR wilkom nie odpuszczano, a walka z nimi stanowiła – jak pisze ukraiński obrońca przyrody Władimir Borejko – część ogólnego systemu terroru jako uniwersalnego instrumentu rozwiązywania problemów politycznych, socjalnych czy ekonomicznych. Szkodliwość szarych drapieżców przyjmowano *a priori*, bez dowodów, dlatego w ciągu 70 lat istnienia ZSRR zlikwidowano ponad półtora miliona wilków.

W Polsce pod koniec 1966 r. podano, że zabito już tysiąc wilków, ale na tym nie poprzestano. Do boju z drapieżnikami włączano nawet młodzież – na przykład z Leśnej Szkoły Zawodowej w bieszczadzkim Baligrodzie. Uczniowie pomagali we fladrowaniu terenu i brali udział w nagance. Angażowano ponadto junaków z Ochotniczych Hufców Pracy, strażaków i żołnierzy.

W kwietniu 1974 r. w tygodniku „Podkarpacie" opublikowano jeden z pierwszych głosów krytycznych wobec eksterminacji wilków. Artur Bata w tekście „Zabijać czy chronić" napisał: „W swej zaborczej i bezwzględnej ekspansji człowiek musiał prędzej czy później napotkać wilka, a zetknięcie tych dwóch drapieżników oznaczało konflikt. Na wilku ciążyło piętno szkodnika lasów, zwierzęcia groźnego również dla człowieka, i dlatego wyjęto go spod prawa. W przeciwieństwie jednak do człowieka – wilk nie spowodował dotychczas zagłady żadnego gatunku zwierząt, a traktuje się go tak, jakby sama jego obecność zagrażała istnieniu cywilizacji. Lęk przed wilkiem, a także słaba znajomość jego biologii i ekologii pociągały za sobą stale niefortunne decyzje. W latach 1955–1972 zabito na Rzeszowszczyźnie 3316 wilków. W roku 1973 pogłowie (...) spadło do około stu sztuk, a mimo to nadal brak naukowych podstaw do określenia, jaka liczba żyjących na wolności wilków stwarza zagrożenie dla innej zwierzyny (...). Opinie, na podstawie których podejmuje się ważkie decyzje dotyczące losu tych drapieżników, bardziej przypominają orzeczenia znachora niż rzeczową diagnozę lekarską".

W tym czasie Polska znalazła się wśród pięciu państw europejskich, w których wilkom groziła totalna zagłada. Autor publikacji przestrzegał, że jeśli zostanie wprowadzone w życie zarządzenie Ministerstwa Leśnictwa z końca 1973 r. o dalszym ograniczaniu liczebności gatunku *Canis lupus*, wilki staną się w Polsce wspomnieniem podobnie jak w Skandynawii, gdzie wybito je niemal zupełnie. „Człowiek trafił na konkurenta w zabijaniu zwierząt i nie chce się z tym pogodzić. Przeciwstawiając się mu, wybiera środek najprymitywniejszy i najskuteczniejszy – przemoc. (...) W uprzemysłowionych Włoszech mają o ponad sto procent wilków więcej niż u nas, w Bułgarii jest ich około 800, tyle samo w Grecji. Ale tam są te zwierzęta chronione bardzo pieczołowicie. (...) W Bieszczadach każde polowanie na wilki przemienia się w krucjatę. Słowo wilk jednoczy ludzi, wzbudza w nich żądzę zabijania, wywołuje dreszczyk emocji. To znów wina zakorzenionych w umysłach błędnych pojęć, literackich fantazji, braku obiektywizmu" – konkludował Bata.

Od listopada 1975 r. wilki miały w Polsce okres ochronny, ale ograniczenie w łowach nie dotyczyło województw krośnieńskiego, przemyskiego i nowosądeckiego. W marcu 1977 r. wspomniany dziennikarz „Podkarpacia" pisał, że po przywróceniu wilkowi słusznej nazwy zwierzęcia, nie przestał on być dla myśliwych (i nie tylko) wrogiem numer jeden: „Nigdy nie zgodzę się z metodami tępienia wilków. Obecnie może to robić praktycznie każdy (...), nawet najbardziej bestialsko, w zamian czeka go jeszcze nagroda w wysokości 3 tys. zł (...). Nagonka na wilka (...) nie odpowiada ani interesom społecznym, ani normom etycznym (...). I o tym należy przypominać zaślepionym nienawiścią wrogom wilka".

Canis lupus przestał być w Polsce szkodnikiem i został zwierzęciem łownym w 1975 r., trzy lata po oficjalnym zakończeniu akcji wilczej, ale w województwach krośnieńskim, przemyskim i nowosądeckim dopiero sześć lat później. Od 1995 r. wilki można było odstrzeliwać w województwach: krośnieńskim, przemyskim i suwalskim (z okresem ochronnym od 1 marca do 31 października). Dopiero w 1998 r. rozporządzeniem ministra środowiska objęto je ścisłą ochroną.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

eprasa.pl 2a630d192f

film

Gorzko, ale celnie 5/6

Teściowie 3, reż. Jakub Michalczuk, prod. Polska, 90 min

Walka klas w nowoczesnym ujęciu, ośmieszająca napięcia i kontrasty między średnio uprzywilejowanymi a niższą warstwą społeczną, stała się specjalnością młodej polskiej komedii. Jak błyskotliwie i inteligentnie to wykorzystać, by zdekonstruować ludową historię, pokazali twórcy serialu „1670", którego kontynuacja jest najgoręcej wyczekiwaną streamingową premierą sezonu (piszemy o niej na s.12). Być może nieprzypadkowo zbiega się ona z trzecią odsłoną wielkiego kinowego przeboju „Teściowie", opowiadającego dla odmiany o konfliktach skłóconych rodzin pielęgnujących wyższościowe resentymenty miastowej inteligencji oraz kompleksy przypisywane wsi. Mimo sukcesu kasowego „Teściowie 2" nie byli udanym sequelem, za to trójka to majstersztyk dorównujący pod każdym względem części pierwszej. Punktem wyjścia jest wystawna ceremonia chrzcin w podlaskim lokalu o swojsko brzmiącej nazwie Tropical, gdzie najbliżsi krewni w liczbie 120 gości tradycyjnie zrzucają się na prezenty. Ciocia może załatwić bezpłatnie diagnozę w kierunku spektrum, babcia – założyć konto, oczywiście z hojną wkładką… Ale główny nurt „Teściów 3" toczy się wokół powrotów i rozstań dojrzałych małżeństw po przejściach. Gwiazdorska obsada nie zawodzi. Wzruszająco tragikomiczny Adam Woronowicz heroicznie oddaje dramat upokorzonego męża. **Izabela Kuna** fenomenalnie pokazuje huśtawkę emocjonalną twardej, przedsiębiorczej gospodyni. Maja Ostaszewska z laboratoryjną precyzją roztacza aurę sfrustrowanej singielki, udającej mistrzynię hygge. A Marcin Dorociński nie zawodzi w roli podstarzałego amanta, którego rzuciła młodsza o pokolenie partnerka. Na drugim planie ostro szarżują Magdalena Popławska i Wojciech Mecwaldowski, pilnując, by sentymentalna nuta (stara miłość nie rdzewieje) znalazła równowagę w zdecydowanie bardziej farsowym tonie. Marek Modzelewski, pomysłodawca i scenarzysta całej serii, zadbał i o to, by nowoczesność nie odbiegała za daleko od uwielbianej przez Polaków tradycji fredrowskiej, dzięki czemu mogą się w tym portrecie straconych złudzeń przeglądać różne pokolenia cyników i romantyków.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Siła wiary 3/6

Triumf serca, reż. Anthony D'Ambrosio, prod. Polska, USA, 118 min

O takich filmach zwykło się mówić: edukacyjne, ilustracyjne albo szkolne. Zrealizowane w słusznej sprawie, przyciągające nieskomplikowaną dramaturgią, unikające kontrowersyjnych treści – w tym przypadku chodzi o hołd złożony świętości ojca Maksymiliana Kolbego. Kwestia antysemityzmu w wydawanym przez zakonnika czasopiśmie „Rycerz Niepokalanej" zostaje w „Triumfie serca" przemilczana. Życiorysy i postawy więźniów dzielących celę śmierci tworzą swego rodzaju symboliczną otoczkę, niekoniecznie odpowiadającą prawdzie historycznej. Film skupia się na ich cierpieniu. To pasja ukazująca agonię dziesięciu niewinnie skazanych w odwecie za ucieczkę z Auschwitz jednego z osadzonych. Jak wiadomo, franciszkanin znalazł się w bloku śmierci dobrowolnie. W zamian za oszczędzenie Franciszka Gajowniczka zaproponował lagerführerowi Karlowi Fritschowi swoje życie. Komendant traktuje to jako wyzwanie. Stawką jest złamanie Kolbego. Dla duchownego to podróż w głąb śmierci i poza jej granice, aby ocalić człowieczeństwo. Nie tylko swoje. Nie jest to pierwszy film o męczeństwie Maksymiliana Kolbego. **Marcin Kwaśny** w roli świętego Kościoła katolickiego wypada nie gorzej niż Edward Żentara w dramacie Zanussiego czy Adam Woronowicz w „Dwóch koronach". Dla młodych widzów bombą emocjonalną będzie wątek martyrologiczny. J.W.

eprasa.pl 2a630d192f

Breslau, nie Berlin 4/6

Breslau, scen. Magdalena Żakowska i Bartosz Janiszewski, reż. Leszek Dawid, 8 odc., Disney+, od 12 września

Pierwszym polskim serialem platformy Disney+ jest produkcja ATM Grupy osadzona w niemieckim Wrocławiu trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej i chwilę przed rozpoczęciem XI Igrzysk Olimpijskich. Ich gospodarz, faszystowska Rzesza, próbuje pokazać się światu jako kraj cywilizowany, wolny od antysemityzmu i innych form przemocy. Stąd rządzący miastem bezwzględny komendant SS (**Ireneusz Czop**) m.in. nakazuje żydowskim właścicielom biznesów usunięcie z nich oznaczeń, które wcześniej polecił im narysować. Komisarz Franz Podolsky (**Tomasz Schuchardt** – rozmowa z aktorem na s. 78) próbuje ignorować narastający faszyzm, ma własne kłopoty, w które regularnie pakuje go typowo polski temperament, nałogi, kodeks moralny (którym zastępuje wadliwe prawo) oraz wybryki arystokratycznej żony (Sandra Drzymalska). Ta ostatnia potrafi też być wsparciem. Ostatecznie komisarza broni jego skuteczność, która jest szczególnie w cenie, gdy w Breslau zaczyna grasować seryjny morderca, co psuje Niemcom piar. „Breslau" – oceniany po czterech odcinkach – to serial porządnie zrealizowany, z dobrze napisanymi bohaterami, świetnie zagrany i poprawny – dla jednych zaledwie, dla innych aż. Ten świat znamy choćby z kryminałów Marka Krajewskiego; brakuje szczypty eksperymentu, wzorem choćby świetnego „Babylon Berlin". To Breslau, nie Berlin.

ANETA KYZIOŁ

Jeszcze więcej krwi 4/6

Dexter: Zmartwychwstanie, twórca serii: Clyde Phillips, 10 odc., SkyShowtime, premiera 12 września

Dexter Morgan wydaje się niezniszczalny niczym czarne charaktery z klasycznych horrorów, zresztą w pewnym momencie pojawia się w scenariuszu stosowny żart na ten temat. Poprzedni sezon („Nowa krew") zakończył się przecież jego śmiercią – jak się okazuje, pozorną. Po kilku tygodniach Dexter (jak zawsze popisowo zagrany przez **Michaela C. Halla**) budzi się ze śpiączki i choć wciąż leczy rany, wyrusza do Nowego Jorku w poszukiwaniu swojego syna Harrisona (**Jack Alcott**). W mieście trafia zaś na nieformalny zjazd seryjnych morderców, zorganizowany przez ekscentrycznego miliardera Leona Pratera (Peter Dinklage). W tym samym czasie tropem obu Morganów podąża dawny znajomy Angel Batista (David Zayas), kapitan policji w Miami, który wie, że Dexter jest seryjnym mordercą, lecz wciąż nie potrafi tego udowodnić. Sporo w „Zmartwychwstaniu" wątków, poprowadzone jednak zostały z wielką biegłością i gładko się uzupełniają. To serial, który potrafi wykorzystać swój potencjał. Nie polega wyłącznie na powtarzaniu starych pomysłów, jest posępny, gdy trzeba, ale też coraz więcej tu humoru – czasem absurdalnego – zabawy schematami oraz moralnych i etycznych pułapek zastawianych na widzów. Umieranie najwyraźniej „Dexterowi" służy – to najlepszy sezon tego serialu od lat.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© ADRIAN CHMIELEWSKI, RAFAEL FILM, ATM GRUPA S.A. / DISNEY+ / POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ, SKYSHOWTIME, MAT. PRASOWE CK ZAMEK

Gdzie ci mężczyźni... 5/6

Drwal. Historie o męskości, wystawa zbiorowa, Centrum Kultury Zamek, Poznań, do 30 listopada

Równie ciekawy jak sama wystawa jest jej kontekst. Otóż gmach poznańskiego zamku powstał na początku XX w. dla cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Monumentalna budowla stała się symbolem patriarchalnego porządku społecznego i militaryzmu. A sam cesarz zawsze starał się być uosobieniem maskulinistycznej siły i dominacji. Zwano go „drwalem z Doorn", bo wokół tego holenderskiego miasta, które było ostatnim przystankiem w jego życiu, z perwersyjną satysfakcją zajmował się wyrębem drzew. Jego postać jest więc nieco prowokacyjnym, przewrotnym pretekstem tej wystawy. Ekspozycyjna narracja nie toczy się wokół prostej opowieści o tym, czym jest współczesna męskość, i co, poza pustą formą, pozostało z owej „brody drwala". Kurator wystawy ambitnie rozszerzył pole obserwacji o wątki znacznie odleglejsze. „Wilk" Honzy Zamoyskiego to pretekst do dyskusji o postrzeganiu świata przez artystę, „Sonia" Olafa Brzeskiego podejmuje w niekonwencjonalny sposób temat współczesnego spektrum tożsamości płciowych, a Iza Tarasewicz zabiera nas w podróż do posthumanistycznego świata przyszłości, gdzie tradycyjne podziały płciowe „skażone" technologią zapewne stracą sens. Warto czerpać z bogatych materiałów towarzyszących wystawie, przede wszystkim zapoznać się z wiele wyjaśniającymi rozmowami z samymi artystami. Ale też wziąć udział w przebogatym programie towarzyszącym: warsztatach, debatach, wykładach, performansach, akcjach artystycznych.

PIOTR SARZYŃSKI

Krzysztof Maniak, „Pień", 2018 r.

eprasa.pl 2a630d192f

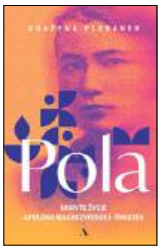

Pola przyszpilona 4/6

Grażyna Plebanek, **Pola. Ukryte życie Apolonii Machczyńskiej-Świątek**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 328

Przemilczaną opowieść o swojej babci Grażyna Plebanek skleja z urywków, nielicznych dat, wyblakłych wspomnień i fotografii, które też się gdzieś zawieruszają. Apolonię Machczyńską-Świątek odkryła niemal przypadkiem. Raz ojciec wyznał jej, że „babcia Irenka nie jest jej prawdziwą babcią", a była nią właśnie Apolonia, nazywana Polą, Polką. Tak subtelnie uchyliły się wrota do nieznanej przeszłości. Pola ukrywała Żydów, sąsiad ją wydał, Niemcy rozstrzelali. Tyle było wiadomo. I sporo było znaków zapytania. Ale Plebanek stara się opowiedzieć o Poli nie tyle przez pryzmat bestialskiej śmierci, ile życia. Wielu świadków ani świadectw nie ma, są ślady i miejsca, które autorka przemierza z notatnikiem. Takim miejscem były Plebanki w Kocku, majątek, który połączył kilka pokoleń, mimo że nie było tu prądu i wałęsały się myszy. Dziś wałęsają się duchy. Takim śladem był życiorys Poli sporządzony z myślą o studiach, listy. Ale też wzmianki w IPN. I nieopatrznie wypowiadane zdania, które jeszcze mieszają w chronologii i faktach. „W moich teczkach jest wiele początków", przyznaje Plebanek, która latami starała się „przyszpilić" historię Poli, jej rodziców, męża, dzieci. Gdy pojawiają się luki, snuje domysły i niczego nie rozstrzyga. Książka wpisuje się w trend badania losów swoich przodkiń, „babek" i własnej podziurawionej przeszłości. Zresztą nie tylko własnej, bo to kawałek polskiej opowieści, którą nadal łatwiej wyprzeć, niż odtworzyć. Ta jest poszatkowana, pamięć Plebanek i jej bliskich składa się z urywków. I dlatego jest najuczciwsza, jak to tylko możliwe.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

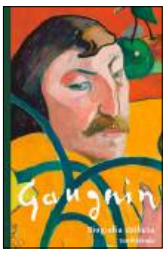

Na koniec świata 4/6

Sue Prideaux, **Gauguin. Biografia dzikusa**, przeł. Kamila Jansen, Znak Koncept, Kraków 2025, s. 496

Wydawać by się mogło, że o Paulu Gauguinie napisano wszystko. Okazuje się jednak, że ciągle można coś dodać do portretu jednego z gigantów sztuki, którzy zmienili jej obraz w ostatnich dwóch stuleciach. Wszystko dzięki niedawno odnalezionemu rękopisowi artysty, który przez sto lat uważano za zaginiony. Ten quasi-pamiętnik powstał pod koniec życia twórcy. Rzucił nowe, lepsze światło na budzący kontrowersje żywot Francuza. Pozwolił napisać pełniejszą biografię. Książka stanowi portret człowieka na tle epoki – dynamicznie zmieniającego się świata XIX w., czasów postępu technologicznego, rewolucji oraz mało chlubnych podbojów kolonialnych. Sue Prideaux stworzyła kronikę wzlotów i upadków wielkiego malarza, którego życie miało w gruncie rzeczy wymiar tragiczny. Naznaczone było rodzinnymi dramatami, w tym śmiercią dzieci. Poznajemy człowieka, który w poszukiwaniu wyobrażonego raju udał się dosłownie na koniec świata. Porzucił Europę i popłynął na Tahiti. Ale chyba nie do końca odnalazł tam to, czego szukał. Biografia ma swoje lepsze i gorsze momenty. Najciekawsze są rozdziały poświęcone latom spędzonym na dalekich wyspach Pacyfiku. Jednym z większych zaskoczeń w życiorysie artysty może być dla odbiorców jego sztuki epizod dziennikarski – Gauguin był bowiem człowiekiem wielu talentów. Historię życia twórcy przeplatają liczne zdjęcia jego dzieł, na czele z artystycznym credo – wielkim obrazem zatytułowanym „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?". Właśnie te trzy kwestie świetnie podsumowują twórczość tytułowego „dzikusa".

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

Klęska ze swadą 5/6

Arturo Pérez-Reverte, **Przylądek Trafalgar**, przeł. Joanna Karasek, Art Rage, Warszawa 2025, s. 208

Hiszpański pisarz Arturo Pérez-Reverte znów sięga po historię wojen napoleońskich, zabierając czytelników na pokład „Antilli", jednego z okrętów zjednoczonej floty francusko-hiszpańskiej, która walczyła z wojskami Nelsona. „Antillę" autor „Przylądka Trafalgar" wymyślił dla potrzeb fabularnych, ale cała reszta faktów oraz sam przebieg bitwy pod Trafalgarem zostały odtworzone na podstawie bogatej dokumentacji historycznej oraz relacji świadków, którzy ocaleli z jatki u wybrzeży Hiszpanii. Realia życia (czasem dość krótkiego) na morzu odmalowuje z niemal fotograficzną precyzją. Tak drobiazgowo opisuje okręt, na którego pokładzie toczy się akcja, że „Przylądek…" przypomina chwilami marynistyczną odpowiedź na „Rzeczy" Georges'a Pereca. Lecz przecież ten modelarski sznyt kryje prawdziwe ludzkie dramaty: Péreza-Reverte nie interesuje perspektywa dowódców i kapitanów, na bitwę patrzy za to oczami szeregowych marynarzy, często werbowanych w pośpiechu, siłą wyciąganych z knajp, burdeli czy własnych domów, wrzuconych w sam środek wojennego piekła na morzu. Hiszpan pisze z właściwą dla swojej prozy swadą i wisielczym poczuciem humoru, a skrajny naturalizm zabarwia makabrą i groteską. Dla jego bohaterów morze nie jest ani przygodą, ani nawet szansą na wyrwanie się z biedy, a co najwyżej zwiastunem gwałtownej, krwawej i – jeśli los będzie łaskawy – szybkiej śmierci.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS, BE&W, MP (6)

eprasa.pl 2a630d192f

muzyka

Rock niezmordowany 4/6

WaluśKraksaKryzys, **Tematy i wariacje**, Mystic Production

Nowa płyta Sebastiana Łukasza Gugulskiego, czyli artysty o pseudonimie WaluśKraksaKryzys, nie przynosi przełomu na tle jego dotychczasowego dorobku (trzy albumy studyjne), ale trudno też mówić o jakimkolwiek rozczarowaniu. Można powiedzieć, że Waluś konsekwentnie podąża wybranym kiedyś indie-rockowym szlakiem i niewiele wskazuje, by miał go opuścić. Ciężkie gitarowe riffy jak zwykle są tłem dla ważnych tematycznie tekstów z pytaniami o sens kariery i zawodowej rywalizacji (piosenka „Instrumenty finansowe"), z motywami społecznego i psychicznego zagubienia („Derealizacja", „Walka o każdy kolejny dzień"), wpływem dyskursu politycznego na stan ducha („Konfederacja" z łatwym do zapamiętania wersem „media to konfederacja" i gościnnym udziałem Arka Jakubika). Ciekawe, że estetyka rockowa raczej uwypukla, niż miałaby zagłuszać warstwę słowną płyty, za co gratulacje dla producenta Marcina Borsa, który, wraz z wykonawcą i autorem, zadbali o to, że ta estetyka – tyle już razy chowana do grobu – ma się całkiem nieźle i przynajmniej od czasu do czasu odkrywa pola dla artystycznej kreatywności.

MIROSŁAW PĘCZAK

Złodzieje uwagi 5/6

Big Thief, **Double Infinity**, 4AD

Wielkość grupy Big Thief umyka trochę Polakom. Ta wielkomiejska (działają w Nowym Jorku), nowoczesna grupa folk-rockowa może się pochwalić nominacją do Grammy za poprzedni album „Dragon New Warm Mountain I Believe in You", a na nowym – wydanym właśnie „Double Infinity" – nie traci formy. Ma też słusznie opinię świetnej grupy koncertowej, ale Polskę omija, a mimo odejścia basisty Maxa Oleartchika to świetne zespołowe zgranie pozostaje czymś, co odróżnia piosenki Big Thief od songów jej liderki Adrianne Lenker. Ta jest w tej chwili najlepszą w swoim pokoleniu odpowiedzią na Boba Dylana – i co prawda solo bywa ostatnio nawet lepsza (jej album „Bright Future" był drugą najlepszą płytą ubiegłego roku w zestawieniu POLITYKI), to dopisuje na „Double Infinity" świetne zwrotki, często sięgając do rodzinnych historii, i przekonująco je wykonuje. Fantastycznie robi się w drugiej połowie albumu, kiedy Lenker nie ściga się sama ze sobą i w dłuższych, bardziej impresyjnych i transowych utworach takich jak „No Fear" czy „Grandmother" daje pograć kolegom albo błysnąć gościom, choćby śpiewającemu tu Laraajiemu. Całość subtelnie kradnie uwagę słuchacza i zachęca do powtórek.

BARTEK CHACIŃSKI

festiwale

Atrakcje Jesieni

68. Warszawska Jesień,
Warszawa, 19–28 września

Dawno nie było na Warszawskiej Jesieni w takim zakresie teatru muzycznego. Na początek więc prapremiera opery o stolicy „Najlepsze miasto świata" Cezarego Duchnowskiego w Operze Narodowej. Ale też: opera Pierre'a Jodlowskiego „INSULAE" w ATM, spektakle muzyczne w Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Muzeum Etnograficznym, wędrówki z muzyką w Studiu im. Lutosławskiego z SWR Vokalensemble czy nowe spojrzenie na gatunek Pasji przez Piotra Tabakiernika. Kilka znanych zagranicznych zespołów: London Sinfonietta, Ensemble Modern, norweska Cikada i islandzki Nordic Affect. I, jak co roku, orkiestra Filharmonii Narodowej, Orkiestra Muzyki Nowej, Camerata Silesia i European Workshop for Contemporary Music. Tylko w ramach głównego nurtu odbędzie się 58 prawykonań lub pierwszych wykonań w Polsce, w tym 16 zamówień festiwalowych. Plus Mała Warszawska Jesień po raz 15., Warszawska Jesień Klubowo w pięciu odsłonach, a także mnóstwo wydarzeń zwanych międzyfestiwalowymi – m.in. spotkania w ramach Labowej Jesieni w Hashtag Lab czy cykl HerSound w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, prezentujący twórczość kompozytorek.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: **warszawska-jesien.art.pl**

Oko i ucho

20. Święto Niemego Kina im. Anny Sienkiewicz-Rogowskiej,
Kino Iluzjon, Warszawa, 17–21 września

Przez 20 lat warszawski festiwal poświęcony klasykom niemego kina wypracował już wyjątkowy wizerunek. Widzów przyciąga tu w pierwszej kolejności zderzenie archiwalnych filmów i współczesnej oprawy muzycznej na żywo. I tak na początku jubileuszowej edycji zobaczymy najstarszy z zachowanych polskich filmów fabularnych, „Tajemnicę pokoju nr 100", z muzyką Macia Morettiego, Bartosza Tycińskiego i Miłosza Pękali (pierwszy i trzeci z nich to laureaci Paszportów POLITYKI). Galę otwarcia uświetni pokaz niemieckiego klasyka SF „Algol – Tragödie der Macht" (1920 r.) połączony z koncertem T'ien Lai i Marka Pospieszalskiego. Projekcji „Metropolis" Fritza Langa towarzyszyć będzie wykład Tomasza Kolankiewicza, dyrektora FINA, o historii efektów specjalnych. A galę zamknięcia uświetni „Zdrada stanu" (1929 r.) z muzyką duetu Rysy. Wśród innych filmów m.in. „Doktor Mabuse" (znów Lang), wśród muzyków m.in. Hania Derej i Bastarda. Bohaterem hasła tej edycji („Mamy na ciebie OKO") jest pionierski wynalazek Kazimierza Prószyńskiego, kamera-projektor „Oko", ale o uszach organizatorzy nie zapomnieli. BCH

Szczegóły: **www.swietoniemegokina.pl**

eprasa.pl 2a630d192f

Tomasz Schuchardt (ur. 1986 r.) – aktor filmowy i teatralny, absolwent krakowskiej PWST. Sławę przyniosły mu role w filmach „Chrzest" oraz „Jesteś bogiem", za które zdobywał nagrody na festiwalu w Gdyni. Wystąpił m.in. w filmach „Miasto 44", „Hiacynt" oraz „Doppelgänger. Sobowtór" oraz w serialach „Wielka woda" i „Rojst. Millenium". „Breslau" będzie mieć premierę w serwisie Disney+ 12 września.

Złamać bohatera

Cały czas czerpię z tego zawodu ogromną radość. Gdy wchodzę na plan, traktuję to jako święto – mówi aktor Tomasz Schuchardt, który zagrał główną rolę w kryminalnym serialu „Breslau", pierwszej polskiej produkcji Disney+.

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Przed tobą bardzo intensywna jesień. Na festiwalu w Gdyni będą miały premierę trzy filmy, w których zagrałeś, do tego kilka seriali, w tym „Breslau".**

TOMASZ SCHUCHARDT: – Nazbierało się tego trochę. Chociaż powiedziałbym, że to nawet nie jesień, ale trzy ostatnie lata były takie intensywne. To był czas bardzo wytężonej pracy, przez co musiałem odejść z teatru, bo już nie dałem rady łączyć sceny z projektami filmowymi i serialowymi. Zdaję sobie sprawę z wrażenia, że zaraz zacznę wyskakiwać z lodówki. Ale często jest tak, że wystąpiłem gościnnie w jakimś projekcie, jeden, dwa dni zdjęciowe, a w trailerze cały czas pojawia się moja twarz, jakbym zagrał nie wiadomo jaką rolę.

W „Breslau" grasz jednak głównego bohatera, komisarza Franza Podolskiego. Z pochodzenia Polak, pracuje dla niemieckiej policji kryminalnej w przedwojennym Wrocławiu. Jak wyglądały przygotowania do tej roli?

Wszystko zaczęło się jeszcze na etapie prac nad scenariuszem. Zastanawialiśmy się, jak chcemy go pokazać. Najpierw z reżyserem Leszkiem Dawidem, potem z Sandrą Drzymalską, która gra w „Breslau" moją żonę – bo od początku było jasne, że ta relacja będzie tu bardzo istotna. Na pewno podstawową cechą Podolskiego jest sprawiedliwość. Lecz poza tym nie chciałem, żeby to była postać krystalicznie czysta. Chciałem, żeby miał swoje słabości – jest alkoholikiem, pali mnóstwo szlugów, jest porywczy – bo to wszystko jakoś rozpuszcza tę szlachetną stronę jego osobowości. Na tamtym etapie ta miłość była czysta, potem w scenariuszu pojawił się nałóg Sandry, więc mieliśmy ciekawe zderzenie charakterów. Wiedzieliśmy, że między nimi będzie iskrzyć, bo „Breslau" to nie tylko kryminał, to także historia o nałogach, egoizmie, narcyzmie. Ale nawet jak mieliśmy już jakoś określoną tę postać Podolskiego, to ona dalej była budowana w czasie kolejnych spotkań z aktorami: Irkiem Czopem i Przemysławem Bluszczem. Podolsky jako postać zrodził się podczas prób, ze zderzenia mojej wizji z tym, co przynosili inni aktorzy. A to w moim przypadku jest rzadkie, bo zazwyczaj buduję swoich bohaterów we własnej głowie. Choć staram się nie przynosić już za dużo pracy do domu, zwłaszcza od czasu, gdy pojawiły się nasze córki.

Udaje się?

Coraz częściej tak. Jeśli mogę pobawić się z dziećmi, porozmawiać z żoną, to nie

eprasa.pl 2a630d192f

chcę tracić tego czasu na rozkminianie roli. Za to nauczyłem się wykorzystywać wolne chwile. Wyrywam sobie z życia pięć, dziesięć minut, jak jadę po zakupy albo w czasie spaceru z psem, i wtedy mogę analizować w głowie swoją postać. Robię sobie to aktorstwo tak z boku, mimochodem. I wiem, że gdybym postanowił, że dziś jest dzień na myślenie o roli, to nic bym nie wymyślił. To musi przyjść samo. Jak w moim ukochanym wierszu Charlesa Bukowskiego „znaczy chcesz być pisarzem?". To wiersz o pisaniu, ale czytam go przez pryzmat aktorstwa: „jeżeli samo nie wyrywa się z ciebie/ na przekór wszystkiemu,/ nie rób tego".

Z Sandrą Drzymalską spotkaliście się już na planie, ale w „Breslau" po raz pierwszy gracie razem główne role. Teraz kręcicie razem „Lalkę". To wspólne doświadczenie pomaga przy kolejnych filmach?

Tak i nie. Sandra jest niesamowicie czujną aktorką i ma w sobie coś takiego, że role w niej nie zostają. Po zakończeniu zdjęć potrafi się totalnie odciąć i w kolejnym filmie po prostu gra coś innego. Podczas zdjęć do „Breslau" mieliśmy to szczęście, że nasz wątek był kręcony w jednym czasie. Mieliśmy kilkanaście dni zdjęciowych we dwójkę, czasami tylko pojawiał się jeszcze jakiś aktor na planie, na dodatek kręcone to było chronologicznie, więc te emocje się w nas rozwijały. Bardzo się zżyliśmy, poznaliśmy. Możesz założyć w takiej sytuacji, że sporo o drugim człowieku wiesz. Ale spotykamy się rok później na planie „Lalki" i ona gra tak inaczej, że mam wrażenie, jakbym jej nigdy nie poznał. Więc jeśli to nasze wcześniejsze spotkanie pomaga, to w ten sposób, że mamy do siebie zaufanie, na planie między nami „żre". Jednak aktorsko to zupełnie inne doświadczenie.

Franz Podolsky to postać skomplikowana, wielowymiarowa. Starasz się wybierać takie złożone, niejednoznaczne role?

To nie zawsze ja wybieram. Często wybierają za mnie, choć oczywiście ostatecznie zawsze jest ta moja zgoda, że chcę wziąć w czymś udział. Ale jeśli chodzi o ten dualizm, to jest chyba jakaś moja osobnicza cecha. Myślę, że część z tych postaci, które zagrałem, nie była pisana w taki sposób. Po prostu ja sobą to zmieniam. Nawet jeśli mam do zagrania trzy sceny, to szukam tej jednej, w której bohatera mogę złamać. Szukać w nim i dobra, i zła. To się bierze z tego, że ja bym chciał swoim aktorstwem dyskutować z widzem. Lubię, jak widzowie rozmawiają ze mną o moich postaciach. Ale najpierw muszą mieć do nich dostęp, zobaczyć w nich inne istoty ludzkie. A tylko dualizm oddaje człowieka, bo takich zero-jedynkowych jednostek jest bardzo mało. Nawet święty robi czasami coś złego, nawet najgorszy przestępca miewa jakieś ludzkie odruchy. Ja po prostu nie wierzę w bohaterów, którzy nie są w jakiś sposób złamani. Więc tego szukam jako aktor. Jeśli zobaczę w jakiejś scenie potencjał, żeby tę moją postać pogłębić, to będę próbował to od siebie dać.

Co ci daje kostium historyczny jako aktorowi? To dodatkowa maska, za którą możesz się schować, czy utrudnienie, bo wymaga połączenia współczesnej wrażliwości z jakąś historyczną prawdą?

W szkole teatralnej pokłóciłem się kiedyś z panią Anną Polony. Powiedzieliśmy sobie niemiłe rzeczy – chyba się nie spodziewała, że jej odszczekam, a byłem wtedy trochę bezczelny – i postanowiła mnie ukarać. Mieliśmy z nią zajęcia z wiersza sylabotonicznego, każdy miał powiedzieć fragment „Pana Tadeusza". A mnie kazała mówić bardzo technicznie, od średniówki do klauzuli w każdym wersie. „Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi/ Gdzie by jej huk nie doszedł; pomiędzy ciemnemi..." itd. I nie mogłem tego w ogóle interpretować. Miałem całkowity zakaz. Cokolwiek próbowałem zwolnić, wypauzować, to ona rzucała we mnie czymś, co miała pod ręką, i mówiła: „Masz mówić staccato, żołniersko". Trwało to miesiąc, było strasznie monotonne. Zacząłem tracić wiarę, myślałem, czy iść na skargę do dziekana. I gdy już byłem na granicy, pani Polony mówi: „A teraz masz zadanie: powiedzieć ten fragment prozatorsko". Poza rytmem, poza rymami, musiałem połamać ten wiersz. A jednak i tak średniówka i klauzula wypływały spod tej prozatorskiej narracji. I usłyszałem: „Pan Schuchardt już umie mówić wierszem". Dostałem wtedy piątkę.

Dlaczego o tym opowiadam? Bo mam podobne podejście do ról historycznych. Kostium to jedno, ale ja muszę grać prawdę i emocje, i muszę je grać współcześnie, bo przecież nie jestem z tamtych czasów. Jasne, możemy poudawać sobie formę, maniery, etykietę – mieliśmy to wszystko na zajęciach w szkole teatralnej – ale najważniejszy jest ten wewnętrzny rytm, trochę szybszy, fajnie nakręcony. Skup się na nim, a kostium, który dostaniesz później, właduje cię w te formy mimochodem. Kostium pomaga się wczuć w historyczną rolę, ale ja się na nim nie koncentruję.

Jako aktor nie odpuszczasz nawet w lżejszych komercyjnych produkcjach. Zdarza się, że dajesz z siebie więcej, niż teoretycznie pozwala scenariusz?

Muszę dawać z siebie wszystko. Wiadomo, że ważna jest dyspozycja dnia, że czasami jestem przemęczony, mniej czujny, więc umiejętności pozwalają na więcej, a pokazuję trochę mniej. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby nie przekroczyć granicy, za którą nie będę w stanie ogarnąć wszystkiego. Jeśli wezmę za dużo roboty, to przestanę ją dowozić. Dlatego nigdy nie robię dwóch projektów jednocześnie. Jak jeden plan się skończy, to czasami od razu wchodzę na drugi, to prawda. Ale muszę mieć poczucie, że daję z siebie w pracy sto procent możliwości.

Skąd to podejście?

Wyniosłem je ze szkoły teatralnej w Krakowie. Spotkałem tam ludzi, którzy bardzo mocno mnie ukształtowali. Kiedyś Małgorzata Hajewska-Krzysztofik zapytała mnie: „Jak długo chcesz to robić?". Zastanowiłem się, odpowiadam, że chciałbym całe życie. A ona na to: „No właśnie. Jeśli wybierasz coś, co chcesz robić całe życie, to, kurczę, kochaj to, bo inaczej to nie ma sensu". Niby proste zdanie, ale takie budują cię najmocniej. Cały czas czerpię z tego zawodu ogromną radość. Mam w sobie ten głód. Gdy wchodzę na plan, traktuję to jako święto. To było i jest moje marzenie, chcę się tym cieszyć. Niedawno rozmawiałem o tym z moim kolegą z branży. On nienawidzi chodzić na castingi. Nie potrafi się przełamać. Jest dobrym ▶

REKLAMA

© ŁUKASZ BĄK/DISNEY+

eprasa.pl 2a630d192f

Tomasz Schuchardt jako Stanisław Wokulski w kręconym właśnie dla Netflixa serialu „Lalka", z Sandrą Drzymalską w roli Izabeli Łęckiej

▶ aktorem, więc dostaje propozycje i chętnie je przyjmuje, ale na castingi nie chodzi. Jego żona, która pracuje w zupełnie innej branży, powiedziała mu coś takiego: „Słuchaj, a może trzeba zmienić paradygmat. Pomyśl, że twoim zawodem nie jest wychodzenie na plan, ale chodzenie na castingi. Casting to praca, którą musisz zrobić. Dziś się nie udało, jutro się uda, tylko tyle. A plan to jest święto, które wydarza się raz na jakiś czas".

Zdarza mi się grać epizody. Wręcz służebne, bo one przecież służą komuś innemu. Dwór buduje króla. Mam tego świadomość i zawsze sobie powtarzam: „No to zbuduj tego króla". Mam fajną scenę, jestem w stanie coś zrobić, uruchomić w innej postaci jakieś emocje. To, jak zagram, da coś nie tylko mnie, lecz także tej drugiej osobie.

Znane powiedzenie mówi, że gdy robisz to, co kochasz, to nie pracujesz. Ale aktorstwo to chyba ciężka, wymagająca wysiłku praca?

Przed aktorstwem pracowałem w różnych branżach, od zbierania owoców po budowlankę. Męczyłem się strasznie. Nie jestem dobry w organizacji pracy ani w zarządzaniu ludźmi. Nie wiem, czy potrafię wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Inni mają nerwy ze stali i potrafią to robić. Nie mówię tego, żeby wywyższać ten zawód ani żeby go deprecjonować. Jest, jaki jest, a każda praca wymaga innych predyspozycji. Bywa ciężko, nawet jeśli to zajęcie wiąże się z mnóstwem miłych rzeczy. Nie zawsze jest kolorowo, w pewnym momencie pojawia się zmęczenie, frustracja – jak w każdej innej pracy. Myślę, że jako aktorzy jesteśmy na to przygotowani. To nie jest zawód, do którego przychodzą przypadkowi ludzie. Mam predyspozycje do tego, żeby powiedzmy cały dzień grać trudną dramatyczną scenę śmierci syna. Ktoś nieprzygotowany do tej pracy pewnie szybko by się poddał, odpuścił. Ale jako aktor mam konkretne cechy, które pozwalają mi się emocjonalnie regenerować. Szkoła teatralna też mnie nauczyła, jak się w takich sytuacjach odnajdywać i później odbudowywać. Do tego dochodzi jakiś talent i pewna wrażliwość na świat, które dostajesz gdzieś na starcie.

Z wymagających ról trudno się wychodzi?

Myślałem, że takie rzeczy już mnie nie dotkną po tylu latach doświadczenia, że sporo już przepracowałem w sobie, także dzięki różnym terapiom. Wydawało mi się, że wszystko już mam poukładane. Ale jak robiliśmy „Dom dobry", nowy film Wojtka Smarzowskiego, to trafił się bardzo trudny okres zdjęć wyjazdowych. Przez tydzień nie spałem w domu, zdjęcia były masakryczne, jak to u Smarzola – siekiera wisiała w powietrzu. A ostatni dzień to był naprawdę emocjonalny hardkor. Wreszcie koniec, dostałem trzy dni wolnego, wróciłem do Warszawy. Moja starsza córka pyta: „Tato, idziemy z Bazylem?". A ja się zawiesiłem. „Tato. To ja. Bazyl. To pies. Idziemy. To spacer". Odpowiedź na banalne pytanie zajęła mi ze dwie minuty. I uświadomiłem sobie, że ta rola, którą dopiero co grałem, zostawiła jakiś ślad. Poszliśmy na spacer, zjedliśmy obiad, wróciłem do życia. Ale rzeczywiście wciąż przytrafiają mi się role, które długo we mnie siedzą. To też jest wpisane w ten zawód.

„Breslau" ma premierę w specyficznym momencie, gdy trzeba przypominać ludziom, że nazizm to zło. Niby to kryminalno-historyczna rozrywka, lecz jednocześnie wpisuje się w naszą codzienność. Coś groźnego wisi w powietrzu?

W liceum byłem w klasie mat-fiz, bo jeszcze wtedy myślałem, że jestem bardzo dobrym analitykiem rzeczywistości. Z obserwacji miałem piątkę. I wiem też, że wszystko, co nas otacza, nigdy nie jest zero-jedynkowe. W każdym z nas jest jednocześnie zło i dobro. Które z nich przeważy, zależy nie tylko od nas, lecz także od tego, gdzie się znajdujemy, jakich ludzi spotykamy. Doskonale rozumiem to, co się dzieje dziś na świecie, oraz to, kto i dlaczego tym rozgrywa swoją grę. Dlaczego populizm wygrywa, dlaczego prawicowo-nacjonalistyczne skrajne narracje znowu dochodzą do głosu. I rozumiem też cykliczność tego wszystkiego, że to tak naprawdę musi się wydarzyć. Już się wydarza, tylko nie wiemy, czy skończy się tak samo jak 80 lat temu. Okazało się, że w dobie boomu informacyjnego nadmiar wiadomości sprawia, że pamięć faktu jest bardzo krótka. Że te 80 lat to jest bardzo dużo i kolejne pokolenia zapomniały, gdzie wtedy jako ludzkość byliśmy i jakie były konsekwencje.

Przeraża cię to?

Najbardziej mnie w tym wszystkim przeraża cynizm, który przepełnia umysł i duszę prawie każdego polityka. Przeraża mnie dziś coś, do czego sam dążyłem, gdy jeszcze mieszkałem na wsi. Wierzyłem wtedy, że inteligencja to będzie moje miejsce. Takie miałem aspiracje, bo nie pochodziłem z inteligenckiej rodziny. Uczyłem się, oglądałem, słuchałem muzyki. Łykałem to wszystko, bo chciałem dołączyć do tej klasy intelektualnej. Wierzyłem wtedy, że to są ludzie, którzy mają może lepszy ogląd rzeczywistości, więc powinni być zobowiązani do tego, by innym objaśniać świat. Ale jak już poznałem to środowisko, nagle zobaczyłem, że jest w nim wielu małych, cynicznych ludzi. Że im zależy głównie na tym, żeby kotłować się we własnym sosie, cynicznie komentować rzeczywistość, rozgrywać ludzi dla celów politycznych. Społeczeństwo zatacza koło, cyklicznie i regularnie, i dziś to koło jest już na tej, powiedzmy, niemiłej stronie. Coś wisi w powietrzu, jak powiedziałeś, i świat, który znamy, prawdopodobnie się rozpada. Mam wrażenie, że jesteśmy u progu wielkiej zmiany sposobu życia, tak jak druga wojna światowa była wydarzeniem, które zmieniło wszystko.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© MICHAŁ KLUSEK/NETFLIX

eprasa.pl 2a630d192f

godziny otwarcia:
12.00–19.00
wtorek – niedziela

obowiązuje rejestracja online:
www.visteriafoundation.pl
wstęp bezpłatny

06.09–
19.10.2025

warszawa são paulo warszawa

Willa Gawrońskich
al. Ujazdowskie 23, Warszawa

brazylijski modernizm
Jerzego Zalszupina

organizatorzy:
v. visteria
f. foundation
ETEL
casa zalszupin

partnerzy główni:
Perlage
GAC
veo TOBACCO FREE

partnerzy instytucjonalni:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA
AMBASADA BRAZYLII WARSZAWA
IGR Instituto Guimarães Rosa
POLIN
SAW Stowarzyszenie Architektów Wnętrz

partnerzy medialni:
VOGUE LIVING
CULTUREPL

eprasa.pl 2a630d192f

David Byrne podczas Torhout/Werchter Festival, 1997 r. Kostium jest dla artysty ważnym środkiem wyrazu.

© GIE KNAEPS/GETTY IMAGES

Goniec świata

David Byrne odkrył sekrety sceny: wymyślać się na nowo i ciągle zadawać pytania. Wyszła z tego jedna z najtrwalszych karier w muzyce rozrywkowej.

BARTEK CHACIŃSKI

Trzeba było 73-letniego weterana sceny rockowej, żeby odpowiedzieć na głośny esej Rebekki Solnit „Mężczyźni objaśniają świat". Zawierał definicję mansplainingu: protekcjonalnej formy tytułowego objaśniania rzeczywistości kobietom, która doczekała się u nas zgrabnego odpowiednika „tłumaczyzm". Tyle że David Byrne na nowym albumie odwraca sytuację i sugeruje, że zjawisko ma też swój rewers: to kobiety muszą mu wyjaśniać w życiu zawiłości relacji i motywacji.

„Ona tłumaczy mi, co się dzieje w filmach, które oglądamy/ Po co to zrobili? – pytam. – Dlaczego przestali?" – śpiewa Byrne. A tekst napisał w charakterystycznym dla siebie stylu: szczypta zwyczajnych obserwacji podanych z ciepłym dystansem. Bezradność z domieszką dziaderstwa, ale zarazem otwartość, która każe szukać w innych tego, co nas ciągnie do góry. Afirmacja życia, poszukiwanie szczęścia. O sobie, można mieć wrażenie, pisze – także z dystansem – w tekście piosenki „My Apartment Is My Friend" z najnowszej płyty, bo w pandemii każdy musiał się zaprzyjaźnić z własnym mieszkaniem. No i w „The Avant Garde": „Jeśli chcesz zajść daleko w życiu na pełnej petardzie/ Jest tylko jeden warunek: musisz być w awangardzie".

Wyjść poza Zachód

Ta awangardowość w wypadku Davida Byrne'a oznaczała przede wszystkim artystyczną uczciwość. Zwykle wiąże

eprasa.pl 2a630d192f

się to z koniecznością wymyślania siebie na nowo. W wypadku najnowszego albumu „Who Is The Sky?" – zaproszenia do współpracy Ghost Train Orchestra, 15-osobowego zespołu, który dał się poznać interpretacjami utworów ekscentrycznego ulicznego nowojorskiego kompozytora – Moondoga. Brzmienie tego ni to big bandu, ni to orkiestry kameralnej akcentuje instrumenty perkusyjne, dla Byrne'a niezwykle ważne. Piosenki są proste, aranżacje już niekoniecznie.

Awangardowość Byrne przywiózł ze sobą, lądując w 1974 r. w Nowym Jorku jako dziecko z rodziny inżyniera ze Szkocji, który do Ameryki przybył za pracą, a młodemu Davidowi, uczniowi szkoły artystycznej, jeszcze w Baltimore pomógł zbudować domowe studio nagrań. W styczniu 1975 r. David stał już na czele Talking Heads – zespołu tworzącego bardziej wyrafinowaną odmianę punka, stopniowo idącego w stronę inspiracji funkiem i brzmieniami afrykańskimi.

Karierę zrobili szybko, w pierwszych miesiącach działalności pisząc klasyk „Psycho Killer" (tu Byrne wchodzi w głowę seryjnego mordercy, a rzecz odnoszono do głośnej wtedy sprawy Davida Berkovitza), a potem na tyle zręcznie grając z modną punkową konwencją, że uznano ich właśnie za formację awangardową. „Od czasu »Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band« Beatlesów ludzie zawsze zastanawiali się nad relacją między rock'n'rollem a sztuką" – zaczynał swój tekst o zespole krytyk „New York Timesa" w 1977 r. Nie trzeba dodawać, że odpowiedzią na to pytanie była twórczość Byrne'a i jego kompanii. A sam lider w artykule deklarował: „Nie chcemy pisać przebojowych piosenek, chcemy pisać dobrą muzykę w piosenkowym formacie".

W tym czasie Byrne wymieniał się już kasetami i winylami z Brianem Eno i Jonem Hassellem, bohaterami kręgów nowojorskiej śmietanki artystycznej, podobnie jak on zafascynowanymi muzyką świata. Chodziło o nagrania Feli Kutiego z Afryki i brazylijskiego kompozytora Miltona Nascimento, syryjsko-egipskiego wokalisty Farida al-Atrache, orkiestr dętych z Bałkanów i zespołów pop z Ghany. „Słuchając tych płyt, snuliśmy z Brianem i Jonem fantazję o stworzeniu serii płyt poświęconej wyimaginowanej kulturze" – pisał Byrne w książce „How Music Works" (Jak działa muzyka). Ważne było to, że w swoim kręgu byli pionierami: wiele lat przed głośnym „Graceland" Paula Simona wpływy muzyki świata przedostawały się na płyty Talking Heads, a Byrne z Eno w duecie nagrali album „My Life in the Bush of Ghosts". Wydany w 1981 r. zawierał kolaż egzotycznych audycji radiowych, recytacji Koranu, arabskich wokalistów, amerykańskich kaznodziejów – miszmasz, który wtedy wydawał się kompletnym zaskoczeniem i zainspirował wielu kolejnych muzyków do wyjścia poza teren muzyki anglosaskiej. Tym bardziej że układał się nie w przegląd muzyki historycznej, lecz w zupełnie nową jakość.

Sam sobie Yoko Ono

Ten album ugruntował wizerunek Byrne'a jako czołowego podróżnika świata muzyki, budującego mosty kulturowe, a w wolnych chwilach zwiedzającego ten świat na dwóch kółkach (napisał autobiograficzne „Dzienniki rowerowe", opisywane w POLITYCE 18/11) i z aparatem ▶

REKLAMA

68 Warszawska Jesień
Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej
19-27 września 2025

warszawska-jesien.art.pl

Organizator
ZKP Związek Kompozytorów Polskich

Współorganizatorzy
Filharmonia Narodowa
dwójka POLSKIE RADIO
UMFC Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina
Teatr Wielki Opera Narodowa
Sinfonia Varsovia

Projekt współfinansują
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Warszawa

Partnerzy Festiwalu
zaiks sprzyjamy wyobraźni
Instytut Adama Mickiewicza
Narodowe Centrum Kultury
austriackie forum kultury wrw 60 lat
80 lat PWM EDITION
Centrum Rozwoju Przemysłów Kreatywnych
Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie
MSN Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie
TR Warszawa
Dom Kultury Śródmieście
Hashtag Lab
Pardon, To Tu

Partnerzy medialni Festiwalu
100 lat Polskiego Radia
wyborcza.pl
POLITYKA
Presto
Glissando
80 lat

eprasa.pl 2a630d192f

▶ fotograficznym. Umocniła go nagradzana ścieżka dźwiękowa do „Ostatniego cesarza" (1987 r.) Bernarda Bertolucciego, której pisanie Amerykanin dzielił z japońskim kompozytorem Ryuichim Sakamoto i Chińczykiem Congiem Su – to jego symboliczne spotkanie z Dalekim Wschodem. A później był jeszcze pożegnalny album Talking Heads „Naked", na którym pojawili się muzycy z Afryki i Karaibów. No i wreszcie solowe nagrania w różnych latynoamerykańskich stylach. Pod koniec lat 80. Byrne stał już na czele własnej wytwórni Luaka Bop, prezentującej w osobnych seriach m.in. muzykę brazylijską i kubańską.

Jednocześnie był coraz bardziej zniecierpliwiony koniecznością robienia tego, w co wtłaczał go muzyczny show-biznes.

© SHERVIN LAINEZ

Davidowi Byrne'owi pozostała słabość do garnituru jako scenicznego kostiumu

Czyli jednowymiarowych piosenek, pozbawionych funku i swingu. „W latach 60. największe zespoły pop zaczęły grać na arenach baseballowych i stadionach, które mają okropną akustykę" – tłumaczył ewolucję rynku w „How Music Works". „Tam jako tako brzmiała tylko muzyka oparta na prostych podziałach rytmicznych i możliwie stałym poziomie głośności. Jego zdaniem rock, metal i proste zmiany akordów do stadionów pasowały, a funk już nie. Echo sal niszczyło każdy bardziej skomplikowany taneczny rytm. „Areny wypełniały więc z reguły białe dzieciaki, a muzyka szła w ekspresję rodem z Wagnera" – ironizował.

To zmęczenie konwencją sprawiło, że zatopił karierę odnoszącej sukcesy grupy Talking Heads. I odrzucił pisanie nowych wersji własnych utworów. „Stany Zjednoczone mówią ci: podobało nam się to, co zrobiłeś, powinieneś robić tego więcej" – komentował w wywiadzie dla „The Wire" sukces piosenki „Burning Down the House". „To dobry utwór, mogę się zmobilizować do tego, żeby go w kółko wykonywać, ale nie mogę ciągle od nowa go pisać".

Tyle że trudno uniknąć etykietek. Gdy Byrne wyjechał na swoje pierwsze solowe tournée po rozwiązaniu grupy i zatrudnił latynoskich muzyków, żeby grać nowy materiał z płyty „Rei Momo", festiwale umieszczały go w programie między Soundgarden a Pearl Jam. Jego ówczesne nagrania przyjęto dobrze w Ameryce Łacińskiej. W USA było gorzej – kiedy rozmawiał z jednym z szefów macierzystego koncernu Warnera, usłyszał: „David, ty jesteś sam swoją Yoko Ono". Co w tłumaczeniu z showbizowego na polski oznacza: ty sobie artystycznymi posunięciami sam utrudniasz karierę.

Co to za facet?

Jednocześnie mało kto w całym show-biznesie ma taki zmysł do robienia choćby z niczego wciągającego show jak właśnie Byrne. Pokazał to także w Polsce podczas trasy poprzedniego albumu „American Utopia", gdy wraz z jedenastką muzyków wychodził na całkiem pustą scenę, na bosaka, bez kabli i wzmacniaczy, z instrumentami (włącznie z perkusją) zawieszonymi na szyi i całkowitą swobodą ruchu pozwalającą realizować choreograficzne pomysły. Spike Lee zrobił z tego przedsięwzięcia film dla platformy HBO. Podobnie jak 35 lat wcześniej Jonathan Demme (późniejszy twórca „Milczenia owiec") nakręcił „Stop Making Sense" – dokument z koncertu Talking Heads, uznawany powszechnie za najlepszy film muzyczny wszech czasów. W ostatnich latach powrócił na kinowe ekrany, zbierając równie entuzjastyczne opinie co w latach 80. I zarobił więcej pieniędzy niż w 1984 r.

Byrne ma instynkt sceniczny, który na estradzie każe mu być w równej mierze muzykiem co aktorem. Strój, niczym dla imiennika Davida Bowiego (z którym wiele go łączyło, także wieloletnia współpraca z Brianem Eno), jest dla niego stałym środkiem wyrazu. Tyle że zamiast kreować niezwykłe persony, chciał na scenie pokazać typowego Amerykanina. „Zdałem sobie sprawę, że większość nowojorczyków nosi garnitury. I że jest to wspaniały kostium, który miał wyeliminować próby wyrażania czegokolwiek ubiorem". Stąd wziął się w Talking Heads tani szary garnitur z poliestru. Byrne pocił się w nim jednak, a strój krępował mu ruchy. Wtedy ktoś podczas kolacji zagadnął go: „Na scenie wszystko musi być większe". Chodziło o gest, ekspresję, głos. Ale wokalista wziął z tego pomysł na przeskalowany garnitur. Kuriozalnie wielki i wystylizowany jak kostiumy w japońskim teatrze nō.

I ten za duży garnitur, w „Stop Making Sense" uosabiający iluzję wielkości, a może i amerykańską chciwość, skleił się z postacią Byrne'a, którego stale proszono o interpretacje. „To będzie inskrypcja na moim grobie: »Tu leży ciało Davida Byrne'a. Tylko po co ten wielki garnitur?«" – żartował.

Byrne ma na koncie Oscara, Grammy, teatralną nagrodę Tony, a do korony amerykańskich laurów brakuje mu tylko telewizyjnej Emmy Award (do której był już nominowany za „American Utopia"). Nie ma tylko poczucia pewności, kim jest. Kiedy po latach zobaczył odnowioną wersję „Stop Making Sense", zadał sobie pytanie: co to za facet? Kiedy sięgnął po niewykorzystane teksty Talking Heads, nie był w stanie nic z nimi zrobić, bo nie rozpoznał w nich siebie. Czy lider tamtej grupy to ten sam człowiek co ciągle młody duchem, ale przyprószony siwizną dzisiejszy mężczyzna w garniturze, zapraszany do współpracy przez młodszych artystów, często kobiety: St. Vincent, Annę Calvi czy Olivię Rodrigo?

Wracając do problemu mansplainingu: ważne u Byrne'a jest to, że z zasady nie objaśnia, tylko pyta. I nie wstydzi się przyznać, że nie wie, kim jest. O tym jest zasadniczo cały album. Tytuł wziął się ze źle zapisanego pytania, które ktoś wysłał Byrne'owi w dyktowanym esemesie: zamiast „Who is the guy?" (Co to za facet) wyszło absurdalne „Who is the Sky?" (Kto jest niebem). Spodobało mu się to jako zawoalowana forma tego pytania, które sobie zadaje, patrząc w lustro.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 2a630d192f

Samo się pisze

Bycie laureatem Nagrody Nobla w pewien sposób zmienia cię w obiekt, stajesz się swego rodzaju faktem historycznym – mówi **Jon Fosse**. Właśnie ukazała się książka noblisty „Nowe imię", która zamyka jego cykl powieściowy „Septologia".

Jon Fosse (ur. 1959 r.) – norweski pisarz i dramaturg, laureat literackiej Nagrody Nobla w 2023 r., po polsku w wydawnictwie ArtRage w przekładzie Iwony Zimnickiej ukazały się m.in. „Septologia I–II, Drugie imię", „Septologia III–V, Ja to ktoś inny", „Septologia VI–VII, Nowe imię", „To jest Ales" i „Białość".

© FREDRIK SANDBERG/TT NEWSAGENCY/FORUM

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Jak powstawała „Septologia"?**

JON FOSSE: – Dobrze się bawiłem, pisząc tę powieść. Zajęło mi to około czterech lat. Oczywiście nie pisałem jej przez cały czas, tylko z przerwami. Mieszkałem wtedy w małym austriackim miasteczku Hainburg an der Donau, na obrzeżach Wiednia. Wszystko tam napisałem. Wyrobiłem sobie nawyk pisania w nocy i nad ranem. Zaczynałem pisać około 4–5 rano i pracowałem do jakiejś 9. Przekonałem się, że to najlepsza pora na pisanie. Jestem spokojny, świat jest spokojny. Wcześniej zwykle pisałem rano, ale zaczynałem dopiero około 9. Z „Septologią" było jak z pracą nad każdym innym utworem, ale ponieważ jest to zdecydowanie najdłuższy tekst, jaki napisałem, doświadczenie to stało się, że tak powiem, silniejsze. Najważniejsze, aby czas między snem, marzeniami a pisaniem był jak najkrótszy. Bo w pewnym sensie pisanie jest jak świadome śnienie.

Czytanie przypomina rodzaj transu. Czy pisanie wyglądało podobnie?

Rzeczywiście muszę wejść w rytm. Kiedy piszę najlepiej, czuję, że to, co piszę, pisze się samo, a przynajmniej, że to nie ja piszę.

Mówił pan, że pisanie to słuchanie. Wewnętrznego głosu czy głosu bohaterów?

To oczywiście metafora. I nadal uważam, że ten „wewnętrzny głos" to jest najlepsza metafora, jaka przychodzi mi ▶

eprasa.pl 2a630d192f

▶ do głowy, aby opisać akt pisania. Nie mam jednak pojęcia, czego tak naprawdę słucham – ale jestem pewien, że nie znajduje się to wewnątrz mnie, tylko gdzieś tam, na zewnątrz.

W swoim wykładzie noblowskim wspomniał pan o swoim strachu przed czytaniem na głos w szkole: „W pewnym sensie było to tak, jakby strach odebrał mi język i musiałem go niejako odzyskać". To ten lęk doprowadził pana do pisania?

Myślę, że ten strach sprawił, że język stał się dla mnie czymś bardzo konkretnym, a nie czymś oczywistym. Po tym, jak ta przemiana nastąpiła, zacząłem się zastanawiać, czy w pewnym sensie język nie stał się dla mnie rodzajem materiału. Ale to oczywiście tylko refleksja z perspektywy czasu.

Mówił pan też, że to wypadek w dzieciństwie, kiedy miał pan siedem lat i przebywał na granicy śmierci, stał się później impulsem do pisania?

To również jest coś, o czym myślałem w późniejszych latach. To doświadczenie nadało mojemu życiu nowy wymiar, którego nie dzielili moi przyjaciele, może również z tego powodu od najmłodszych lat czułem się jak outsider. Być może chciałem połączyć się ze światem innych ludzi poprzez pisanie. Spoglądanie na sprawy z zewnątrz, z pewnego dystansu, ułatwia tworzenie formy, która jest dla mnie chyba najważniejszym aspektem pisania. Forma, która nadaje temu, co piszę, pewnego rodzaju transcendentną siłę. W jakimś sensie dodaje pisaniu skrzydeł.

A czy samo pisanie jest czynnością radosną?

Czuję, że pisanie oddala mnie od samego siebie, jest sposobem na ucieczkę od siebie, a nie na wyrażenie siebie. Kiedy naprawdę udaje mi się dobrze pisać, daje mi to ogromną radość. Ale jednocześnie czuję, że z każdym większym dziełem, które piszę, wykorzystuję lub niszczę coś w sobie. Pisanie jest więc również bardzo wymagające. Naprawdę wątpię, czy mam jeszcze energię, siłę lub tyle życia, by ponownie napisać coś takiego jak „Septologia".

Zdarza się, że nie może pan pisać?

Kiedy byłem młodym pisarzem, powiedzmy w wieku dwudziestu kilku lat, zdarzało się to często. Ale z biegiem lat zdarza się rzadko. Nigdy nie miałem czegoś takiego jak blokada twórcza. Myślę, że ma to również związek z tym, że nauczyłem się, kiedy powinienem pisać, a kiedy dać sobie spokój. Nauczyłem się robić długie przerwy między każdym utworem, który piszę, nawet jeśli uważam, że moje życie jest najlepsze, kiedy piszę dłuższy tekst. W tych dłuższych okresach, kiedy nie tworzę niczego własnego, w ostatnich latach tłumaczyłem lub pisałem wersje dla teatru. Bardzo lubię to robić.

Wielu autorów, choćby Annie Ernaux, tworzy dziś autofikcję. Tymczasem pan mówi, że raczej chciałby w pisaniu uciec od siebie?

Tak. Autofikcja może być interesująca i podziwiam np. skrajną szczerość Ernaux. Być może właśnie dzięki temu, że jest antyliteracka, staje się literaturą. Ale przynajmniej dla mnie tak nie jest – to przekształcenie surowej rzeczywistości nadaje literaturze wartość, coś, co jest dla niej specyficzne. Zawsze bałem się, że to, co piszę, będzie przypominało kogoś, kogo znam, uważam jednak za nieetyczne wykorzystywanie innych ludzi w sposób, w jaki są wykorzystywani w autofikcji. Trochę tak jak Ernaux wprowadza do prozy swoją matkę. Z drugiej strony, jeśli piszesz o jakiejś matce, ludzie i tak myślą, że piszesz o własnej. Ale tego już się nie da uniknąć, jeśli w ogóle zamierzasz pisać fikcję.

Mówi pan o „cichym języku" w literaturze, skąd on się bierze?

W dobrym pisaniu panuje cisza, nie ma co do tego wątpliwości. I to właśnie ta cisza mówi, co jest ważne. Oczywiście mam tu na myśli, że naprawdę wątpię w to, co jest w stanie wyrazić normalny język. Najważniejsze rzeczy może wyrazić tylko dobry pisarz, który tak używa słów, aby przemówiła cisza. Najważniejsze nie jest to, co jest napisane czarną czcionką, ale to, co jest napisane białą na białym tle. Moje najpoważniejsze lub najbardziej ambitne dzieła, takie jak „Septologia", śmiem traktować jako rodzaj modlitwy. Ujmę to tak: kiedy piszę, nigdy nie myślę o tym, że ktoś będzie czytał to, co piszę, bo gdyby tak było, nie sądzę, żebym kontynuował pisanie. Ale mimo to zwracam się do kogoś, a skoro nie jest to istota ludzka, to kto to może być?

Czy literatura kontemplacyjna może być jakąś odpowiedzią na współczesny świat?

Wszystkie dobre dzieła literackie mają taką moc. Nie tylko te kontemplacyjne. Czytanie pozwala nabrać dystansu do świata. Otwiera przed czytelnikiem nowe wymiary wewnętrzne. A ten dystans daje możliwość refleksji, przemyślenia tego, co się dzieje.

Trzy części „Septologii" tworzą jedno zdanie. Czas zostaje zawieszony, wszystkie momenty życia rozgrywają się naraz, jakby to był obraz życia z perspektywy śmierci?

Dla mnie jest oczywiste, że dopiero po przeczytaniu ostatniego słowa w „Septologii" można naprawdę powiedzieć, że przeczytało się tę powieść. Każda część zaczyna się od zdania: „I widzę siebie" – co oczywiście nawiązuje do doświadczenia bliskiego śmierci, które miałem jako dziecko. Być może „Septologię" można odczytywać jako pojedynczy moment, jako teraźniejszość, która się rozciąga.

Często pojawia się Mistrz Eckhart, jego język paradoksu wpłynął na pana pisanie?

Przejście na katolicyzm było dla mnie długą podróżą. Podczas tej podróży od lat 80. czytałem Mistrza Eckharta, co z pewnością miało duże znaczenie. W sztuce, którą napisałem, jedna z postaci mówi o „świetlistej ciemności" i byłem zadowolony, że udało mi się stworzyć ten paradoks lub metaforę. Później przeczytałem Eckharta i odkryłem, że użył tego wyrażenia setki lat przede mną. Często jesteśmy mniej oryginalni, niż nam się wydaje! Myśl stojąca za tym wyrażeniem jest oczywiście kluczowa dla wielu nurtów mistycyzmu chrześcijańskiego.

Nadal pan czyta mistyków? Ich pozycja w Kościele bywała trudna.

Myślę, że tradycję chrześcijańską znam już dość dobrze. Ale ostatnio czytam o kabale. Bardzo ciekawe i odkrywcze jest dostrzeganie podobieństw. Nie sądzę, żeby w dzisiejszych czasach mistyka była źle widziana. Przynajmniej ja zostałem bardzo dobrze przyjęty przez Kościół. Papież Franciszek wysłał mi nawet osobisty list, kiedy otrzymałem Nagrodę Nobla.

Bohater znajduje zdanie z wiersza, które mu się podoba: „Bóg to moi zmarli przyjaciele", zgodziłby się pan z nim?

Być może Bóg też taki jest? Nawiasem mówiąc, to cytat z wiersza, który napisałem, gdy byłem jeszcze dość młody.

Co pan ostatnio czyta?

Jak już wspomniałem, czytałem o kabale, np. Gershoma Scholema. A tłumaczenie jest w pewnym sensie przykładem bardzo uważnej lektury, więc mogę powiedzieć, że obecnie czytam „Zamek" Kafki, który tłumaczę.

eprasa.pl 2a630d192f

Mówił pan, że pisanie w norweskim mniejszościowym języku nynorsk, którego pan używa, przypomina trochę sytuację pisania Kafki?

Oczywiście nie mam pojęcia, jak wyglądało pisanie Kafki. Ale nynorsk jest językiem mniejszościowym w ramach większej społeczności językowej Norwegii, a właściwie Skandynawii. Trochę tak jak praski niemiecki Kafki w większej społeczności językowej Niemiec. Czytałem Deleuze'a i Guattariego i poznałem ich koncepcję literatury mniejszościowej. Podobieństwo to tylko pomysł, który przyszedł mi do głowy podczas lektury tej książki, nie wiem, na ile jest on trafny. Ale faktem jest, że bardzo interesowałem się i nadal interesuję twórczością Kafki. Przetłumaczyłem na język nynorsk „Proces" i wybór opowiadań, a obecnie pracuję nad „Zamkiem".

Pisał pan, że w literaturze chodzi o „coś, co milcząc, przemawia między słowami", w jakich utworach pan to znajduje?

We wszystkich dobrych dziełach literackich – ale spotykam się z tym również w literaturze masowej.

Czytuje pan kryminały?

Naprawdę nie lubię kryminałów, ponieważ sprowadzają śmierć – jedną z największych zagadek i tajemnic ludzkiego życia – do czegoś, co można rozwiązać w racjonalny sposób za pomocą tego czy innego detektywa. A przynajmniej takie wrażenie wywołują u czytelnika. Literatura gatunkowa w żadnej ze swoich form nie jest w ogóle literaturą. Nie zasługuje na tę nazwę.

Tworzy pan dramaty, prozę, wiersze – to wszystko układa się dla pana w całość, czy to są różne rodzaje pisania?

Tak. Jestem pisarzem i wszystko, co piszę, jest ze sobą powiązane. Z tego powodu bardzo ważne było dla mnie, aby moje sztuki zostały opublikowane w formie książkowej. W pewnym sensie nie byłem nigdy częścią teatru, tylko literatury. To po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, że moje sztuki tak dobrze sprawdzają się w teatrze. Cały czas w pewnym sensie piszę ten sam tekst lub ten sam wiersz, ale za każdym razem musi on być nowy. W przeciwnym razie nie ma sensu go pisać.

Czy Nagroda Nobla dużo zmieniła?

Przez wiele lat byłem wymieniany wśród kandydatów. Każdej jesieni to samo. Czasami myślę, że największą zaletą Nagrody Nobla jest po prostu to, że ją otrzymałem, więc przynajmniej nie muszę się co roku martwić, czy ją zdobędę. Bycie laureatem Nagrody Nobla w pewien sposób zmienia cię w obiekt, stajesz się swego rodzaju faktem historycznym. Wcześniej, kiedy byłem tylko jednym z wielu autorów, byłem bardziej podmiotem. Mówi się, że Nagroda Nobla jest najwyższym wyróżnieniem, jakie może otrzymać pisarz. Jestem za to niezwykle wdzięczny. Nadal jednak nie mogę uwierzyć, że to właśnie ja. Dla mnie to niemożliwe, żebym był laureatem Nagrody Nobla. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że to ktoś inny.

Czy trudniej jest teraz znaleźć ciszę?

Tak, nawet jeśli prawie zawsze odmawiam i nie przyjmuję żadnych propozycji.

Udaje się pisać?

Mam nadzieję, że tak. Przynajmniej nadal można tłumaczyć i czerpać z tego radość.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA

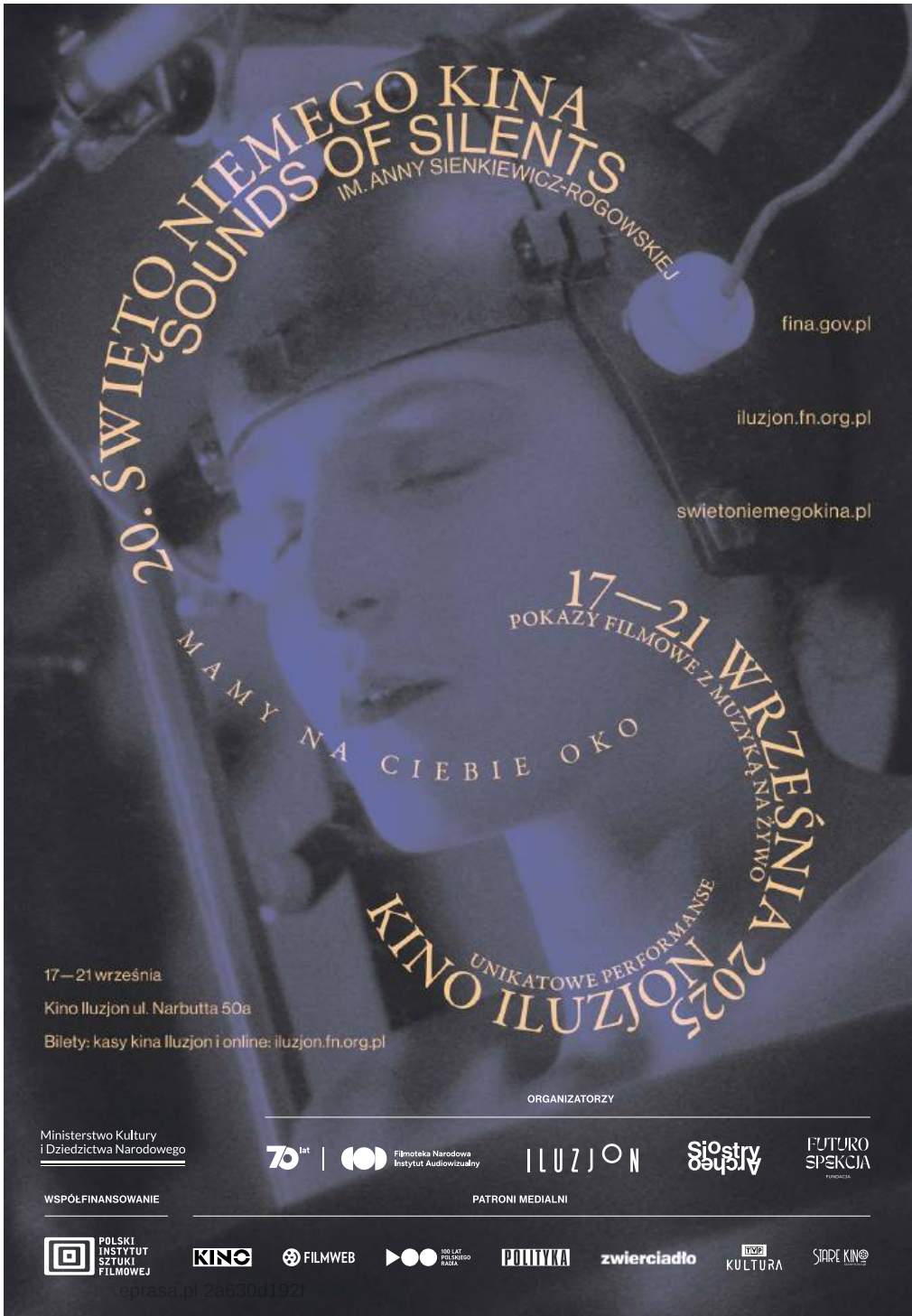

eprasa.pl 2a630d192f

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Właśnie minęło 20 lat od legendarnego występu Mandaryny, żony Michała Wiśniewskiego, w Sopocie z piosenką „Ev'ry night". To ważny moment pokazujący, że historię piszą zwycięzcy, a przegrani edytują Wikipedię.

●

W RMF pojawią się audycje Anny Marii Siekluckiej oraz Julii Wieniawy. Gratuluję. Od czasu, gdy Aleksander Kwaśniewski wyznał w tej stacji, że nie pije już mocnych alkoholi, przestałem im wierzyć.

●

Dziennikarz „Przeglądu Sportowego" Tomasz Moczerniuk śmiał zapytać Igę Świątek o koraliki we włosach. Szok. Spadła na niego lawina krytyki. A może Iga też powinna nauczyć się inaczej odbijać piłeczkę?

●

Raperka Bambi zdobyła się na historyczne wyznanie: „Nie trzeba teraz umieć śpiewać, żeby odnieść wielki sukces". To uniwersalna zasada. 10 606 877 osób w kraju uważa tak samo.

●

Krzysztof Stanowski i Kanał Zero wystąpili do KRRiT o koncesję satelitarną na kanał telewizyjny. To coś, jakby Wałęsa powiedział Muskowi: „Elon, jak ja zostałem elektrykiem, to samochód też może".

●

Michał Adamczyk odchodzi z telewizji wPolsce24, by założyć własny kanał na YouTube. Uderzające podobieństwo do innych prawicowych projektów. Choć w przypadku Adamczyka lepiej nie pisać o uderzaniu.

●

Joanna Senyszyn przyznała się w TVN, że jest posiadaczką sześciu mieszkań. Na własność. Podobno bardzo blisko siebie. To się nazywa Zjednoczona Lewica.

●

Dawid Podsiadło zapowiada nową płytę i trasę stadionową na 2026 r. Chorzów, Gdańsk, Poznań i Warszawa. To jeden z nielicznych, który dużo zarabia, występuje na stadionach i nie przynosi wstydu.

●

Mata wystąpi w Mastercard Music, gdzie artyści tworzą wspólne utwory, biorą razem udział w koncertach, a publiczność dostaje bilety za darmo. Takie imprezy są jak karta kredytowa. Cieszysz się teraz, a zapłacisz później.

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

●

Skolim, artysta latino-disco polo, porównał swoje przeboje do odkryć Marii Skłodowskiej-Curie. To prawda. Maria odkryła polon – truciznę doskonałą.

●

Paulina Koziejowska i Maciej Orłoś wzięli ślub. W historii Maćka trudno nawet ustalić który. Jedyną stałą rzeczą w jego życiu jest 17.00.

●

Krzysztof Piątek trafił do mediów z powodu przybycia na zgrupowanie reprezentacji Polski z pomarańczową luksusową, francuską torebką. Gramy z Holendrami. Dobrze mieć w torebce gaz pieprzowy.

●

Andrzej Duda, przez 10 lat prezydent RP, poprowadzi własny program w Kanale Zero. To piękne podsumowanie jego rządów: „Mazurek Stanowskiego".

●

Na pytanie: „Najbardziej skuteczny polityk w Polsce?" 28,1 proc. badanych odpowiedziało Tusk, 23,5 – Kaczyński, a 0,4 – Hołownia. Tym samym Szymon wyprzedził kategorię „Inny", którą wytypowało 0,0 proc. osób.

●

Łukasz Schreiber, najbardziej medialny małżonek z PiS, wziął trzeci ślub. Była oblubienica Marianna tradycyjnie złożyła najserdeczniejsze życzenia, z których do zacytowania nadaje się tylko zwrot „predator seksualny".

●

Wywiadem z Agnieszką Holland Hanna Lis zadebiutowała w miesięczniku „ELLE". Gratulacje. Od czasu, gdy przeczytałem tytuł „Kubicy pękła guma. Ale dokończył", przestałem wierzyć w prasę.

Rzeczniczka prasowa kampanii Karola Nawrockiego Emilia Wierzbicki po 10 latach pracy w TV Republika przechodzi do wPolsce24. Ja bym ją widział w marketingu. Potrafi sprzedać towar bez żadnych gwarancji.

eprasa.pl 2a630d192f

FELIETON

Passent

Orzeł po pekińsku

Kamieniarza poznam w każdym wieku. Znaczy każdy kamieniarz jest mile widziany – młody bóg z pick-upem albo już mocno zgarbiony Atlas z inhalatorem na pylicę zamiast poszetki. I o mój wiek też chodzi – pierwszego kamieniarza poznałam jeszcze jako niegrzeczna dwudziestoletnia. Babcię Marię trzeba było pochować i nie szło zrobić tego po prostu w tapczanie, na którym całą emeryturę przesiedziała, oddając się z namaszczeniem paleniu carmenów. Wielce szanowny kamieniarz pan Cybulski nie był żadnym warszawskim cwaniaczkiem, rodem z legend o Himilsbachu, tylko artystą i badaczem rzeźby polskiej, który w odróżnieniu od wielu magistrów znał dorobek Stanisława Zamecznika i Karola Tchorka. Dzięki niemu moja wiedza na temat kamieni wychodzi poza ploteczki ze znajomymi prezentującymi biżuterię: „To jadeit, chroni nerki".

Funeralia rozkręcają się w Najjaśniejszej od co najmniej dwóch dekad szybciej niż chrzciny, a eksperci od demografii publikują kolejne arcyciekawe badania – polecam znakomicie udokumentowaną książkę eksperta ds. demografii Macieja Łakomego „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy".

Jeszcze parę dekad temu z trwogą mówiliśmy o tym, jak przeludniona jest Ziemia, a teraz antynataliści radują się z licznie nienarodzonych dzieci, a właścicielom zakładów pogrzebowych robota w rękach się pali. Wiadomo, że dobre strony tej sytuacji też doceniamy – na podwórku nikt nie gra w piłkę, więc nie trzeba montować stosownych tablic. Budowa nowego przedszkola z wrzeszczącymi bachorami wstrzymana – mniej betonozy.

> Obywatel ma wrażenie, że to, co osiągnęliśmy jako Polska, udało się nie dzięki politykom, a mimo nich.

Czy widują już państwo rowerzystów z pieskami w koszyku tudzież wózki dla psów? Podczas wakacyjnej podróży do Danii złapałam się na tym, że na ulicach brakowało mi psów. Tacy niby hygge, a los kundelka im obojętny? Potem zauważyłam, że ci Duńczycy to sto lat za Polakami – w wózkach i na rowerach nadal przewożą dzieci.

Zwijamy się i wielu z nas ma poczucie końca. Tymczasem rząd serwuje nam filmiki z premierem pokazującym, że dołączamy do klubu milionerów państw G20 i każdy obywatel ma się czuć jak Wielki Gatsby, zanim jeszcze Scott Fitzgerald się rozpił. Władza stara się martyrologiczną dumę z żołnierzy wyklętych i przegranych powstań zastąpić dumą z Davos, ale my nie potrafimy kliknąć w uśmiechnięte buźki. Radość z wejścia do NATO czy UE i poczucie, że w grupie jest raźniej, smakuje jak wyżuta już mocno guma. Rząd Francji upada częściej niż źle zamontowana choinka. Prezydent USA najchętniej zwolniłby się z tej drogiej imprezki, bo trzęsie portkami przed nowym jedwabnym szlakiem. Nawet gdy genialny prezydent Finlandii zajmuje go historiami o zimowych snajperach, a my podsuwamy lekturę Herlinga-Grudzińskiego, Trump zapewne dziwi się, o co kaman, ten „Inny świat" to w sumie efektywny pomysł na to, by zrobić wreszcie z leniuchów „really hard working people".

Politycy koalicji zachęcają do celebrowania tego, że jesteśmy wśród 20 najmocniejszych gospodarek świata, oraz sukcesów III RP, ale obywatel ma wrażenie, że to, co osiągnęliśmy jako Polska, udało się nie dzięki politykom, a mimo to, że nam przeszkadzali. W dodatku pamięć to nie plastelina. Działa mechanizm obronny, jak u sportowców. Owszem, pamiętamy dziesięć wygranych pucharów, ale teraz liczy się tylko kolejny mecz. Nie mówiąc już o tym, że w Polsce osoba wiecznie uśmiechnięta wzbudza politowanie: może wariatka, może chce mnie posiąść mentalnie i sypialnie? Ewentualnie coś knuje...

Oczekuje się od nas nastrojów karnawałowych w związku z obchodami rocznicy porozumień sierpniowych, ale warto ponownie spojrzeć na kamieniarza i demografię. Autentyczni weterani – często do dziś anonimowi twórcy i działaczki środowisk mających odwagę marzyć o uwolnieniu spod sowieckiej okupacji – latami byli zapomniani i otrzymywali najniższe emerytury. Wśród emerytów są ci, którzy zyskali i stać ich na wypad zimą na Kanary, ale druga połowa to ci zwolnieni z zakładów Zawiercia czy wyprzedanych fabryk Żerania.

Młodzi też nie są dostatecznie mocno uśmiechnięci i zadowoleni z tego, co się dziadkowi w III RP udało. Po pierwsze, jak jest się młodym, to jest się wściekłym nawet na to, że matka chodzi po mieszkaniu, a po drugie, jak się właśnie z tą starą mieszka w malutkim mieszkanku i słyszy, że AI i tak przejmuje dziś miejsca pracy...

Kiedyś poszłam do tradycyjnej chińskiej restauracji w China Town w Nowym Jorku. Wjechała cała kaczka po pekińsku w towarzystwie uśmiechniętego Chińczyka w poplamionym fartuchu, mówiącego do mnie coś po mandaryńsku. Wyciągnął wielki nóż i podzielił tego ptaka na setki malutkich części, wyluzował i dumny pokazywał swe dzieło. Tak właśnie podzielili politycy naszego orła i podobnie wielki uśmiech nie schodzi z ich twarzy. Po paru dekadach nabijania Polaków na lewe kredyty i deweloperskie przekręty z dziurami w ziemi sami nauczyliśmy się czytać ulotki o promocjach. Wiemy, że w tym uśmiechu warto by zrobić kontrolę uzębienia i ubytków.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 2a630d192f

FELIETON

Hartman

Kto czyta, ten błądzi

W zasadzie nie lubię czytać. Czytam, bo wypada. Bo różne rzeczy mnie ciekawią. Albo po to, żeby ćwiczyć obce języki. Zresztą zawsze mi przy tym czytaniu jakoś niewygodnie. Ani na wznak, ani przy stole, ani na boku – ciągle coś nie tak. W dodatku mnie to nuży i irytuje. Każda książka mnie nudzi i mało którą przeczytam do końca. Tyle innych czeka!

A jak nawet przeczytam, to i tak nie zapamiętam, co przeczytałem. Weźmy chociażby biografie. Przejrzałem ich ostatnio kilkanaście, a mimo to o każdym z bohaterów mógłbym powiedzieć zaledwie kilka zdań. Bo w sumie co mnie to wszystko obchodzi? Cudze życie, a tym bardziej jakieś zmyślone historie. Ani mi to bracia, ani swaci. Czy ja bym ich obchodził? Albo kogokolwiek?

Zazdroszczę tym pożeraczom książek, którzy wszystko zapamiętują. Mają mózgi tak żarłoczne i pojemne jak ja żołądek. Tacy, dajmy na to, moi imiennicy, Jan Gondowicz albo Jan Woleński – co przeczytają, to ich. Zapamiętają na całe życie. A ja? Kamień w wodę. Szkoda czasu i mitręgi. Dlatego wolę już sam coś napisać. Wtedy przynajmniej jest jakiś pożytek. Kogoś okradnę z kilku chwil bezcennego czasu, a i rubelka zarobię, resztek cnoty przy tym nie tracąc.

Po co czytać, skoro tę masę tekstu, która żąda od nas takiej ilości czasu i zaangażowania, maszyna wypluwa w ułamku sekundy?

Rzecz jasna, żeby pisać, trzeba coś czytać. W końcu pisanie to tylko uruchamianie w mózgu swojego „białkowego modelu językowego", który działa tak samo jak ten kwarcowy. Po prostu ładujesz jakieś połączenia wyrazowe, a potem to z ciebie wychodzi. Sam nie wiesz jak i kiedy. Paple człowiek jak papuga, ale żeby wiedział, co mówi? Bardzo wątpię. Słyszy lub widzi, co mu z gęby albo z klawiatury wylatuje, i w ten sposób się dowiaduje, co mówi bądź pisze. Wcześniej nie da rady. Inteligencja i elokwencja są przereklamowane. To po prostu inny rodzaj urody. Masz taki ładny mózg, że produkuje tymi swoimi zwojami i „skryptami" fajną nawijkę. A w środku? Jakaś piękna dusza, która od serca przemawia? Gadanie. W środku, kochani, to nawet szkoda gadać. Trochę żądz, trochę lęków i wdrukowane schematy motorycznego i werbalnego reagowania. Zwykle tu i ówdzie popsute, czyli zaburzone. Wielki poeta albo mistyk ma takie same, co wszyscy, esicę i grasicę, tudzież te same nadzieje i te same lęki, te same emocje i te same pożądania.

Poza tym czytanie okrada mnie z samego siebie. Nie, żebym zaraz miał Osobowość. Ale jak co czytam, to potem myślę i gadam tym autorem. Ten typ pasożytuje na moim mózgu. Czy ja muszę być nieustająco żywicielem kolejnych pasożytów? Czy muszę deponować cudze fantazje i egzaltacje? To ja już wolę być prostakiem. Prostak przynajmniej niczego nie udaje i mówi, jak jest. Np., że nie warto czytać, bo nudne albo trudne. Po co się wysilać, skoro i tak nie zmądrzeje się powyżej swych wrodzonych możliwości?

Wyżej półki z książkami nie podskoczysz. Możesz gadać tym, co przeczytasz, i nic więcej. Tak jak papuga powtarzać, coś sobie z tych książek „przyswoił". Albo raczej „przycudzył". A jak raz już zaczniesz, to się oderwać nie możesz. Ludzie mają w domach tysiące książek! Zamiast zająć się czymś pożytecznym, odlatują w nierealne krainy, by tam oddawać się iluzjom i złudzeniom. Jak na prochach przeżywają fikcyjne sprawy fikcyjnych postaci. Czyż to nie jest chore?

Sam bardzo bym chciał wymyślać historie i uwodzić nimi rzesze. Kraść im czas i wyciągać od nich pieniądze za te fantazmaty. I żeby mnie zapraszali na spotkania autorskie. Ale nie umiem. Po co mam coś wymyślać? Jak czegoś nie było, to po co o tym gadać? No i dlaczego nie mogą mnie uwielbiać bez tych książek, co to ich nie napisałem?

Przydałaby się jakaś nagroda literacka dla niepiszących. Albowiem pisanie jest srebrem, a niepisanie złotem! Niestety, grafomania ogarnia całą ludzkość, a ta rodzi jeszcze bardziej pustoszącą legemanię. Miliardy osobogodzin każdego roku trawionych na bezowocnym oddawaniu się lekturze wołają o pomstę do nieba. Zresztą pustego, bo żadnym bajaniem nie da się go zapełnić bogami. Z próżnego ego pisarza rodzą się jeno zwidy i fikcje.

Przeto ja książek unikam. Jak chcę wiedzieć, co i jak, to sobie odpalam POLITYKĘ. I to mi wystarczy. Gdybym zaś potrzebował jakiegoś szczegółu, to mam w komputerze takiego spryciarza, który na wszelkie pytania odpowiada natychmiast i konkretnie. Jak żyć, ja się go pytam. A on: zrozum samego siebie, dbaj o zdrowie i relacje, ucz się nowych rzeczy, zachowaj równowagę między pracą a przyjemnościami i wypoczynkiem, żyj chwilą i naucz się być wdzięczny za wszystko, co przeżywasz. No i co? Coś nie gra? Jak przeczytam pięć książek, to dowiem się więcej? Zresztą mój mały spryciarz chętnie napisze mi książkę, jak go poproszę. I zapewniam koleżanki i kolegów literatów, że będzie to książka nie gorsza od tego, co produkują ich „białkowe modele językowe". A jak nawet gorsza, to dziś, bo za rok już nie.

I tu doszliśmy do ściany. Po co czytać, skoro tę masę tekstu, która żąda od nas takiej ilości czasu i zaangażowania, maszyna wypluwa w ułamku sekundy? To już zupełne szaleństwo, żeby traktować poważnie coś tak pospolitego i łatwo dostępnego jak sztuka. Nie wiem jak wy, ale ja wysiadam.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 2a630d192f

Przytulić aligatora

Ostatniego dnia sierpnia żona pojechała na spływ kajakowy Pilicą. Zostałam sama i pewnie dlatego przypomniało mi się takie zdarzenie. Nawet nie tyle zdarzenie, ile rekwizyt, który odegrał w nim ważną rolę. A ściślej rzecz biorąc – dwa rekwizyty, choć tego samego rodzaju. Żeby już dłużej nie komplikować: otóż niedawno nasza przyjaciółka obchodziła okrągłe urodziny i z tej okazji wybrała się ze swoją żoną na parę dni nad jezioro. Połączyłyśmy się z nimi za pośrednictwem czatu. Podzieliły się z nami zdjęciami z pobytu; na jednym widać było dwa drewniane koniki w hotelowym lobby, bez wyjaśnień. A kiedy już złożyłyśmy jubilatce życzenia, odbył się taki dialog. „Dostałaś koniki?" – zapytałam, mając na myśli urodzinowy prezent. „Nie, koniki są hotelowe. Dostałam smoka" – odpowiedziała jubilatka, a w oknie czatu pojawiło się zdjęcie fioletowej smoczycy z pluszu. „Piękna! – zawołałam, jeśli można zawołać na piśmie. – Ja mam hipcia, też prezent od żony". Naszą wymianę spuentowała żona jubilatki: „Jako dialog dwóch pań w średnim wieku – absolutnie boskie!". Po czym wkleiła roześmianą buźkę.

> Jeżeli partner lub partnerka każą nam odstawić pluszaka, to taki związek nie rokuje. Dobry partner to taki, który sam się przytuli do naszego aligatora.

Ja też się z nas śmiałam. Ewidentnie popadłyśmy w zdziecinnienie, a to przecież strasznie śmieszne. Ilekroć słyszę sentymentalne kocopoły o powrocie do dzieciństwa, otwieram aplikację zdjęcia i odświeżam sobie taki mem: gabinet psychoterapeuty, terapeuta siedzi na krześle, przed nim na kozetce leży klient, a z jego rozerwanych powłok brzusznych wydostaje się mały potwór podobny do ksenomorfa z horroru Ridleya Scotta „Obcy – ósmy pasażer Nostromo". Do tego komentarz terapeuty jako wisienka na torcie: „Widzę, że uwolnił pan swoje wewnętrzne dziecko". Zawsze mnie to bawi.

Tymczasem okazuje się, że pluszaki w życiu dorosłych są zjawiskiem powszechnym i coraz mniej wstydliwym. Do tego stopnia, że amerykańska dziennikarka Sarah Gannett zdecydowała się wyjść z szafy ze swoją słabością do białego misia na łamach „The New York Timesa". Wyznała, że po zabawkę z dzieciństwa sięgnęła w czasie pandemii, kiedy czuła się przybita i przerażona. Nie pamięta, czy na pewno bawiła się tym misiem jako dziewczynka. Wcale nie czuła z nim szczególnej więzi. Być może należał do jej brata. Ale miała go pod ręką i był na tyle duży, że mogła się do niego przytulić. Przyniosło jej to ukojenie.

Trochę zawstydzona swoją relacją z zabawką zaczęła drążyć temat. Trafiła na badanie, z którego wynikało, że 40 proc. dorosłych Amerykanów śpi z pluszowym zwierzakiem. A więc nie była sama. I nawet jeśli badanie niekoniecznie było wiarygodne, dzięki niemu ośmieliła się poruszyć temat ze znajomymi. Ci jakby tylko na to czekali: zalały ją entuzjastyczne opowieści o fokach, amebach, warzywach i jeżach, z którymi dzielili poduszkę. Wkrótce sama wymieniła starego misia na nowoczesną krówkę obciążeniową: słodką, mięciutką istotę w biało-czarne łaty, która pachniała lawendą i dawała się podgrzewać w kuchence mikrofalowej. Takie pluszaki produkuje się od razu w wersji dla dzieci i dla dorosłych, więc rozmiar nie stanowił problemu. Krówkę przedłożyła nad pluszowego robota, mimo że ten potrafił dostosowywać swój „oddech" do rytmu pracy ludzkich płuc, o czym krasuli się nawet nie śniło. Nie wiem, dlaczego wybrała ją. Może dlatego, że do podgrzewanych przytulanek można dokupić ubranka.

Dobroczynny wpływ pluszowych zwierzaków na nasze nerwy jest od dawna znany psychologom. W przypadku dzieci zabawki do przytulania pełnią funkcję tzw. obiektów przejściowych, na których można skupić emocje, aby obniżyć stres związany z dłuższą nieobecnością matki i innymi zmianami. Jade Wu, psycholożka snu z Duke University School of Medicine, po pluszowego aligatora swojego starszego dziecka sięgnęła, gdy była w ciąży i dręczyły ją koszmary. Aligator pomógł jej się uspokoić, a także wygodniej ułożyć ciało w czasie snu. Jennifer Goldschmied, profesorka psychiatrii z Hospital of the University of Pennsylvania, potwierdza, że przytulanie pluszaka jest formą samoregulacji, która wycisza pobudzenie kognitywne, czyli ten rodzaj aktywnego myślenia, któremu oddaje się umysł w trybie dziennym. Bo ostatecznie chodzi właśnie o to, żeby mózg w ciężkich czasach albo trudnych chwilach potrafił się przełączać w tryb relaksu i odpływać w sen.

Pluszaki są niezastąpione nie tylko w życiu dzieci i osób samotnych. W końcu w najlepszym małżeństwie może się zdarzyć, że żona pojedzie na spływ i nie można będzie się do niej przytulić. Pluszaki nie kłócą się z byciem w związku, a przynajmniej nie powinny. Zdaniem psychologów, jeżeli partner lub partnerka na serio każą nam odstawić pluszaka, to taki związek nie rokuje. Dobry partner to taki, który nie tylko zrozumie, ale nawet sam się przytuli do naszego aligatora.

Czy podgrzewany pluszak jako obiekt przejściowy mógłby obniżyć stres związany z przedłużającą się nieobecnością takiej Polski, na jaką głosowało się w wyborach? Obawiam się, że na aligatory grasujące dzisiaj w naszym życiu polityczno-społecznym pluszowy gad może być za słaby. Nawet z japońskimi bajerami, o których nie śniło się filozofom. Ale spróbować można.

RENATA LIS

eprasa.pl 2a630d192f

Król wszystkich powiatów

W cieniu sporu o to, czy większe konstytucyjne kompetencje do rządzenia Polską ma premier Tusk, czy prezydent Nawrocki, w Makowie Mazowieckim trwa spór o to, czy to dobrze, że Jezus Chrystus został królem tamtejszego powiatu. Za uchwałą o intronizacji Jezusa było 7 radnych, przeciw nie był nikt. Ponieważ 10 radnych nie wzięło udziału w głosowaniu, przewodniczący rady stwierdził brak kworum. Na szczęście obsługująca radę pani mecenas, być może pod wpływem Ducha Świętego, uznała uchwałę za ważną.

Zwolennicy kandydatury Jezusa podkreślają, że w konstytucji nie ma nic o tym, że nie może on być królem powiatu. Zresztą w 2016 r. Kościół w obecności Andrzeja Dudy już i tak intronizował Jezusa na króla Polski, zawierzając mu państwo, rządzących oraz „wszystko, co Polskę stanowi". Można się zastanawiać, czy jest sens wybierać na króla jednego powiatu kogoś, kto z automatu jest już królem wszystkich powiatów. Moim zdaniem nie ma, ale uważam, że posiadanie dwóch królów w jednej osobie nie zaszkodzi; przeciwnie, w obecnych czasach może tylko pomóc.

Słynny jasnowidz Jackowski w swojej najnowszej wizji przestrzega, że z naszym krajem „coś będzie się działo"; mianowicie będzie „wmanewrowany w brudną wojnę", „rozszarpywany i dzielony", zaś „na naszych oczach rozpocznie się targowica, a Polska stanie przez to w niesławie". Jackowski uczciwie przyznaje, że „nie do końca rozumie te słowa", dlatego dobrze, że uchwała makowskich radnych oddaje losy powiatu w ręce kogoś, kto na pewno lepiej od Jackowskiego rozumie, co Jackowski mówi.

Swoją uchwałą Maków pokazuje, że się nie lęka, ale „nawiązując do ponad 1000-letniej historii Narodu Polskiego", zawierza Jezusowi „nasze codzienne sprawy, życie rodzinne, samorządowe i społeczne". Dodatkowo zawierza mu także „rządzących naszą małą Ojczyzną". Wielu mieszkańców powiatu ma nadzieję, że dzięki temu zaczną oni rządzić lepiej, niż rządzą teraz, gdy wola boża ma na nich ograniczony wpływ.

Ich entuzjazm osłabia tylko to, że nie wiadomo, czy siódemka, która zawierzyła siebie, przyjmując uchwałę, zawierzyła również 10 radnych niebiorących udziału w głosowaniu. Może ci radni nie mieli ochoty nikomu siebie zawierzać, bo wolą sprawować władzę własnymi ziemskimi siłami? Tak czy inaczej, uchwałę oceniam wysoko. Uważam, że jeśli nie jest się pewnym, czy potrafi się skutecznie rządzić, jedyną racjonalną decyzją jest przekazanie władzy komuś, kto na pewno potrafi. Oczywiście pod warunkiem że nie jest to opozycja, która wiadomo, że na pewno niczego nie potrafi.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad8 leipa passion process technology

eprasa.pl 2a630d192f

Z POLITYKĄ na wakacjach – wyniki konkursu fotograficznego „Czytaj w plenerze na papierze”

Dziękujemy naszym Czytelnikom za dołączenie do naszej wakacyjnej zabawy i setki świetnych zdjęć z POLITYKĄ w plenerze! Wybór naprawdę nie był łatwy, ale oto on:

I nagroda: Tadeusz Robaszyński-Janiec

II nagroda: Staszek Gregor

III nagroda: Justyna Zakrzewska

Postanowiliśmy także wyróżnić (w formie publikacji zdjęć w naszym serwisie oraz na naszych profilach w mediach społecznościowych) następujące osoby: Tetianę Lenyk, Anielę McGrath, Antoniego Polaka z członkiniami Klubu Seniora To i Owo SM „Górnik” w Jaworznie, Annę Rup i Emilię Tokarską. Zachęcamy do obejrzenia galerii zdjęć na naszej stronie: **polityka.pl/opolityce**

Ogrody POLITYKI: reaktywacja

© DOMINIK ŻYŁOWSKI

Po sześcioletniej przerwie wróciły Ogrody POLITYKI w Elblągu. Jasne, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, ale, jak zauważył red. nacz. Jerzy Baczyński przy powitaniu gości, w czym towarzyszył mu prezydent Elbląga Michał Missan, trudno nie wracać do wspomnień, wszak teraz odbyła się 17. edycja imprezy, która tematycznie i personalnie wiąże się z kolejnymi wydaniami Paszportów POLITYKI i trwale wpisała się w historię tygodnika.

Tak jak było w przeszłości, również i teraz Ogrody miały charakter wielodyscyplinarny: odbyły się panele dyskusyjne (m.in. o kanonie lektur i polskich traumach), był plenerowy spektakl teatru Biuro Podróży, bardzo ciekawe spotkanie z pisarzem Pawłem Sołtysem, który znany jest publiczności muzycznej jako Pablopavo. Ale, tak jak dawniej, wszyscy czekaliśmy na koncerty. W piątek można było posłuchać znakomitego występu Łony, Koniecznego i Krupy, poprzedzonego koncertem Sennego, artysty z zupełnie innej bajki niż raper Łona. Senny mógł się kojarzyć z klimatem ballady albo nostalgią beatlesowską, a Łona z kolegami wiadomo – z muzyczno-słowną relacją z naszej trudnej codzienności, co poznaliśmy dzięki albumowi „Taxi”.

Oczywiście największe oczekiwania dotyczyły koncertu **Lecha Janerki**. I słusznie. Mimo dolegliwego deszczu publiczność się nie zawiodła. Słuchaliśmy najnowszych utworów ze świetnej płyty „Gipsowy odlew falsyfikatu” i starych, niezapomnianych hitów z „Jezu, jak się cieszę” na czele. 72-letni artysta po raz kolejny dowiódł, że w jego przypadku doświadczenie twórcze i życiowe pięknie przekłada się na formę sceniczną. Zachwyceni byli nie tylko rockfani-weterani, ale też młodzież, która, jak przekonywał mnie gospodarz miejsca, czyli dyrektor Biblioteki Elbląskiej Jacek Nowiński, nie znalazła się tu przypadkowo.

Ostatniego dnia Ogrodów, kiedy skończyła się rozmowa z Pawłem Sołtysem, do Sali „U Świętego Ducha” Biblioteki Elbląskiej, gdzie odbywały się debaty panelowe, zawitała orkiestra Brass Federacja, kończąc swój przemarsz ulicami Elbląga. Zaiste, niezwykłe to zjawisko muzyczne.

No i wreszcie koda całego wydarzenia: koncert Jazz Bandu Młynarski-Masecki, który wrócił do Elbląga, by dać jeden z ostatnich, jeśli nie ostatni, wspólny koncert. Zespół, jak zapowiada, kończy swoją działalność, w przekonaniu, że zrobił, co było do zrobienia. Koncert był perfekcyjnie przygotowany. I nie chodzi wyłącznie o pianistyczną wirtuozerię Maseckiego ani o urzekający, croonerski wokal Młynarskiego, lecz o całą orkiestrę. To brzmiało naprawdę genialnie. Jedno jest pewne – wszyscy, którzy odwiedzili tegoroczne Ogrody na pewno będą je wspominali z satysfakcją, a może też z nutką rozrzewnienia. Za rok wracamy. (M. Pęcz)

Więcej na polityka.pl

eprasa.pl 2a630d192f

Król Giorgio

Nie byłoby współczesnej garderoby, gdyby nie on. Damskiej – bo zmienił proporcje, pozbył się wszystkiego, co zdobne i zbędne. Oraz – a może przede wszystkim – męskiej.

To Giorgio Armani, zmarły w wieku 91 lat król włoskiej mody – co w tym akurat przypadku nie brzmi ani pretensjonalnie, ani na wyrost. Tak zresztą: il Re czy King Giorgio zwykle go tytułowano. Armani sprawił, że elegancja zaczęła być wygodna. Sztywne i skomplikowane do tej pory garnitury uprościł, odchudził. Z marynarek – mimo lamentów krawców przywiązanych do tradycyjnego rzemiosła – wypruł poduszki i płócienne wkłady, pozwalając im łagodnie układać się na ciele i przy okazji modelować sylwetkę. Lżejsze stały się też spodnie oraz cała stylizacja. Przed Armanim bowiem zwykle wymagała ona dopełnienia klasyczną koszulą, eleganckimi, skórzanymi półbutami; zatem – na galowo. Dzięki niemu zaś dozwolone stały się koszule sportowe, komfortowe obuwie, rozpięte marynarki, w końcu zaś – koszulki z krótkimi rękawami. Efekt? Zaskakujący, bo nonszalancki „mężczyzna Armaniego" – jak zaczęto nazywać ten fenomen – jawił się jako rasowy i zmysłowy.

Niczym w „Amerykańskim żigolaku", kryminale Paula Schradera z 1980 r. z Richardem Gere'em w roli głównej, do którego Armani zaprojektował kostiumy – jak zresztą do dziesiątek innych filmów, w tym do „Nietykalnych" De Palmy, „Bękartów wojny" Tarantina czy „Wilka z Wall Street" Scorsesego. Scena, gdy tytułowy amant układa na łóżku marynarki, a następnie dobiera do nich misternie koszule i akcesoria, okazała się punktem zwrotnym w postrzeganiu mody przez mężczyzn: olśniło ich, że zadać szyku to nie wstyd.

Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

TREND

Sam Armani, piękny, hipnotyzujący niespotykanie jasnym błękitem oczu, opalony i niemal zawsze w T-shircie, który wyniósł do rangi elegancji, fundując mu szlachetną tkaninę, perfekcyjne wykonanie i głębię koloru, zmienił też samo postrzeganie barw. Zaproponował światu autorską paletę niebieskości (w tym granatu, który stał się ulubionym kolorem ubrań Włochów i pozostaje nim do dziś), bieli oraz wszystkiego między szarością a beżem. To jemu zawdzięczamy popularny dziś „greige" – czyli wypadkową obu barw – inspirowany, jak twierdził, kolorem mokrego piasku nad brzegiem rzeki Trebbii, nieopodal której, w Piacenzy, się wychowywał.

Stamtąd w latach 50. wyjechał do Mediolanu na studia medyczne. Chirurgiem nie został, ale wkrótce z chirurgiczną precyzją zaczął traktować ubrania: jego kolekcje charakteryzowały się fenomenalnym wyczuciem proporcji i zawsze wyglądały niczym szyte na miarę. W 1975 r. zrezygnował z etatu u Nino Cerrutiego i założył własną firmę wraz z miłością swojego życia Sergio Galeottim – co wyznał de facto dopiero w 2024 r. w szeroko komentowanym we Włoszech wywiadzie w „Corriere della Sera".

Sukces nadszedł szybko nie tylko dzięki pionierskim pomysłom i nowatorskiej estetyce minimalizmu, ale także związaniu się Armaniego z show-biznesem. Jako pierwszy wpadł na pomysł, by ubierać gwiazdy Hollywood na gale wręczania Oscarów. Owszem, stroiły się już wcześniej, jednak pomagali im garderobiani z wytwórni filmowych, nie zaś projektanci. Jego nieformalne biuro festiwalowe przygotowywało stroje m.in. dla Jodie Foster, Julii Roberts, Jessiki Lange, Kim Basinger, Cate Blanchett czy Sophii Loren.

W przeciwieństwie do większości konkurentów, którzy z własnej woli bądź przymuszeni wpadali w kleszcze konglomeratów luksusu pokroju LVMH i tracili kontrolę nad własnymi markami, Armani do końca życia pozostał głównym właścicielem i udziałowcem firmy wartej ponad 2 mld euro. Jego osobisty majątek według wyliczeń „Forbesa" sięgnął zaś sześciokrotności tej kwoty. Oprócz kreacji z najwyższej półki, il Re proponował ubrania i dodatki kilku tańszych linii – w tym mającej konkurować z sieciówkami Armani Exchange – sygnował swoim nazwiskiem hotele, artykuły wyposażenia wnętrz, kosmetyki, kawiarnie czy kwiaciarnie. Prawdziwe imperium.

Jednak to z klasycznych ubrań o nowoczesnych liniach i klarownych fasonach zostanie zapamiętany. One – od debiutu na wybiegu po dziś – praktycznie się nie zmieniły. U każdego innego projektanta zostałoby to pewnie uznane za wsteczne, u Armaniego jednak, za sprawą jego kunsztu i gustu, niezmiennie zachwycało. ■

© CEDRIC RIBEIRO/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, PLATFORMA X.COM (2)

eprasa.pl 2a630d192f

WIRAL

Koraliki i czapeczka

Tenisowy US Open dla kibiców jest ekscytujący zawsze, a dla szerszej publiczności są jeszcze obrazki pozakortowe. Były akcenty ludzkie i popkulturowe – ktoś się komuś na trybunach oświadczył, a Naomi Osaka prezentowała po meczach prywatną kolekcję laleczek Labubu. Były sportowe zachowania – ta sama Osaka pokonała Coco Gauff, ale potem wspólnie udzieliły wywiadu, co się nigdy nie zdarza. Japonka uznała, że Amerykanka zechce coś przekazać swojej publiczności. Łzy się lały. Były też zagrania niesportowe – Łotyszka Jelena Ostapenko, nazywana w polskich mediach „pogromczynią Igi Świątek" (Polka nigdy z nią nie wygrała), nie umiała uznać swojej porażki ani ugryźć się w język. Ostrą wymianę z rywalką Taylor Townsend uchwyciły wszystkie kamery.

Algorytmy lubią takie awantury. Dlatego polskie akcenty też przekłuły tenisową bańkę. Iga Świątek usłyszała podczas konferencji prasowej kuriozalne pytanie od polskiego dziennikarza: „Czy nie myślałaś kiedyś o tym, żeby wpleść sobie koraliki we włosy?". Reakcja naszej tenisistki służy za wystarczający komentarz do sprawy, a dziś też za matrycę do memów: „Co to jest za pytanie, przepraszam? O co tutaj chodzi?". Chodzi z grubsza o to, że turnieje wielkoszlemowe bywają pokazami mody i stylizacji, zwłaszcza w Nowym Jorku. Iga Świątek, co wiadomo dobrze, woli pokaz siły na korcie.

Kamil Majchrzak, dziś pierwsza rakieta w kraju wśród mężczyzn, też miał w internecie sporo nietenisowych minut. Po jednym z meczów podarował czapkę młodemu kibicowi. **Chłopcu wyrwał ją z ręki rosły mężczyzna**, którego sieć błyskawicznie wytropiła i odsądziła od czci i wiary. Przeglądarki same podsuwają tę frazę: „Majchrzak czapka kto zabrał nazwisko", a AI bez zwłoki odpowiada. „Złodziej czapeczki" okazał się prezesem jednego z polskich przedsiębiorstw. Internet życzy mu bankructwa i radzi jego firmę bojkotować.

To pocieszające, że wirtualna publiczność bierze stronę Igi Świątek i chłopca (Majchrzak go odnalazł i powetował straty), ale i przerażające, jak internet łatwo się podpala, jak szybko feruje wyroki i skazuje na banicję. O anonimowości nie ma nawet co mówić. W sieci nie da się zapaść pod ziemię, solennie odpokutować ani przeczekać awantury z własnym udziałem. Nie ma takiej czapki niewidki.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Straż moralna

Media społecznościowe ciągle jeszcze mogą się czegoś nauczyć od tych tradycyjnych, bo burza wokół „szon patroli", jaka rozpętała się w tych ostatnich, przebiła zasięgami wszystko, co wydarzyło się na TikToku. Chodzi o patrole nastoletnich chłopców, którzy „chodzą po galeriach handlowych, osiedlach czy szkołach, wypatrując, jak można się domyślić (...), dziewczyn, które uznają oni np. za nieodpowiednio ubrane". Tak to opisała „Gazeta Wyborcza" na stronach biznesowych, a telewizja Polsat pokazała – z ilustrującymi to fragmentami filmików, komentarzami psychologów i pedagogów oraz sugestią budowy Talibanu w rodzimych warunkach. To z kolei wróciło do sieci ze złośliwymi komentarzami o „ekspertach analizujących trendy na TikToku", oskarżeniami o brak poczucia humoru, dystansu i znajomości mechanizmów internetowego baitu, czyli oszustwa, które prowokuje i nakręca ruch.

Trudno wyrokować, ile w tym żartu, a ile zagrożenia fundamentalizmem. Da się jednak dokładnie opisać językowe zakręty zjawiska. Zaczęło się od słowa „szon" – kolejnego wybiegu pozwalającego omijać zaczynające się na „k" wulgarne określenie nieszanującej się kobiety. Trochę jak opisywane tu (POLITYKA 36/24) angielskie słowo „hoe". Tamto obrosło kilkanaście lat temu we frazę „That hoe over there" i pochodzący od niej akronim „THOT". I wtedy ktoś wpadł na pomysł umiarkowanie popularnego mema o rzekomych „thot patrolach" tropiących kobiety tak wyzywające, że należałoby o tym powiadomić skarbówkę. Powstała nawet (i działa) strona odpowiedniego fikcyjnego amerykańskiego urzędu federalnego (thotpatrol.org), która zarabia na koszulkach i bluzach, podobnie jak domorośli biznesmeni, którzy zaczęli w Polsce sprzedawać kamizelki i koszulki z napisem **„szon patrol"**.

Próbuje też na tej fali płynąć P. I. WO Boyz Gang, których utwór „Szonlover" („Odwiedzam punkt apteczny, proszę o paczkę prezesów, podchodzę do szona bez stresu" – prezesy to prezerwatywy), niezauważony kilka lat temu, dziś zyskuje popularność. Samo słowo komentowała w tekście raperka Bambi: „Nazwą cię szonem, jak trochę przesadzasz/ A tępą dziewicą, jak go nie uprawiasz". To tak, żeby zamknąć ten temat łatwego seksu, piętnowanego z jeszcze większą łatwością.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

O, czwarty dzień szpachlowanie blatu,
Chłopy mają zdrowie do tematu,
Ja po jednej dobie to już mocne „Nosferatu".
Kaz Bałagane, Nowe szklane domy, 2020 r.
Szpachlowanie blatu – zażywanie narkotyków

eprasa.pl 2a630d192f

Okno z widokiem na Gibraltar

PODRÓŻE

Brytyjska kolonia przyćmiewa sąsiadujące z nią hiszpańskie miasto, ale La Línea też ma swoje turystyczne atuty.

Dworzec witający przyjezdnych w La Línea de la Concepción to masywna betonowa konstrukcja, która zieje pustką. Kilka stanowisk dla autobusów, przy jednym ławka, za ławką dziura w chodniku. Młoda dziewczyna słucha z telefonu flamenco. Poza nią – żywego ducha. Idąc z dworca pustą ulicą do wynajętego mieszkania, mijamy pasaż handlowy: ciuchy, budka z pieczywem, kilka barów – bez szans, by wypełnić pokracznie wysokie budy. Tuż obok betonowe pustostany. La Línea wygląda jak miasto, które kiedyś zapadło w letarg i do dziś nie może się obudzić.

Kawałek dalej zaczyna się jednak piękny park z imponującym smoczym drzewem i palmami. Pośród nich, w dali, majaczy gibraltarska skała. Szeroka Aleja Wojska prowadzi do piaszczystej plaży po wschodniej stronie przesmyku, z której również widać Gibraltar. Panorama Skały roztacza się także z plaży, deptaka i portu po stronie zachodniej. Widzimy ją i z naszych pokojów w blokowisku o wiele mówiącej nazwie Polígono. Dla tego widoku warto było tu przyjechać. Nie przeszkadza nam nawet architektoniczny bałagan, którym obrosła granica.

Julia Zabrodzka
– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

A granica to osobliwa – oddziela Hiszpanię od ostatniej kolonii w Europie, brytyjskiego terytorium zamorskiego. Dziwaczna zaszłość historyczna i stały punkt tarć dwóch dawnych potęg kolonialnych. Sądząc po tym, jak wygląda La Línea, Gibraltar ma niezwykłą siłę zasysania: turystów, ludzi, dobrobytu. Tuż za granicą zaczyna się inny świat: czerwonych budek telefonicznych, pubów i barów z fish and chips, półdzikich małp – magotów gibraltarskich, tłumu ludzi na ulicach i deweloperskiego eldorado. Kontrast pod każdym względem jest oszałamiający.

Po przejściu przez kontrolę dokumentów – która ma zniknąć od przyszłego roku – oraz pas startowy gibraltarskiego lotniska moja aplikacja z mapami wariuje. Raz skręcamy źle i natychmiast gubimy się na rozległym placu budowy z ogromnymi hotelami, apartamentowcami i wielopiętrowymi parkingami, z których zwisają girlandy kwiatów. Gdy udaje nam się dotrzeć na główną ulicę, trafiamy na ceremonię zmiany warty. Po placu paradują gwardziści w czerwonych mundurach i białych hełmach. – *To grupa rekonstrukcyjna ze Stowarzyszenia Wiktoriańskiego* – tłumaczy zagadnięty Brytyjczyk. Tuż obok inny mężczyzna wymachuje brytyjską flagą. Cały wygląda jak sztandar, bo wzór Union Jack ma też nadrukowany na obszernej koszulce. Brytyjskość do kwadratu i tłum turystów dookoła. Zastanawiam się, czy hiszpański Gibraltar miałby tę samą siłę przyciągania?

Brytyjczycy zdobyli Gibraltar w 1704 r., a ich zwierzchnictwo przypieczętował w 1713 r. pokój utrechcki. Skrawek Półwyspu Iberyjskiego został „wieczystą kolonią" Wielkiej Brytanii. W wyniku kolejnych konfliktów w 1739 r. wytyczono strefę neutralną. Po jej drugiej stronie powstały fortyfikacje, nazwane La Línea de Gibraltar lub La Línea de Contravalación. W okresie napoleońskim, gdy Francuzi zaatakowali Hiszpanię, układ sił się zmienił i umocnienia zlikwidowano, a powstałe później miasto odziedziczyło po nich część nazwy – La Línea (Linia), do której dodano człon „de la Concepción" (od Niepokalanego Poczęcia).

W XIX i XX w. liczni mieszkańcy La Línei znajdowali pracę w brytyjskiej kolonii lub przy jej zaopatrzeniu – aż do 1969 r. Dwa lata wcześniej odbyło się referendum, w którym Gibraltar jednoznacznie opowiedział się za zwierzchnictwem brytyjskim. W odwecie rządzący Hiszpanią gen. Franco podjął decyzję o całkowitym zamknięciu granicy. Tysiące hiszpańskich obywateli straciło wówczas pracę, a wielu – także kontakt z bliskimi. Ponownie otwarto ją dopiero kilkanaście lat później.

Dziś La Línea wciąż jest mocno związana z Gibraltarem; szacuje się, że codziennie granicę przekracza ok. 15 tys. pracowników. Jednocześnie brytyjskie terytorium zamorskie przyciąga średnio 10 mln odwiedzających rocznie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że La Línea nie może wyjść z cienia Skały. Posiada jednak swój prowincjonalny urok, hiszpańskie ceny, a także coś, czego Gibraltar nigdy mieć nie będzie – obłędne widoki na strzegący cieśniny wapienny monolit. ■

© JULIA ZABRODZKA, TOMEK MĘDREK, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 2a630d192f

Kluski z gorącą śliwką

Weganizowanie klasyków polskiej kuchni jest nieuniknione. Tym razem przyszła kolej na knedle.

Tradycja knedli trafiła nad Wisłę z kuchni niemieckiej i szybko weszła do rodzimej klasyki. Samo słowo „knedel" pochodzi od niemieckiego „knödel" oznaczającego po prostu kluskę. W oryginalnym przepisie knedle wykonuje się z ciasta ziemniaczanego (u nas będzie podobnie) lub parzonego, rzadziej – twarogowego. Jako nadzienie służą owoce lata i jesieni: truskawki, śliwki, morele, jabłka. Czasem do knedlowego wnętrza dodaje się też grzyby, ser albo mięso.

Przepisów na ich wegańską wersję jest niewiele, ponieważ wyklucza ona jajko, które ma tę funkcję, że spaja składniki. Wcale jednak nie jest potrzebne, by osiągnąć knedlowy sukces! Co więcej, kluski z owocowym wypełnieniem są nawet łatwiejsze do wykonania i smaczniejsze bez niego. Poniższa receptura była sprawdzana wielokrotnie przeze mnie i gros innych osób, gdyż przygotowuję je w ten sposób już od kilku lat. Sekretem jest tu odpowiednia konsystencja ciasta, która powinna bez wysiłku wyjść z poniższych proporcji. Czasem potrzeba jednak wprawy, więc proszę się nie poddawać po ewentualnej pierwszej porażce. Knedle w końcu wychodzą puszyste i mięciutkie. Owoce mogą być zarówno świeże, jak i mrożone. U mnie będą to tradycyjnie śliwki, bo właśnie trwa na nie sezon. ■

Tomek Mędrek
– bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Wegańskie knedle z owocami ze słodką bułką tartą i śmietaną (8 knedli – przepis można mnożyć i dzielić)

Składniki:
- 500 g ziemniaków (po obraniu i ugotowaniu)
- 100–150 g (ok. 1/2 szklanki) mąki pszennej
- 1 czubata łyżka skrobi ziemniaczanej
- 1 duża łyżka roślinnego masła + 50 g (2 duże łyżki) do bułki
- 8 śliwek
- ok. 10 łyżek bułki tartej (tak na oko – nie ma reguły)
- 1/2 łyżeczki cynamonu w proszku
- 1–2 łyżki cukru i trochę do posypania śliwek
- roślinna kwaśna śmietana albo roślinny jogurt grecki

Wykonanie
(20–30 min – po ugotowaniu ziemniaków)

- Ziemniaki gotujemy w osolonej wodzie. Lekko studzimy. Wraz z łyżką masła przeciskamy przez praskę lub dokładnie tłuczemy, aż będą gładkie. Studzimy do końca.
- Gdy ziemniaki stygną, przygotowujemy bułkę tartą: bułkę podprażamy na wolnym ogniu na suchej patelni, aż stanie się lekko brązowa. Dodajemy dwie łyżki masła, cukier i cynamon. Mieszamy dokładnie do momentu, aż wszystko się połączy i zostawiamy na kuchence. Do ziemniaków dosypujemy mąkę, skrobię ziemniaczaną i zagniatamy, aż ciasto przestanie kleić się do rąk i odkładamy dosłownie na chwilę.
- Śliwki nacinamy od góry (czyli w tym miejscu, gdzie trzymały się gałęzi) – mniej więcej do połowy. Wyciągamy ostrożnie pestkę. Wnętrze posypujemy obficie cukrem.
- Na blacie oprószonym mąką rolujemy ciasto na grubszy walec i dzielimy go na osiem części. Kawałek ciasta rozgniatamy w dłoniach na mały placek (6–7 cm średnicy). Na środku kładziemy śliwkę. Zamykamy ciasto dookoła, zaklejamy i formujemy w kulkę. Zagotowujemy 2–3 litry wody i solimy (1–2 łyżeczki wystarczą). Wrzucamy po cztery knedle i czekamy, aż wypłyną. Później gotujemy je jeszcze ok. 3–5 min.
- Wegańskie knedle z owocami podajemy jeszcze gorące z solidną porcją słodkiej bułki tartej i śmietaną na wierzchu. Posypujemy cukrem kryształem. Smacznego!

Wskazówki:
- Masło rozpuści się w ziemniakach, więc nie trzeba brudzić nim praski.
- Im mniej dodamy mąki pszennej, tym knedle będą bardziej puszyste i delikatne, a o taki efekt nam chodzi.
- Należy uważać, by nie spalić bułki podczas podprażania.
- Do przygotowania mniejszych knedli możemy użyć połówek śliwek.
- Uwaga, by nie przegotować knedli!
- Woda nie może mocno wrzeć, musi lekko „mrugać". Wtedy knedle będą gładkie i nieposzarpane z zewnątrz.
- Czasem knedle mogą przykleić się do dna – należy wtedy zamieszać w garnku kilka razy.

eprasa.pl 2a630d192f

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Sondaże, ratunku!

Do zespołu polityka.pl w randze wicenaczelnego dołączył Michał Danielewski, publicysta i wytrawny redaktor, do niedawna związany z OKO.press. Zachęcamy do lektury jego pierwszych tekstów w naszym serwisie. Autor rachuje i analizuje: z jakim poparciem rozpoczyna nowy sezon polityczny koalicja rządząca, a na co liczy opozycja? Na razie nie ma powodów do optymizmu ani Donald Tusk, ani Karol Nawrocki.

Na straży młodzieży

Głośno w Polsce o „Szon Patrolach", grupkach chłopaków, którzy w centrach handlowych i innych miejscach publicznych pilnują rzekomo dziewczęcej moralności. Biorą na celownik kuse stroje i odsłonięte pępki. „Szon" to zawoalowany wulgaryzm (od „kur***szon"), rozsławiony przez Patryka Vegę. Ale tropy prowadzą nas do Ameryki, TikToka i muzyki. **Czy młodzież naprawdę tak brzydko się bawi, sprawdził Michał R. Wiśniewski.**

Prywatna wojna Moczara

Podkast „Polityka o historii" wraca po wakacjach i ma własny kanał na YouTube – zapraszamy! Marcin Zaremba rozmawia z prof. Pawłem Machcewiczem, autorem książki „Narodowy komunizm po polsku. Partyzanci Moczara", o tym, jak komuniści grali na narodowej dumie i rozbudzali nacjonalizm. A zaczęło się od poczucia upokorzenia. Samą rozmowę prowadzimy ku pamięci i przestrodze. Bo Moczar, jak się okazuje, wiecznie żywy.

Ciepły wrzesień

Meteorologiczna jesień zaczęła się, jak szkoła, 1 września. Ale temperatury nadal są i będą umiarkowanie letnie, również w Polsce. Atlantyk jest rozgrzany po falach upałów na południu Europy, więc wrzesień okaże się zapewne cieplejszy niż przed rokiem. Podobnie zapowiada się październik. A sporadyczne opady suszy niestety nie zaradzą. **Sytuację pogodową analizuje i próbuje przewidzieć Michał Rolecki.**

Jesień w polityce

Po chwili przerwy wraca również „Temat tygodnia" Karoliny Lewickiej. W rozmowie z prof. Antonim Dudkiem analizujemy stan politycznej gry i rywalizacji między tzw. małym i dużym Pałacem. Ale też między Konfederacją a resztą świata. Prof. Dudek nie ma wątpliwości: Nawrocki nie odklei się od PiS. Ale i nie ma dobrych wieści: Tusk nie ogarnął tarć w koalicji. A może powinien odejść? W naszym podkaście staramy się odgadnąć, co nas czeka jesienią i do wyborów.

© MACIEK JAŹWIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 2a630d192f

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 2a630d192f

ALUPROF
selt by ALUPROF
PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI
OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
ALUPROF
GRAMY FAIR Z NATURĄ
www.aluprof.com/dom